

Frederick Forsyth
Upiór Manhattanu
z ang. przeł. Witold Nowakowski.
Warszawa : "Świat Książki", 2000.
Tytuł oryg.: Phantom of Manhattan
ISBN 8372276374

PODZIĘKOWANIA

Przy próbie odtworzenia realiów Nowego Jorku A.D. 1906 korzystałem z wydatnej pomocy profesora Kennetha T. Jacksona z Columbia University oraz Caleba Carra, którego książki "Alienista" i "Anioł ciemności" w niezwykle przejrzysty sposób przedstawiają życie Manhattanu na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Za szczegółowy opis początków i rozwoju Coney Island, wraz z jej działającymi w tamtych czasach lunaparkami, dziękuję Johnowi B. Manbeckowi z Instytutu Historii Brooklynu.

Wszelkie dane dotyczące opery, a zwłaszcza opis otwarcia Manhattan Opera House 3 grudnia 1906 roku, dostarczył mi nie kto inny jak Frank Johnson, wydawca "Spectatora", a zara zem człowiek, który już nieraz spieszył mi z pomocą i jeśli chodzi o operę zdążył zapomnieć więcej, niż ja kiedykolwiek wiedziałem.

Pomysł napisania dalszego ciągu "Upiora Opery" powstał podczas mojej pierwszej rozmowy z samym Andrew Lloydem Webberem.

W trakcie dalszych gorących dyskusji wspólnie stworzyliśmy główny wątek akcji i do dziś jestem mu bardzo wdzięczny za niezwykle pomysły i entuzjazm, z jakim odnosił się do mojej pracy.

□

WSTĘP

Historia, którą wszyscy znamy jako dzieje Upiora Opery, narodziła się w roku 1910 w umyśle niemal całkiem zapomnianego dzisiaj francuskiego pisarza.

Jak Bram Stoker w przypadku Draculi, Mary Shelley tworząca Frankensteina czy Victor Hugo, kreślący postać Owasimodo, Dzwonnika z Notre Dame, tak i Gaston Leroux zerknął w ludową opo wieść i dostrzegł w niej kwintesencję ludzkiego dramatu.

Taki był zaczn, lecz w tym samym miejscu kończą się wszelkie podobieństwa.

Wspomniane wyżej dzieła od początku zyskały niesłychany poklask i do naszych dni obrosły swoistą legendą, znaną czytelnikom i kinomanom.

Wokół postaci Draculi i Frankensteina stworzono cały przemysł, produkujący dziesiątki, jeżeli już nie setki nowych książek i filmów.

Niestety, monsieur Leroux nie był Victorem Hugo.

Skromna powieść, którą opublikował w 1911 roku, wywołała niewielką sensację we Francji i doczekała się nawet wydania .

□

w odcinkach, lecz wkrótce potem odeszła w zapo mnienie.

Zwykły przypadek sprawił, że jedenaście lat później, a pięć lat przed śmiercią autora, wróciła do łask odbiorców i zaczęła sobie torować drogę do prawdziwej nieśmiertelności.

Ów przypadek miał niewielką postać przedsiębior czego Żyda, Carla Laemmle, który jako mały chłó piec wyemigrował z Niemiec do Ameryki i po pew nym czasie stał się prezesem hollywoodzkiej wytwór ni filmowej Universal.

W 1922 roku Laemmle wyje chał na urlop do Paryża i tam właśnie spotkał Gastona Leroux, który próbował sił w znacznie mniej szym francuskim przemyśle filmowym.

W trakcie bardzo pobieżnej i zdawkowej skądinąd rozmowy amerykański nabab wspomniał pisarzowi o wrażeniu, jakie wywarł na nim widok paryskiej Opery, notabene do dzisiaj największej na świecie.

Leroux w zamian wręczył mu egzemplarz swojej starej książki z 1911 roku.

Prezes Universal Pictures przeczytał ją w ciągu jednej nocy.

Los chciał, że w tym czasie Laemmle miał w swoich rękach niezwykle atut, który jednak przysparzał mu sporych kłopotów.

Atutem był niedawno odkryty przezeń osobliwy aktor łon Chaney człowiek o tak niesłychanie ruchliwej twarzy, że potrafił jej nadać niemal dowolne kształty. Właśnie dla Chaneya szef Universalu zdecydował się nakręcić pierwszą w historii kina adaptację "Katedry Marii Panny w Paryżu".

Chaney miał w niej zagrać rolę garbate go i przerażająco brzydkiego Owasimodo. W Holly

wood powstawały już pierwsze dekoracje, łącznie z drewniano-cementową rekonstrukcją średnio wiecznego Paryża i górującej nad nim Notre Dame.

Problemem, z którym właśnie borykał się Laemmle, był odpowiedni wybór

następnego filmu, takiego, żeby Chaney nie uciekł do konkurencji.

Przed świtem miał już rozwiązanie.

Po Dzwonniku na aktora czekała równie wstrętna i odpychająca, lecz zarazem tragiczna postać Upiora (paryskiej) Opery.

Laemmle wiedział jak każdy dobry showman że straszenie widzów jest najlepszym sposobem na wypełnienie kina.

Przewidywał, że Upiór nadaje się do tego i miał rację.

Kupił prawa do książki, wrócił do Hollywood i kazał postawić kolejną dekorację.

Tym razem był to gmach Opery.

Miały się w nim pomieścić setki statystów, więc po raz pierwszy do budowy użyto stalowych belek osadzonych w betonie.

Konstrukcja była tak solidna, że nigdy jej nie rozebrano i do dziś stoi na terenie Uniwersalu, na planie 28.

Przez wszystkie minione lata korzystano z niej niezliczone razy.

Łon Chaney stworzył wielką kreację w (pierwszym) "Dzwonniku z Notre Dame" i nieco później w "Upiorze w Operze".

Filmy te stały się przebojami i zapewniły mu nieśmiertelną sławę.

Ale to "Upiór..." sprawił, że kobiety krzyczały i mdlały

Dwa filmy o Upiorze z 1925 i 1943 roku w powojennej Polsce były rozpowszechniane jako "Upiór w Operze", stąd różnica w polskich tytułach powieści i filmu.

□

na sali, a w foyer kina zawsze czekał zapas soli trzeźwiących!

Film właśnie o wiele bardziej niżli przeciętna i szybko zapomniana powieść Gastona Leroux wpłynął na wyobraźnię widzów i stał się zaczątkiem legendy.

Dwa lata później wytwórnia Warner Brothers wypuściła w pełni dźwiękowego "Śpiewaka z jazzbandu".

Era niemego kina definitywnie dobiegła końca.

Z biegiem lat powstawały nowe wersje "Upiora w Operze", a scenarzyści bez żenady zmieniali ich fabułę.

Może właśnie dlatego żaden z późniejszych filmów nie zyskał poklasku u widzów.

W 1943 roku, a więc po dwudziestu jeden latach od premiery filmu Chaneya, wytwórnia Universal pokusiła się o remake, w którym rolę Upiora odtwarzał Claude Rains.

W 1962 roku w tę samą postać wcielił się Herbert Lom, zatrudniony przez specjalistów z łon dyńskiego Hammer Films.

Dwanaście lat później Brian de Palma dokonał własnej, "rockowej" trawestacji głównego wątku, w 1983 roku zaś "Upiór..." trafił do telewizji, z Maximilianem Schellem w roli tytułowej.

W rok potem młody brytyjski reżyser wystawił na niewielkiej scenie w East London żywiłowo grany, ale tani musical.

Wśród widzów, zachęconych przychylną recenzją, znalazł się także Andrew Lloyd Webber.

Stara powieść niepostrzeżenie znalazła się w kolejnym punkcie zwrotnym swoich zawiłych dziejów.

Lloyd Webber w tym czasie pracował nad czymś zupełnie innym.

To "coś innego" w rezultacie przybrało postać Aspects of Love.

Nie przestał jednak myśleć o Upiorze.

Dziewięć miesięcy później w no wojorskim antykwariacie kupił angielskie tłumaczenie książki Gastona Leroux.

Jak wiele genialnych rzeczy, pomysł Webbera był prosty, ale miał

zupełnie zmienić nastawienie świata do tej, zdawałoby się doszczętnie wyeksploatowanej legendy.

Webber zobaczył w niej bowiem nie okrutny i nienawistny horror, lecz tragiczną historię obsesji i niechcianej miłości między okrutnie zniekształconym

kaleką, który dobrowolnie odsunął się od świata, a młodą, piękną śpiewaczką operową, przedkładającą nad uczucia związek z przystojnym i mającym

arystokratą.

Andrew Lloyd Webber powrócił więc do oryginału, usunął nielogiczności i zbędne elementy grozy i wy dobył na światło dzienne prawdziwy sens tragedii.

Na takim fundamencie pobudował coś, co przez dwanaście lat od premiery jawi nam się jako najpopularniejszy musical wszechczasów.

Już ponad dziesięć milionów widzów obejrzało sceniczną wersję "Upiora Opery".

Jeśli istnieje coś takiego jak "głęboka wiedza" o tejże historii, to wypada stwierdzić, że dzisiaj opiera się ona przede wszystkim na utworze Lloyda

Webbera.

Aby jednak lepiej zrozumieć prawdziwy (lub do mniemany) przebieg wypadków, warto poświęcić kilka chwil na dygresję o trzech składnikach, bez których najwzyczajniej w świecie nie byłoby „Upio ra...”.
Pierwszym z nich jest oczywiście sama paryska

11 .

□

Opera, budynek tak wspaniały, że żaden upiór nie znalazłby lepszego lokum w innych teatrach świata.

Drugim składnikiem jest monsieur Leroux, a trze cim napisana przez niego książeczka.

Opera paryska powstała, jak wiele wspaniałych przedsięwzięć, w gruncie rzeczy za sprawą przypadku.

Otóż pewnego wieczoru, w styczniu 1858 roku, cesarz Francji Napoleon III podążył wraz z cesarzo wną do starej opery przy wąskiej Rue le Peletier.

Działo się to zaledwie dziesięć lat po tym, jak przez Europę przepłynęła gwałtowna fala rewolucji.

Czasy wciąż były ciężkie, a pewien włoski antymonarchista nazwiskiem Orsini wybrał ten właśnie wieczór, aby rzucić trzy bomby w cesarską karetę.

Wybuchły wszystkie, raniąc bądź zabijając ponad sto pięćdziesiąt osób.

Cesarz i cesarzowa, chronieni przez grubą ścianę karety, wyszli z zamachu wstrząśnięci, lecz bez szwanku.

Ba, nawet nadal chcieli iść na przedstawie nie.

Potem jednak Napoleon uznał, że Paryż zasługu je na nową operę, ze specjalnym wejściem dla VIP-ów, dobrze strzeżonym i osłoniętym przed bombami.

Prefektem Paryża był wówczas genialny urbanista, baron Haussmann, w dużej mierze odpowiedzialny za współczesne oblicze miasta.

W rozpisany m przez niego konkursie wzięli udział najwybitniejsi archi tekci Francji.

Przedstawiono sto siedemdziesiąt pla nów, ale ostatecznym zwycięzcą został wschodzący gwiazdor awangardy, utalentowany Charles Garnier.

Jego projekt był po prostu wielki, a realizacja wymagała fortuny.

12

Potem wybrano miejsce (to, w którym lOpera stoi do dzisiaj) i rozpoczęto budowę.

Był rok 1861.

Już po kilku tygodniach pracy pojawił się poważny problem.

Pierwszy wykop odsłonił wartki strumień, płynący przez sam środek placu.

Robotnicy nie nadawali z pompowaniem wody wlewającej się do dołów.

Gdyby rzecz cała wydarzyła się w latach oszczędności, pewnie ktoś by poszukał nieco lep szego miejsca.

Haussmann jednak się uparł, że jego opera stanie właśnie tutaj i nigdzie indziej.

Garnier kazał sprowadzić osiem wielkich pomp parowych i przez kilka miesięcy dzień i noc suszył rozmiękłą ziemię.

Potem otoczył teren podwójnym pasem gru bego kesonowego muru, wypełnionego smołą, co miało ochronić plac budowy przed ponownym zała niem.

Na tych potężnych fundamentach wzniesiono lewiatana.

Pomysł okazał się o tyle skuteczny, że prace ukoń czono bez przeszkód, potem jednak woda przesiąkła przez zabezpieczenia i w najniższych piwnicach gma chu powstało podziemne jezioro.

Nawet dziś można zejść do lochów Opery (choć wymaga to specjalnego zezwolenia) i przez grube kraty popatrzeć na pogrzebaną wodę.

Co dwa lata poziom jeziora opada i robotnicy w płaskodennych łodziach sprawdzają stan fundamentów, szukając możliwych uszkodzeń.

Olbrzym Garniera rósł piętro po piętrze, aż wy chynał z ziemi i zaczął piąć się wyżej.

Roboty prze rwano w 1870 roku, kiedy to po krótkiej, ale krwawej

13 .

□

wojnie francusko-pruskiej przez kraj przetoczyła się nowa rewolucja.

Napoleon III został zrzucony z tro nu i zmarł na wygnaniu.

Ogłoszono nową republikę, lecz pruska armia stała już u wrót Paryża.

Nad stolicą Francji zawisło widmo głodu.

Bogaci zjedli słońce i żyrafy z zoo, biedni łowili psy, koty i szczury.

Paryż skapitulował, lecz proletariąt, sfrustrowany wszystkim, przez co ostatecznie przeszedł, zakopiał gwałtownym gniewem.

Buntownicy nazwali swoje rządy Komuną, a sie bie komunardami.

forsyth Upiur Manhattanu.txt

Sto tysięcy ludzi sięgnęło po wszelką broń, nie wyłączając armat. Ministrowie uciekli w panice, a władza przeszła w ręce generałów Gwardii Cywilnej.

W rezultacie Komuna padła, lecz w czasie rewolucji nie dokończony budynek Garniera, z krętym labiryntem pomieszczeń i piwnic, posłużył komunardom za zbrojownię, magazyn prochu i... więzienie.

W podziemnych lochach docho dziło do gwałtów i tortur, a szkielety zabitych od krywano jeszcze po wielu latach.

Nawet dzisiaj pa nuje tam ustawiczny chłód wywołujący grozę.

I ta właśnie sceneria ukrytego świata zafascynowała Gastona Leroux, który w niemal pół wieku po upadku francuskiej rewolucji stworzył postać odrażającego pustelnika zamieszkującego mroki.

W 1872 roku wszystko wróciło do normy, a Garnier podjął przerwane prace. W styczniu 1875, niemal dokładnie siedemnaście lat po zamachu bombowym Orsiniego, z wielką pompą zainaugurowano działalność nowej Opery.

14

Gmach zajmuje prawie trzy akry powierzchni, czyli dwanaście tysięcy metrów kwadratowych.

Ma siedemnaście piętér, licząc od piwnic po dach, lecz z tego tylko dziesięć góruje nad okolicą.

Siedem jest ukryte pod ziemią.

Widownia, dla odmiany, liczy zaledwie dwa tysiące sto pięćdziesiąt sześć miejsc, jest zatem zadziwiająco mała w porównaniu z me diolańską La Scalą, która może pomieścić trzy i pół tysiąca widzów, czy nowojorską Metropolitan, ob liczoną aż na trzy tysiące siedmiuset gości.

Za ogromnymi kulisami znajdują się garderoby dla setek artystów, warsztaty, bufety, szwalnie i maszynownie, dzięki którym bez większego kłopotu można podnosić i opuszczać potężne, ważące setki ton i wysokie na piętnaście metrów dekoracje.

Opera paryska od samego początku miała być czymś więcej niż tylko operą. Szczupłą liczbę miejsc na widowni rekompensują liczne gabinety, koryta, sale, salony, schody i pomieszczenia stanowiące tło dla wystawnych uroczystości państwowych.

Patrol strażaków za każdym razem przez ponad dwie godziny sprawdza zabezpieczenia dwóch i pół tysiąca par drzwi.

W czasach Garniera w Operze pracowało stale półtora tysiąca osób (dzisiaj około tysiąca).

Wnętrza rozjaśniało dziewięćset lamp gazowych połączonych miedzianą rurą o długości szesnastu kilometrów.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku stopniowo zainstalowano oświetlenie elektryczne.

Gaston Leroux odwiedził Operę w roku 1910.

15

□

Jej wzniosły i niezwykle wygląd wywarł na nim duże wrażenie.

Wówczas też po raz pierwszy usłyszał pogłoski o upiorze zamieszkującym lochy. Tu coś zginęło w tajemniczy sposób, tam znów przydarzył się jakiś dziwny wypadek...

Postać, którą ten czy ów widział przyczajoną w kącie, zawsze wracała w katakumby, gdzie nikt nie miał odwagi jej śledzić.

Z tych to właśnie plotek, powtarzanych uparcie przez dwadzieścia lat, Leroux wysnuł własną, tragiczną historię.

Stary Gaston należał do tego typu ludzi, z którymi każdy z nas chętnie zasiadłby przy stoliku w jakiejś paryskiej kafejce, gdyby tylko udało się cofnąć czas o całe dziewięć dekad.

Bezpośredni do granic bezczelności, jowialny, okazałej tuszy i wesoły.

Bon vivant i szczodry gospodarz; krótko wzroczny ekscentryk, z parą pince-nez sterczących na nosie.

Urodził się w 1868 roku.

Chociaż oficjalnie pochodził z Normandii, w rzeczywistości przyszedł na świat na paryskim dworcu kolejowym, gdzie jego matkę chwyciły nagłe bóle.

W szkole uczył się dobrze i jak dla wielu podobnych mu potomków klasy średniej rodzina przewidywała dlań karierę prawnika.

Jako osiemnastolatek trafił na studia do Paryża, nie miał jednak zamiłowania do książek i kodeksów.

W wieku dwudziestu jeden lat zdobył dyplom, a parę miesięcy później utracił ojca, który odumarł go, zostawiając niemają jak na owe czasy fortunę w wy-

sokości miliona franków.

Ledwie tatko zdążył spo16

cząć pod ziemią, Gaston w wielkim stylu ruszył na podbój stolicy.

W ciągu pół roku zdziałał naprawdę wiele!

Pociągało go dziennikarstwo, nie sądowe rozprawy.

Najpierw dostał pracę w "Echo de Paris", potem w "Le Matin".

Popełnił kilka recenzji jako zagorzały miłośnik teatru, ale wykształcenie prawnicze uczy ni0 zeń eksperta od spraw kryminalnych.

W roli świadka wystąpił przy niejednej egzekucji na giloty nie.

Te doświadczenia sprawiły, że przez resztę życia był przeciwnikiem kary śmierci, co w tamtych czasach poczytywano za dziwactwo.

Dzięki uporowi i wrodzonej inteligencji umiał pokonać wiele przeszkód i przeprowadzał wywiady ze zdawałoby się nawet najbardziej niedostępnymi osobami.

W na grodzie redakcja "Le Matin" powierzyła mu rolę korespondenta zagranicznego.

Były to lata, kiedy na ogół nikt nie protestował, jeśli taki

korespondent miał wybujałą wyobraźnię.

Niektórzy dziennikarze, zwłaszcza ci, którym przy szło działać najdalej od domu, jeżeli nie trafili na nic ciekawego, na poczekaniu fabrykowali jakąś zajmującą historię.

Słynnym przykładem uprawiania takiego procederu jest przygoda pewnego amerykańskiego reportera zatrudnionego przez koncern Hearsta i podróżującego pociągiem po Bałkanach z na dzieją na relację z jakiejś wojny domowej.

Ów dzień nikararz przespał właściwą stację i obudził się w cichej i spokojnej stolicy następnego kraju.

Zatrwożony, że straci pracę, pospiesznie i z wigorem napisał

17

□

o ciężkich walkach.

Następnego ranka "reportaż" został przeczytany w ambasadzie w Waszyngtonie i z odpowiednim komentarzem odesłany do władz wspomnianego kraju.

Korespondent Hearsta smacznie sobie chrapał, a miejscowy rząd postawił na nogi milicję.

Wieśniacy, w obawie przed pogromem, chwycili za karabiny.

wybuchła wojna domowa.

O świcie do dziennikarza dotarła depesza z Nowego Jorku z gratulacjami za szybki refleks.

W tymże świątku Gaston Leroux czuł się jak ryba w wodzie.

Niestety dawne podróże trwały o wiele dłużej i były bardziej nużące niż dzisiaj.

Po dziesięciu latach tu łączki po Europie, Rosji, Azji i Afryce Gaston stał się sławny, lecz miał już dość wrażeń.

W 1907 roku, w wieku trzydziestu dziewięciu lat, chciał się usatkwować i zostać pisarzem.

Nic z tego, co napisał, nie wykraczało, mówiąc językiem nowoczesnym, poza zwykłą „konfekcją literacką” i może właśnie dlatego tak trudno dzisiaj dotrzeć do jego książek.

Wydawał głównie romanse detektywistyczne.

W tym celu wy myślił postać detektywa, który jednak był marnym cieniem Sherlocka Holmesa, notabene bardzo przez Gastona admirowanego.

Ze swej pisarskiej działalności Leroux czerpał jednak poważne profity, żył nieźle, trwonił pieniądze tak szybko, jak je zarabiał, i w ciągu dwudziestu lat kariery opublikował aż sześćdziesiąt trzy książki.

Zmarł w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, w 1927 roku, a więc dwa lata po premierze wyprodukowanego przez Carla Laemmle

18

"Upiora w Operze" z Łonem Chaneyem w roli tytułowej.

Z dzisiejszego punktu widzenia, mówiąc całkiem szczerze, oryginalny utwór Gastona sprawia niemały kłopot.

Nosi w sobie zadatki na wspaniałe dzieło, ale przede wszystkim zawodzi narracja. Biedny Leroux rozpoczyna bowiem książkę od wstępu, w którym zaręcza, że każde jego dalsze słowo jest najszczerzą prawdą.

To niebezpieczny pomysł.

Zało żenie, że fikcyjna powieść ma nosić znamiona prawdy i cechy dokumentu, czyni z autora zakładnika losu i dociekliwych czytelników.

Od tej chwili każdy szczegół może być poddany starannej weryfikacji.

Leroux nie respektuje tej zasady niemal na każdej stronie.

Można zacząć powieść "na zimno", przywołać realne wypadki i w ten sposób pobudzić ciekawość odbiorców, nie mówiąc im, czy mają do czynienia z prawdą czy

z fikcją.

Tak dzieje się w podgatunku zwanym po angielsku faction i mieszającym oba wspomniane składniki.

Pożyteczną metodą jest po łączenie fikcji i najprawdziwszych w świecie, ogólnie znanych wydarzeń.

Zakłopotanie czytelnika wzrasta, lecz autora nie można pomówić o kłamstwo.

Przed wszystkim obowiązuje żelazna zasada: wszystko, o czym mówisz, musi być prawdą albo przedstawić to w taki sposób, by było niesprawdzalne.

Na przykład ktoś napisze:

"Rankiem, pierwszego września 1939 roku, pięć dziesiąt hitlerowskich dywizji wtargnęło na teren
19 .

□

Polski.

O tej samej porze pewien skromny człowiek przyjechał na fałszywych papierach ze Szwajcarii do Berlina i zniknął gdzieś wśród ulic budzącego się miasta".

Pierwsze zdanie przytacza historyczne fakty, a prawdziwości drugiego nie można potwierdzić lub zanegować.

Przy odrobinie szczęścia czytelnik uzna je za prawdziwe i nie przerwie lektury. Leroux odwrotnie, zapewnia nas, że spisana przez niego opowieść jest w pełni autentyczna i żeby to udowodnić, powołuje się na rozmowy ze świadkami, przytacza jakieś dokumenty i niedawno odkryte (przez siebie) pamiętniki, których wcześniej nikt nigdy nie widział na oczy.

Potem jego narracja błądzi we wszystkich kierunkach, pędzi w ślepe zaułki i wraca do punktu wyjścia, mijając gdzieś po drodze kilka nie wyjaśnionych tajemnic, pustych i niczym nie popartych twierdzeń i najzwyczajniejszych błędów.

Aż ręka świerzbi, by uczy nic po prostu to, co zrobił Andrew Lloyd Webber. By wziąć gruby niebieski ołówek, wykreślić wszystkie wspomniane ozdobniki i przywrócić powieści jej dziwną, lecz zupełnie klarowną postać.

Myślę, że tak krytyczna opinia o autorze wymaga paru konkretnych uzasadnień.

Otóż monsieur Le Roux już w pierwszej części książki opisuje Upiora o imieniu Erik, ale nie kwapi się wyjaśnić, skąd wie, jak on się nazywał.

Upiór nie był w nastroju do grzecznych pogawędek i nie miewał zwyczaju, by się wszystkim przedstawiać.

Wolno przypuszczać, że

20

Leroux zaczerpnął tę skądinąd właściwą wiadomość od madame Giry, do której jeszcze po wrócimy.

Co bardziej zaskakujące, nigdzie nie podano daty wspomnianych wydarzeń. Niezwykłe przeoczenie u tak dociekliwego dziennikarza, jakim mieni się autor. Jedyne ślad znajdujemy w postaci zdawko wego zdania we wstępie: "rzecz miała miejsce nie dalej, jak trzydzieści lat temu".

To skłoniło niektórych badaczy do odjęcia trzy dziesiętu lat od daty publikacji książki (1911).

W rezultacie wyszedł im rok 1881.

Ale przecież słowa "nie dalej jak trzydzieści" mogą oznaczać czas znacznie krótszy!

Rzeczywiście, na podstawie pewnych przesłanek w tekście można przesunąć tę datę na rok 1893.

Najdobitniejszym dowodem na potwierdzenie tej teorii jest opis trwającego zaledwie kilka sekund nagłego wygaszenia światła, zarówno na widowni jak na operowej scenie.

Leroux twierdzi, że zawiedziony w uczuciach Upiór z zemsty postanowił porwać ukochaną.

Dla wzmocnienia efektu uderzył podczas jej występu w "Fauście".

(W musicalu Lloyd Webber zmienił tę operę na inną, pod tytułem "Triumf Don Juana", w całości skomponowaną przez Upiora).

W pewnej

Tego zdania nie ma w jedynym z czterech polskich wydań zawierającym "Słowo wstępne, w którym autor opowiada, w jaki sposób zyskał pewność, że Upiór Opery istniał naprawdę" (Gaston Leroux: "Upiór Opery", tłum.

i oprac.

Bożena Sek, wydawnictwo "Alfa", Warszawa 1990).

21 .

□

chwili teatr zatonął w ciemnościach, a kiedy znów rozbłysły światła, dziewczyny

już nie było.

Nie da się tego zrobić, mając do dyspozycji dziewięćset lamp gazowych.

Owszem, tajemniczy sprawca, dobrze obeznany z terenem, mógłby przekręcić główny zawór i odciąć dopływ gazu.

Lampy i tak gasłyby stopniowo, mi gocząc i pykając głośno, w miarę zużycia ostat nich resztek paliwa.

Co więcej, w tamtych czasach nie znano jeszcze mechanicznych zapalarek, więc cała procedura zapalania odbywała się ręcznie.

Istniał nawet skromny zawód lampiarza.

wygasić i zapalić światła w jednej chwili da się wyłącznie przy użyciu głównego wyłącznika prądu.

To jednak daje nam o wiele bliższą datę, niż chciałby tego Leroux.

Inny błąd, naprawiony zresztą w musicalu Webbera, to fałszywa ocena pozycji, wyglądu i umysłu madame Giry, występującej w książce jako pomyłona bileterka.

W rzeczywistości bowiem była to kierowniczka corps de ballet, która za fasadą przesadnej surowości (niezbędnej do utrzymania w ryzach za stępu egzaltowanych dziewcząt) skrywała współczującą i odważną naturę.

Można by to wybaczyć staremu Gastonowi, gdyż przecież w dużej mierze polegał na pamięci świadków, ci zaś opisali mu całkiem inną kobietę.

Z drugiej strony, każdy przeciętny policjant lub reporter są dowy bez wahania potwierdzi, że w czasie najbłahszego śledztwa nawet najbardziej szczerzy ludzie

22

mają kłopoty ze zgodnością zeznań i przedstawie niem prawdziwego obrazu wydarzeń zaledwie sprzed miesiąca, a cóż dopiero sprzed osiemnastu lat.

Poważniejszą pomyłką, jaką popełnił Leroux, jest scena, w której Upiór w kolejnym napadzie szału zrzuca na widownię ogromny żyrandol, zabijając siedzącą na dole kobietę.

Ofiara była przypadkowa, zatrudniona w zastępstwie „zdradzieckiej” madame Giry, co samo w sobie stanowi udany zabieg lite racki, lecz chwilę później z ust narratora pada nie zwykłe stwierdzenie, że żyrandol ważył aż dwieście tysięcy kilogramów!

. Dwieście ton to wystarczająco wiele, by spadać co wieczór wraz z połową stropu.

W rzeczywistości ciężar żyrandola wynosi siedem ton.

Ważył tyle, kiedy go zawieszano, i waży do dzisiaj.

Najdalszym i najdziwaczniejszym odstępstwem od podstawowych zasad reportażu i śledztwa jest koniec książki, gdy autor daje się uwieść tajemniczej postaci, znanej jedynie jako "Pers".

Ów szarlatan pojawia się przelotnie dwa razy w dwóch trzecich dzieła i pozornie nie budzi ciekawości autora.

Później, po porwaniu sopranistki ze sceny, Leroux całkowicie pozwala mu przejąć narrację i opowiedzieć resztę zdarzeń z własnego punktu widzenia.

Nie trzeba chyba dodawać, że ta relacja budzi niemałe wątpliwości.

Ten szczegół nie pojawia się w żadnym z czterech polskich wydań "Upiora Opery".

23 .

□

Leroux nie uczynił jednak najmniejszego wysiłku, aby sprawdzić jej wiarygodność. Symptomatyczny jest tu brak zeznań młodego wicehrabiego Raoula de Chagny, który ponoć uczestniczył we wszystkich przygodach Persa.

Leroux twierdzi, że nie mógł go potem znaleźć.

Mógł.

Nie wiemy, dlaczego Pers pałał tak wielką nienawiścią do Upiora, pewne jednak, że tak oczernił tę postać, iż od razu powinna się zapaść w najgłębsze otchłanie piekła.

Aż do wynurzeń Persa Upiór budzi odruch współczucia u pisarza i czytelników.

To prawda, że był odrażający i żył w społeczeństwie, w którym brzydotę najczęściej łączono z grzechem.

Jednakże nie ponosił za to najmniejszej winy.

Nie nawiść do bliźnich narastała w nim stopniowo, kiedy musiał pędzić nędzne życie wyrzutka.

Do opowieści Persa postrzegamy Erika jako Bestię w przeciwieństwie do Pięknej Christine lecz nie jawi nam się jako ucieleśnienie zła.

Pers przedstawia go jako szalonego sadystę: se ryjnego mordercę i zamiłowanego dusiciela, potwo ra, budującego sale tortur i patrzącego przez dziurę w ścianie na męki swoich ofiar.

Człowieka, który całe lata spędził w służbie nie mniej okrutnej ce sarzowej

Persji i wymyślał straszliwe tortury dla więźniów.

Dalsza relacja głosi, że Pers z młodym arystokratą zeszli do najniższego lochu, na ratunek porwanej Christine. Schwytani i zamknięci w komnacie tortur,omal nie upiekli się żywcem, cudem zbiegli, zemdleli

24

i po pewnym czasie obudzili się cali i zdrowi.

Tak samo zresztą Christine.

To już zakrawa na farsę.

Na samym końcu Leroux przyznaje, że przez cały czas żywił wobec Upiora coś w rodzaju współczucia.

Zdumiewające wyznanie jak na kogoś, kto uwierzył Persowi.

Przecież we wszystkich innych sprawach przełknął kłamstwa razem z haczykiem, żyłką i spławikiem.

Na szczęście w relacji Persa też jest wyraźna luka, pozwalająca nam podważyć wiarygodność tej wersji.

Otóż Erik podobno pędził burzliwe życie, zanim osiadł na stałe w podziemiach Opery.

Według słów Persa zniekształcony nieszczęśnik odbył wiele po dróży po zachodniej, środkowej i wschodniej Euro pie, w głąb Rosji i nad Zatokę Perską. Potem po wrócił do Paryża i jako przedsiębiorca budowlany, pod nadzorem samego Garniera, pracował przy wznoszeniu Opery.

Bzdury.

Ktoś, kto przez wiele lat żył w tak wielu krajach, na pewno zdołałby się pogodzić ze szpetotą.

Praca przy budowie wymagała częstych kontaktów z ludźmi, narad z architektami, negocjacji z innymi przedsiębiorcami i rozmów z robotnikami.

Czemuż więc, u licha, potem miałyby się odsunąć od świata i zaszyć w zapadłych lochach?

Wszak człowiek o takich zdolnościach i nieprzeciętnej inteligencji mógł zarobić okrągłą sumkę na pracach budowlanych i resztę życia spędzić wygodnie, w otoczonej murem wiejskiej rezydencji, kontaktując się tylko ze służbą, nieczułą na jego wygląd.

25 .

□

Jedynym logicznym rozwiązaniem, na jakie może sobie pozwolić współczesny badacz historii Upiora jest idąc w ślady Andrew Lloyda Webbera i jego musicalu całkowita negacja zwierzeń i relacji Persa, a zatem odrzucenie także końcowego wniosku ku Gastona Leroux, zakładającego, iż Erik zmarł wkrótce po opisanych wypadkach.

Rozsądek nam kazuje powrót do źródeł i skłania do podsumowania tego, co naprawdę wiemy.

Oto fakty:

W latach osiemdziesiątych XIX wieku okrutnie zeszepecony kaleka umknął przed społeczeństwem, którym gardził i którego serdecznie nienawidził, i znalazł azyl w labiryncie lochów i magazynów pod paryską Operą.

To wcale niegłupi pomysł.

Więźniowie żyli latami w podziemnych kazamatach.

A siedem pięter rozpartych aż na trzech akrach trudno porównać do ciasnej celi.

Same piwnice (a przecież, gdy budynek był pusty, Erik mógł bez przeszkód wędrować aż do strychu) przypominają swym rozkładem miasto, zapewniające wszystkie środki niezbędne do przeżycia.

Przez wiele lat wśród przesądnych i obdarzonych bujną wyobraźnią pracowników Opery narastały plotki o tajemniczych kradzieżach i o dziwnej pościeli, pospiesznie znikającej w cieniu.

Znow nic nadzwyczajnego.

Podobne opowieści krążą o niejednym widmowym budynku.

W 1893 roku doszło do zdarzenia, które położyło kres mrocznemu królestwu Upiora.

On sam, przy czajony, jak to miał w zwyczaju, przy otworze, przez

26

który spozierał na scenę, dostrzegł w pewnej chwili przecudną dublerkę i zapalał do niej tragiczną miłość.

Od lat zasłuchany w arie najprzedniejszych artystów Europy, począł szkolić

dziewczynę w trudnej sztuce śpiewu, aż pewnej nocy, kiedy zastąpiła diwę, Paryż padł na kolana urzeczony kunsztem i czystością jej głosu.

To także rzecz zwyczajna, bo w teatralnym i filmowym świecie zdarzały się od krycia niezwykłych talentów, w jedną noc torujące drogę do światowej sławy i

stanowiące wdzięczny przyczynek do legend.

Bieg wydarzeń nieuchronnie prowadził do trage dii, gdyż Upiór sądził, że Christine odwzajemni jego uczucia.

Ona jednak pokochała młodego i przystojnego wicehrabiego Raoula de Chagny. W połowie przedstawienia oszalała z gniewu i zazdrości Upiór porwał sopranistkę wprost ze sceny i uprowadził ją do swego sanktuarium na siódmym i najniższym poziomie katakumb, tuż nad brzegiem podziemnego jeziora.

Coś się tam wydarzyło, o czym dokładnie nie wiemy.

Potem wicehrabia ruszył na ratunek, zapo mniawszy o strachu przed mrokiem zimnych jaskiń.

Mając przed sobą obu, Christine wybrała Adonisa.

Upiór już się skłaniał do podwójnego mordu, ale wówczas do lochów wtargnęła żądna zemsty tłuszcza z setką żagwi rozpraszcających mroki.

Upiór oszczerzył kochanków i zniknął w resztkach cienia.

Zanim jednak to zrobił, Christine zwróciła mu złotą obrączkę, którą podarował jej niegdyś na do27 .

□

wód miłości.

Upiór zaś pozostawił na łup prześła dowców osobliwe memento: pozytywkę w kształcie małpki, wygrywającą melodyjkę pod tytułem "Mas karada".

Takie jest libretto musicalu Lloyda Webbera i tak brzmi jedyna sensowna opowieść o Upiorze.

A Upiór?

Załamany i znów wzgardzony, po prostu zniknął.

Nikt o nim więcej nie słyszał.

Naprawdę?

...

Rozdział I

SPOWIEDŹ

ANTOINETTE GIRY

HOSPICJUM SIÓSTR MIŁOSIĘDZIA POD WEZWANIEM ŚWIĘTEGO WINCENEGO A PAULO, PARYŻ, WRZESIEŃ 1906 ROKU

Na suficie, hen, nad moją głową, jest cienka rysa, a tuż obok pajak zaczął snuć pajęczynę.

Dziwne...

On będzie żył, a ja za parę godzin po prostu odejdę.

Bądź zdrow, pajączku, nałap tłustych much, żebyś miał czym wykarcić dzieci.

Jak do tego doszło?

Co się stało, że ja, Antoinette Giry, lat pięćdziesiąt osiem, leżę teraz na plecach w paryskim hospicjum i pod opieką troskliwych sióstr czekam na spotkanie ze Stwórcą?

Nie twierdzą, że byłam dobra...

Już na pewno nie taka, jak te wiecznie zapracowane siostry, złączone wspólną troską wobec cierpiących, biednych, nieszczęśliwych i odrzuconych.

Nigdy bym tak nie potrafiła.

One wierzą, mnie zaś przez całe życie brakowało wiary.

Teraz się tego nauczyłam?

Chyba tak.

Umrę, zanim

29 .

□

mrok nocy zakryje małe okienko, które stąd widzę za ledwie kątem oka.

Jestem tutaj, gdyż najzwyczajniej w świecie za brakło mi pieniędzy.

No, prawie...

Pod poduszką ukryłam torebkę, o której poza mną nikt nie wie.

Ale to na specjalne cele.

Czterdzieści lat temu byłam szczupłą i piękną baletnicą.

Tak przynajmniej twierdził młodzi kawalerowie, czekający na mnie przy wyjściu za kulisy.

A każdy z nich przystojny, z krzepkim, pachnącym ciałem, niosącym w sobie posmak spodziewanych rozkoszy.

Najprzystojniejszym z nich był Lucien.

Baletniczki nazywały go "Lucien le Bel", bowiem na widok jego twarzy serce każdej z dziewcząt waliło niczym werbel.

Pewnej słonecznej niedzieli zabrał mnie do Łasku Bułońskiego i tam, jak przystało, klęknąłszy na jedno kolano, poprosił o moją rękę.

Zgo dziłam się.

Rok później zginął od pruskich kul pod sedanem.

Długi czas potem nie myślałam o małżeństwie.

Przez prawie pięć lat, póki tańczyłam w balecie.

Karierę zakończyłam w dwudziestym ósmym roku życia.

Po pierwsze, zjawił się Jules, poślubiłam go i zaszłam w ciążę z Meg.

Po drugie, straciłam dawną gibkość.

Stałam się "starszą baletnicą" dzień w dzień walczącą o utrzymanie linii i sprawnego ciała.

Ale Dyrektor był dla mnie dobry.

Miły człowiek.

Właśnie odeszła od nas kierowniczka baletu i Dyrektor stwierdził, że na jej miejsce nie weźmie nikogo z zewnątrz.

Uznał, że mam wystarczająco dużo doświadczenia,

30

i przedstawił mi nowy angaż.

Tak zostałam Maitresse du Corps de Ballet.

Zaraz po narodzinach Meg za trudniłam niańkę i rzuciłam się w wir pracy.

Było to w tysiąc osiemset siedemdziesiątym szóstym, a więc zaledwie rok po otwarciu nowej i przewspaniałej Opery projektu Garniera.

Wreszcie wydostaliśmy się z małej i zatłoczonej kłitki przy Rue le Peletier.

Wojna na dobre dobiegła końca, odbudowano mój kochany Paryż i życie znów

zajaśniało pełnym blaskiem.

Teraz mówi się o tych latach belle époque.

Naprawdę były belle, piękne.

Nawet się nie przejęłam, kiedy Jules poznał grubą Belgijkę i uciekł z nią w Ardeny.

Dobrze, że sobie poszedł.

I tak miałam lepszą pracę od niego.

Pensji wystarczało na wychowanie Meg i na niewielkie mieszkanie.

Za to noc w noc mogłam obserwować moje dziewczęta, występujące przed wszystkimi kołowanymi głowami Europy.

Ciekawe, co też teraz porabia Jules?

Trochę za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

A Meg?

Została baletnicą i artystką, jak mama.

Przynajmniej tyle mogłam jej zapewnić.

Niestety, dziesięć lat temu nieszczęśliwie upadła i od tamtej pory ma sztywne kolano.

Mimo to nie zaznała biedy.

Przy mojej niewielkiej pomocy.

Została osobistą pokojówką i garderobianą Christine de Chagny, największej europejskiej diwy.

Oczywiście, jeśli nie liczyć tej nieokrzesanej Australijki, Melby.

Gdzie Meg jest teraz?

Być może w Mediolanie, Rzymie lub Madrycie.

Wszędzie tam, gdzie jej pani.

I pomyśleć, że były czasy, kiedy krzyczałam na wice31 .

□

hrabinę de Chagny, żeby prostowała plecy i nie wychodziła z linii!

Co tu robię, czekając na przedwczesny pogrzeb?

Osiem lat temu, po pięćdziesiątych urodzinach, na dobre odeszłam z zespołu.

Żegnano mnie bardzo miło.

Prawiono uprzejmości.

Dostałam hojną premię za dwadzieścia dwa lata pracy.

Starczyłoby na resztę życia.

Do tego prywatne lekcje, udzielane niezgrabnym córkom bogaczy.

Dochód skromny, lecz w miarę.

Aż do ostatniej wiosny.

Ból przyszedł nagle, ostry i kłujący, chociaż po czątkowo dokuczał mi rzadko.

Zagnieździł się głębooko, w podbrzuszu.

Przepisano mi bizmut na niestrawność i musiałam zapłacić nader słony rachunek.

Nie wiedziałam wówczas, że mam w sobie stalowego kraba, wbijającego we mnie bezlitosne szczypce i rosące z każdym wyrwanym kęsem.

Nic nie wiedziałam, aż do lipca.

A potem było już za późno.

Leżę więc tutaj, staram się nie krzyczeć z bólu i cześć kam na następną łyżeczkę "białej bogini", pyłu wyrabianego z maków rosnących na wschodzie.

Już niedługo nadejdzie sen ostateczny.

Nawet się już nie boję.
Może Pan będzie dla mnie łaskaw?
Chyba tak, bo na pewno ujmie mi bólu.
Spróbuję myśleć o czymś innym.
Wrócę do wspomnień o dziewczętach i do Meg czekającej ze sztywnym kolanem, aż w jej życiu zagości odpowiedni człowiek.
Mam nadzieję, że trafi na porządnego chłopaka.
Pamiętam moich.
Moich dwóch, ukochanych i tragicznych chłopców.
O nich myślę najczęściej.

32

Madame, przyszedł monsieur l'Abbe.
Dziękuję, siostrze.
Trochę słabo widzę.
Gdzie stoi?

Tu jestem, moja droga.
Ojciec Sebastian.
Tuż obok ciebie.
Czujesz moją dłoń na ramieniu?
Tak, ojcze.
Pogódź się z Bogiem, ma filie.
Jestem gotów przyjąć twoją spowiedź.
Czas najwyższy.
Wybacz, ojcze, gdyż mocno zgrzeszyłam.
Opowiedz o tym, dziecko.

Nie ukrywaj mi czego.
Było to dawno...
bardzo dawno temu, w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim.
Zrobiłam coś, co zmieniło życie wielu osób.
Nie wiedziałam wówczas, że tak się stanie.
Działałam pod wpływem uczuć, sądziłam, że dobrze robię.
Miałam trzydzieści cztery lata i prowadziłam balet paryskiej Opery.
Byłam zamężna, ale mąż mnie porzucił i odszedł z inną kobietą.

Powinnaś im wybaczyć, dziecko.
To także część skruchy.
Ależ wybaczyłam, ojcze!

Już wiele lat temu.
Miałam jednak córeczkę, Meg, wówczas sześćioletnią.
W Neuilly odbywał się jarmark.
Zabrałam ją tam którejś niedzieli.
Oglądałyśmy katarynki i karu ziele, maszyny parowe i występy małpki, zbierającej centymy dla wędrownego dziada.
Meg nigdy przedtem nie była w lunaparku.
Pod koniec trafiłyśmy na pokaz dziwołagów.
W ustawionych rzędem namiotach

□

tach, pod ogromnymi afiszami można było zobaczyć najsilniejszego człowieka świata, popisy karłów-akrobatów, człowieka od stóp do głów pokrytego tą tuazem, czarnego dzikusa ze spiłowanymi w szpic zębami i kością przetkniętą przez środek nosa oraz kobietę z brodą.

Po drugiej stronie stała klatka na kółkach, z prętkami rozstawionymi niemal na stopę i garścią brudnej słomy rzuconej na podłogę.

Słońce świeciło jasno, lecz w klatce panował półmrok.
Podeszłam bliżej, by zobaczyć, co za zwierzę tam siedzi.
Rozległ się brzęk łańcuchów.

Ciemny kształt leżał skulony na słomie.
W tej samej chwili pojawił się jakiś człowiek.

Był wielki i otyły, z czerwoną, nalaną twarzą.
Na piersiach miał zawieszoną niewielką tackę z końskim łajnem, zebrany z maneżu dla kuców, i kawałkami zgniłych owoców.

"Proszę bardzo, szanowna pani powiedziała.
Proszę sprawdzić, czy trafi pani w potwora.
Jeden rzut za centyma".
Odwrócił się w stronę klatki i zawołał: „Wyłaź!
Chodź tu bliżej, bo wiesz, co cię spotka!

"

Znow brzęknęły łańcuchy i coś bardziej na kształt zwierzęcia niż człowieka wychynęło z cienia, stając przed kratami.

Choć wiedziałam, nie mogłam uwierzyć, że mam do czynienia z żywą, ludzką istotą.

Ów nieszczęśnik nosił stare, brudne łachmany i gryzł kawałek nie mniej starego jabłka.

Najwyraźniej żywił się tylko tym, czym weń rzucono.

Wychudłe ciało miał po34

kryte zaschniętymi kawałkami łajna.

Gruby łańcuch skubał mu kostki i przeguby, a spod żelaza wзираły otwarte rany, pokryte rojem robactwa.

Twarz i gło wa wyglądały tak przeokropnie, że Meg zaczęła płakać.

Stwór miał ohydnie zdeformowaną twarz i czaszkę z rzadko sterczącymi kępkami skołtunionych wło sów.

Policzek, przesunięty w dół, jakby ktoś przed laty zdzielił go ogromnym młotem,

miął wygląd krwawej plamy o konsystencji zastygłego wosku.

Wyłupiaste oczy głęboko tkwiły w niekształtnych oczodołach.

Jedynie połowa ust i część zuchwy wy glądały jak u normalnego człowieka.

Meg trzymała karmelkowe jabłko.

Sama nie wiem dlaczego, ale wzięłam je od niej, zbliżyłam się do krat i wyciągnęłam rękę.

Tłuszcioch wpadł we wściek łość, darł się i krzyczał, że pozbawiam go środków do życia.

Nie zwracałam na niego uwagi.

Wepchnę łam cukierek w brudną dłoń za kratami i popa trzyłam prosto w oczy potwora.

Ojcze, trzydzieści pięć lat temu, w czasie wojny francusko-pruskiej, zawieszono występy baletu.

Byłam wówczas wraz z tymi, które pielęgnowały rannych żołnierzy przywożonych z frontu.

Ociera łam się o śmierć i słyszałam krzyki umierających.

Nigdy jednak nie widziałam większego cierpienia niż to, jakie wówczas rozblysło w tych okropnych oczach.

Ból jest nieodłączną częścią człowieczego jes testwa, dziecko.

To, co wówczas uczyniłaś, nie było

35 .

□

grzechem, lecz aktem miłosierdzia.

Muszę wysłuchać twoich grzechów, jeżeli mam ci dać rozgrzeszenie.

Tej samej nocy wróciłam i go wykradłam.

Co zrobiłaś?

Poszłam do starego budynku opery i z warsz tatu cieśli wzięłam ciężkie

obcęgi.

Z garderoby za brałam pelerynę z kapturem, zatrzymałam przejeź dzającego fiakra i wróciłam do Neuilly.

W świetle księżycy lunapark wyglądał na całkiem pusty.

Cyr kowcy spali w wozach.

Parę psów zaczęło szczekać, ale rzuciłam im ochłap mięsa.

Znałazłam klatkę na kołach, odsunęłam żelazny skobel, otworzyłam drzwi i cicho zawołałam do środka.

Stwór był przykuty do ściany.

Przecięłam mu łańcuchy na rękach i nogach, a potem skinęłam, żeby poszedł za mną.

Był przerażony, lecz kiedy mnie zobaczył w księżycowym blasku, wypełzył z klat ki i zeskoczył na ziemię.

Narzuciłam nań pelerynę, naciągnęłam kaptur na zniekształconą głowę i po

ciągnęłam go do fiakra.

Woźnica zżymał się na smród, więc zapłaciłam mu nieco więcej i dowiózł nas do mieszkania w pobliżu Rue le Peletier.

Popeł niłam grzech?

Popełniłaś wykroczenie wbrew prawu, dziecko.

Ów nieszczęśnik miał pana, choćby i brutalnego.

Czy zgrzeszyłaś przed Bogiem...

nie wiem.

Chyba nie.

To jeszcze nie koniec, ojcze.

Masz czas?

Stoisz u wrót wieczności.

Z pewnością mogę ci poświęcić jeszcze kilka minut, lecz pamiętaj, że są tu inni, co przed śmiercią pragną posługi.

Przez cały miesiąc ukrywałam go w moim małym mieszkaniu, ojciec. Wziął pierwszą w życiu kąpiel, potem następną i jeszcze jedną... Opatrzyłam otwarte rany; z wolna zaczęły się goić. Dałam mu kilka ubrań z mężowskiego kufra i strawę, by mógł prędzej powrócić do zdrowia.

Pierwszy raz spał w łóżku, w prawdziwej pościeli. Zabrałam Meg do siebie i chyba dobrze zrobiłam, bo wciąż się go bała. Odkryłam także, że z nas trojga on był najbardziej przerażony. Gdy słyszał kogoś za drzwiami, krył się w cieniu schodów. Dowiedziałam się, że potrafi mówić.

Po francusku, ale z silnym alzackim akcentem. Pomału, przez cały miesiąc, opowiadał mi swoje dzieje. Urodził się jako Erik Muhlheim przed czterdziestu laty, w Alzacji, wówczas jeszcze francuskiej, ale wkrótce przejętej przez Niemców. Był jedynym synem pary wędrownych cyrkowców, jeżdżących wraz z taborem od miasta do miasta.

Już we wczesnym dzieciństwie dowiedział się o zdarzeniu towarzyszącym jego narodzinom. Akuszerka narobiła wrzasku na widok straszliwie kalekiego dziecka. Wcisnęła płaczące zawiniątko w ramiona matki i uciekła, wołając głupia krowa że na świat przyszedł sam diabeł.

Tak więc biedny Erik już od dnia narodzin skazany był na nienawiść i pogardę ludzi, którzy szpetotę uznawali za oznakę grzechu.

Jego ojciec zajmował się ciesiołką i pomagał przy różnych pracach w cyrku. Mały Erik często pod

□

glądał go przy robocie i odkrył w sobie talent do rzemiosła. Za kulisami poznawał tajniki iluzji z wykorzystaniem luster, zapadni i ukrytych przejść, które później odegrały niepoślednią rolę w jego państwowym życiu.

Niestety, ojciec był pijakiem i brutalem, który tłukł syna za byle jakie wykroczenie, a czasami też bez powodu.

Matka nie sprzeciwiała mu się; najczęściej siadała w kącie i szlochała. Życie Erika upływało w bólu i płaczu, aż zaczął unikać taboru i sypiał w słomie wraz ze zwierzętami, głównie z końmi.

Miał siedem lat, gdy pewnej nocy, kiedy spał w stajni, w cyrku wybuchł pożar.

Straty okazały się tak wielkie, że cyrk zbankrutował. Technicy i artyści rozproszyli się po świecie w poszukiwaniu innych zajęć. Ojciec Erika, pozbaiony pracy, pił na umór.

Matka uciekła i została pomywaczką w pobliskim Strasburgu. Ojciec, chcąc zdobyć trochę pieniędzy na flaszkę, sprzedał syna właścicielowi wędrownej menażerii.

Erik przesiedział dziewięć lat w klatce na kółkach, codziennie ob rzucany gnojem przez żądną wróżkę, rozpasaną gawiedź.

Skończył szesnasty rok życia, kiedy go odnalazłam. Smutna historia, moje dziecko, lecz gdzież związek z twoimi grzechami? Cierpliwości, ojciec.

Wysłuchaj mnie, a zrozumiesz, gdyż nikt na świecie przed tobą nie poznał całej prawdy.

Przetrzymałam Erika przez miesiąc, ale nie mogłam dłużej.

Miałam sąsiadów, co chwila

któs pukał do drzwi...

Pewnej nocy zabrałam go do pracy, do Opery.

Tam mu znalazłam nowe miejsce.

Lepiej powiedzieć: sanktuarium.

Kryjówkę, w której mógłby na zawsze zniknąć przed światem.

Choć wciąż bał się ognia, śmiało wziął pochodnię i wszedł do najgłębszych piwnic, tam, gdzie ciemność skryła jego przeokropne rysy.

Za pomocą narzędzi z warsztatu ciesielskiego wybudował z desek dom na skraju jeziora.

Przyniósł meble z rekwizytorni i pościel ze szwalni.

W mroku nocy, kiedy gmach pustoszała, chodził do bufetu po żywność i zdarzało się, że w poszukiwaniu łakoci przetrząsał spiżarnię dyrektora.

Dużo czytał.

Dorobił sobie klucz do operowej biblioteki.

Lata mi zdobywał wiedzę, której poskąpiono mu wczesniej.

Noc po nocy pochłaniał dzieła zgromadzone w ogromnym księgozborze. Rzecz jasna, większość prac dotyczyła muzyki i opery. Poznał każdą napi saną dotychczas operę i każdą nutę każdej jednej arii. Dzięki swoim zdolnościom skonstruował prze dziwny labirynt przejść znanych tylko jemu, a po nieważ w dzieciństwie ćwiczył z linoskoczkami, bez strachu biegał po najwyższych i najniższych gzym sach. Przez jedenaście lat żył w odosobnieniu, aż stał się człowiekiem podziemi. Oczywiście, w niedługim czasie zaczęły narastać plotki. Mówiono o żywności, odzieży, świecach i na rzędziach znikających nocą. Ktoś raz czy dwa na pomknął o upiorze mieszkającym w lochach i już

39 .

□ wkrótce każde najmniejsze zdarzenie a w teatrze nietrudno o wypadek wiązano z tajemniczym widmem.

Tak narodziła się legenda.

Mon Dieu, przecież słyshałem o tym.

Dziesięć lat...

Nie, to musiało być znacznie wcześniej...

We zwano mnie do ostatniej posługi przy jakimś wisielcu.

Dowiedziałem się wówczas, że to czyn Upiora.

Ów nieszczęśnik zwał się Buquet, ojcz.

Erik go nie zabił.

Joseph Buquet przeżywał głębokie zała manie i bez wątpienia sam targnął się na życie.

Początkowo przyjmowałam te plotki z radością, gdyż sądziłam, że dzięki nim zostawią mi chłopca w spokoju.

Chłopca...

Zawsze tak o nim myślałam.

Sądziłam, że będzie bezpieczny w swoim małym królestwie, w ciemnościach pod Operą.

Może i tak by było, gdyby nie nadszedł feralny rok dziewięć dziesiąty trzeci.

Erik zrobił coś najgłupszego, ojcz.

Zakochał się.

Jego wybranka nazywała się wówczas Christine Daae.

Dzisiaj znają ojczec jako madame wicehrabinę de Chagny.

Ależ to niemożliwe!

Przecież...

To ta sama osoba, niegdyś zwykła chórzystka pod moim nadzorem.

Tańczyła słabo, lecz była ob darzona czystym, wspaniałym głosem.

Niestety, nie wyćwiczonym.

Erik noc w noc słuchoł najwspaniał szych śpiewaków świata.

Studiował teksty...

i wie dział, jak uczyć.

Kiedy skończył, Christine raz wy stąpiła w głównej roli i to wystarczyło, by uczynić z niej gwiazdę.

40

Mój biedny, przeokropny i odepchnięty Erik wie rzył, że w zamian zdobędzie jej miłość.

Oczywiście, pomylił się.

Christine spotykała się z innym.

Zroz paczony porwał ją pewnej nocy z samego środka sceny, w czasie „Triumfu Don Juana”.

Tak brzmiał tytuł opery, którą sam napisał.

Cały Paryż mówił o tym wydarzeniu!

Więsci dotarły nawet do mnie, do skromnego księdza.

Po pełniono morderstwo.

Tak, ojcz.

Zginał tenor Piangi.

Erik nie chciał go zabić, jedynie próbował uciszyć.

Włoch zakrztusił się i skonał.

To oznaczało koniec.

Los chciał, że na widowni był w tym czasie komisarz policji.

Wezwał setkę żandarmów, wzięli żagwie i na czele żadnego krwi tłumy zeszli do podziemi, nad samo jezioro.

Znaleźli ukryte schody, tunele, chatkę nad jezio rem i wystraszoną, omdlewającą Christine.

Była ze swym amantem, młodym wicehrabią de Chagny.

Drogim i słodkim Raoulem...

Zabrał ją i w jego silnych, lecz czułych objęciach znalazła ukojenie.

Dwa miesiące później stwierdziła, że jest w ciąży.

Raoul poślubił ją, dał nazwisko, tytuł, miłość i złotą obrączkę.

Ich syn urodził się latem, dziewięćdziesiątego czwartego roku.

wychowują go razem.

A Chris tine w ciągu dwunastu lat stała się największą diwą Europy.

Erik zniknął na zawsze, prawda, dziecko?

Jak pamiętam, nie natrafiono na żaden ślad Upiora.

Zniknął, ojczu.

Lecz ja go odnalazłam.

Załam na wróciłam do małego gabinetu, jaki miałam

41 .

□

przy salce baletowej.

Zobaczyłam go, kiedy odciągnęłam zasłonę wnęki służącej mi za szafę.

Siedział tam, z maską w ręku, choć rzadko ją zdejmował, nawet w samotności.

Skulony, jak niegdyś, gdy krył się pod schodami...

I wezwałeś policję...

Nie, ojczu.

Nie wezwałam.

To był wciąż mój chłopiec...

Jeden z dwóch moich ukochanych chłop ców.

Nie mogłam go porzucić na pastwę rozpasanej tłuszczy.

wzięłam damski kapelusz, grubą woalkę, płaszcz...

i tylnymi schodami wyszliśmy na ulicę.

Ot, dwie skromne kobiety na wieczornej przechadzce.

wokół krążyły setki ludzi.

Nikt nie zwracał na nas najmniejszej uwagi.

Trzy miesiące przesiedział w moim małym mieszkaniu, odległym zaledwie pół mili od Opery.

Wszędzie wisiały listy gończe z ceną za jego głowę.

Musiał uciec z Paryża, na zawsze opuścić Francję.

Pomogłaś mu w tej ucieczce, dziecko.

To grzech i zbrodnia.

Zapłacę za wszystko, ojczu.

Już wkrótce.

Zima była mroźna i ciężka.

Nie mogliśmy skorzystać z po ciągu, wynajęłam więc kryty powóz i czwórkę dobrych koni.

Pojechaliśmy do Hawru.

Tam ukryłam Erika w jakiejś taniej oberży i przeczesalam wszystkie portowe tawerny.

Wreszcie trafił mi się kapitan niewielkiego frachtowca płynącego w rejs do Nowego Jorku.

Wziął łapówkę i o nic nie pytał.

W połowie stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku stanęłam na samym końcu najdłuższego

42

moło i popatrzyłam na światła statku, powoli znikające w mroku.

Erik wyruszył w podróż do Nowego Świata.

Powiedz, ojczu, czy jest ktoś z nami?

Nic nie widzę, lecz wiem, że ktoś przyszedł.

W rzeczy samej, właśnie wszedł jakiś człowiek.

Nazywam się Armand Dufour, madame.

Ktoś raś z nowicjuszek wezwała mnie z biura.

Jest pan notariuszem?

Może pan wypełnić moją ostatnią wolę?

Tak, madame.

Monsieur Dufour, niech pan z łaski swojej sięgnie pod moją poduszkę.

Jestem za słaba, by to zrobić.

Dziękuję.

Co pan znalazł?

Jakiś list w szarej kopercie...

i małą zamszową torebkę.

Doskonale.

Proszę wziąć kałamarz i pióro.

Niech pan napisze na kopercie, w miejscu zaklejenia, że dostał pan ją dzisiaj, nie otwieraną przez nikogo.

Pospiesz się, błagam, dziecko.
Nie skończyliś my naszej sprawy...
Cierpliwości, ojczu.
Wiem, że mam mało czasu, lecz po tylu latach milczenia muszę załatwić pewne sprawy.
Skończył pan, panie le notaire?
Wszystko napisałem zgodnie z pani życzeniem, madame.
Jaki jest adres na kopercie?
To na pewno pani charakter pisma...
"M. Erik Muhlheim, Nowy Jork".
A torebka?
43 .

□
Mam ją w ręku.
Proszę otworzyć.
Nom dun chien!
Złote napoleony.
Nie widzia łem ich, odkąd...
Wciąż mają jakąś wartość?
I to niemałą.
W takim razie proszę je zabrać, wraz z listem, do Nowego Jorku.
Osobiście.
Osobiście?
Do Nowego Jorku?
Ależ, madame, zwykle...
to znaczy nigdy nie byłem...
Monsieur le notaire, proszę...
Wystarczy panu złota na półtoramiesięczną podróż?
Aż nadto, ale...
Moje dziecko, wszak nawet nie wiesz, czy on jeszcze żyje.
Na pewno przeżył, ojczu.
Zawsze potrafił prze trwać.
Nie ma dokładnego adresu.
Gdzie mam go odszukać?
Niech pan pyta, monsieur Dufour.
Niech pan sprawdzi w rejestrach imigracyjnych.
To rzadkie nazwisko.
Musí gdzieś być.
Człowiek w masce.
Dobrze, madame, spróbuję.
Pojadę i poszu kam.
Nie ręczę jednak, że mi się cokolwiek uda.
Dziękuję.
Powiedz, ojczu, czy niedawno któraś z sióstr podała mi łyżeczkę z białym proszkiem?
Od chwili, kiedy przyszedłem, nie dostawałaś żadnych środków.
Czemu pytasz?
Dziwne, lecz ból ustąpił.
Jaka cudowna ulga...
Nic nie widzę po bokach.
Jestem jak w tunelu.
Bolało
44
mnie całe ciało, a teraz tak mi dobrze...
Było zimno, a już jest coraz cieplej.
Szybciej, monsieur l'Abbe.
Odchodzi od nas.
Dziękuję, siostro.
Znam swoje obowiązki.
Idę przez tunel, w stronę jasnego światła.
Pięk ne...
Lucien, to ty?
Czekałeś na mnie, kochany?
In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti...
Szybciej, ojczu.
Ego te absolvo ab omnibus peccatis tuis.
Dziękuję, ojczu.

□

Rozdział II

HYMN ERIKA MUHLHEIMA

APARTAMENT W E.M.

TOWER, PARK RÓW, MANHATTAN, PAŹDZIERNIK 1906 ROKU

Codziennie, latem czy zimą, w deszcz czy słońce, budzę się bladym świtem.

Ubieram się i wychodzę z mieszkania na maleńki prostokątny taras, zawieszony na samym szczycie najwyższego drapacza chmur w Nowym Jorku.

Stąd, zależnie od tego, w którym miejscu stanę, po zachodniej stronie widzę rzekę Hudson, a za nią zielone przestrzenie New Jersey.

Na północ stąd są środkowe i górne dzielnice tej cudownej wyspy, pełnej bogactw i biedy, szaleństw i ubóstwa, występku i zbrodni.

Na południu rozciąga się otwarte morze, za którym leży stara Europa i moja gorzka przeszłość.

Po wschodniej stronie zaś, tuż za rzeką, rozsiadł się Brooklyn, a przy nim, skryta w morskiej mgłę, osobliwa wyspa zwana

46

Coney Island.

To ona właśnie uczyniła mnie niezmiernie bogatym.

Siedem lat cierpiełem pod ciężką pięścią ojca, dziewięć spędziłem w klatce, niczym dzikie zwierzę, jedenaście jako wyrzutek w podziemiach paryskiej Opery i dziesięć, próbując uciec z cuchnących zgniłą rybą zaułków Gravesend Bay. Teraz mam pieniądze i wpływy, o jakich nie marzył sam Krezus.

Patrzę więc w dół, na rozlazłe miasto i myślę o tym, jak bardzo cię nienawidzę, ludzka raso.

Po długim i ciężkim rejsie dotarłem tutaj na po czątku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Atlantykiem miotały sztormy.

Chory do imentu, płackiem leżałem na koi.

Podróż opłacała jedyna ludzka istota, od jakiej kiedykolwiek zaznałem lepszych uczuć.

Znosiłem utyskiwania i docinki załogi, wiedząc, że po trzykroć wyrzucą mnie za burtę, jeśli tylko zacznę się stawiać.

Przez cały miesiąc płynęliśmy po rozhukanych i kipiącym oceanie, aż wreszcie, pewnej zimnej nocy, gdzieś pod koniec stycznia, sztorm zelżał i rzuciliśmy kotwicę w Roads, dziesięć mil od południowego cypla Manhattanu.

wiedziałem tylko, że dobiliśmy do lądu.

Jakiegoś lądu.

Potem przypadkiem usłyszałem, jak jeden z ma rynarzy z chrapliwym bretońskim akcentem oznajmił, że następnego ranka popłyniemy w górę East River, na kontrolę celną.

Pomyślałem, że znów mnie znajdą.

Że znów zostanie wyśmiany, poniżony, odepchnięty i jako nielegalny imigrant w kajdanach odesłany do Francji.

47 .

□

Tuż przed świtem, kiedy wszyscy spali, nie wyłazając z pijanej wachty, wziąłem z pokładu zapleśniały kapok i skoczyłem do lodowatej wody.

Hen, daleko, w ciemnościach, połyskiwały słabe światła.

Zmarznięty i odrętwiały, płynąłem bez wytchnienia, aż po godzinie stanąłem na kamienistej, oszronionej plaży.

W najmniejszym stopniu nie zdawałem sobie sprawy, że pierwsze kroki w Nowym Świecie stawiam na brzegach Gravesend Bay, na Coney Island.

Światło, które widziałem, padało z brudnych okien paru koślawych baraków ustawionych na końcu plaży, tuż za linią przyboju.

Ukradkiem zajrzałem do wnętrza jednego z nich.

Zobaczyłem grupę skulonych w kucki ludzi, którzy w blasku lampy naftowej uprawiali świeżo złowione ryby.

Nieco dalej, między barakami, była pusta przestrzeń z ogromnym ogniskiem.

Przy ogniu grzało się kilku oberwańców.

Na pół żywy z zimna, zdałem sobie sprawę, że też muszę się ogrzać, bo w przeciwnym razie zamrznę na amen.

Stanąłem w migotliwym kręgu, rzucanym przez płomienie, poczułem falę ciepła i potoczyłem wzrokiem po sąsiadach.

Maskę miałem schowaną głęboko pod ubraniem, więc nic nie zakrywało mojej okropnej twarzy.

Popatrzyli na mnie.

Nigdy w życiu nie byłem skłonny do śmiechu.

Nie miałem ku temu powodów.

Jednak tamtej nocy, w mroźnym przedświcie, w głębi duszy śmiałem się do rozpuku. Śmiałem się z ulgi, gdyż moi towarzysze

48

spojrzeli na mnie...

i spokojnie odwrócili głowy.

Każdy z nich na swój sposób był biednym kaleką.

Przez przypadek trafiłem do obozowiska włóczęgów z Gravesend Bay, wyrzutek, którzy pędzili nędzne życie, czyszcząc i oprawiając ryby, w czasie gdy reszta miasta najzwyczajniej spała.

Pozwolili mi wyschnąć i ogrzać się przy ogniu.

Spytali, skąd przychodzę, chociaż musieli wiedzieć, że przyplłynąłem morzem. Czytywałem niegdyś libretta angielskich oper, więc znałem kilka słów w tym języku.

Wyjaśniłem, że uciekłem z Francji.

Nie robiło im to żadnej różnicy.

Każdy z nich też skądś uciekł, zapędzony przez bliźnich aż na ten opuszczony spłachetek plaży.

Przezwalili mnie "Francuzikiem", przy jęli do siebie, dali kąpiel do spania na kupie starych sieci i zapewnili pracę.

Całą noc harówki za parę dziesiątaków...

Żyliśmy, jedząc resztki, najczęściej głodni i zziębnięci, lecz wolni od wszelkich zasad, więzień i łańcuchów.

Nadeszła wiosna i pomału zacząłem poznawać resztę Coney Island, poza granicą ostów otaczającą cichą rybacką wioskę.

Dowiedziałem się, że praktycznie cała wyspa była wyjęta spod prawa, a raczej miała własne prawo.

Oficjalnie nie należała do odzielnego wąskiego pasemka wody Brooklynu, w którym rządził pół gangster, pół polityk, niejaki John Mckane.

Niedawno go aresztowano.

Mimo podziału macki Mckanea sięgały daleko w głąb wyspiarskiego, dziwnego świata pełnego jarmarków, bajzlu, zbrodni, występków i rozkoszy.

Zwłaszcza

49 .

□

ostatni składnik stał się głównym celem pielgrzymek nowojorskich burżujów, ściągających tutaj co week end, by wydawać krocie na miłą przyjemność oferowaną im przez kutych na cztery nogi cwa niaków.

W odróżnieniu od reszty włóczęgów, którzy w gruncie rzeczy tylko przez głupotę spędzali życie przy rybach, wiedziałem, że przy odrobinie szczęścia i konceptu wyrwę się z tych baraków.

Mogłem zbić majątek przy budowie wciąż nowo powstających lunaparków.

Ba, ale jak zacząć?

Po pierwsze, pod osłoną nocy zakradłem się do miasta i zdobyłem kilka stosowniejszych ubrań.

Zrywałem je ze sznurów i zabierałem z pustych domków plażo wych.

Potem z desek znalezionych na placu robót postawiłem wygodniejszy szałas.

Żyło mi się odrobinę lepiej, lecz nadal nie wychodziłem za dnia, aby nie straszyc swoim wyglądem turystów, wałęsających się po wyspie z kieszeniami pełnymi pieńdzy.

Dołączył do nas nowy przybysz chłopak, zaledwie siedemnastoletni, czyli dziesięć lat młodszy ode mnie, ale nad wiek dorosły.

Najdziwniejsze, że nie był kaleką, przynajmniej pod względem fizycznym.

Miał bladą cerę i czarne nieprzeniknione oczy.

Po chodził z Malty, gdzie liczył nieco szkoły u katolickich księży.

Mówił płynnie po angielsku, znał grekę i łacinę, a co najważniejsze działał bez najmniejszego skrupułów.

Trafił do nas, bo miał dość ciągłej pokuty i pewnego pięknego dnia pchnął kuchennym

50

nożem swojego opiekuna.

Ksiądz zginął na miejscu.

Chłopak zwał z Malty na wybrzeże Berberyjskie, tam na jakiś czas

znalazł „zatrudnienie” w przybytku dla pedałów, aż wreszcie wkradł się na statek płynący do Nowego Jorku.

Ścigany listem gończym, postanowił ominąć filtr imigracyjny na Ellis Island i tak trafił do Gravesend Bay.

Szukałem kogoś, kto mógłby w ciągu dnia reprezentować moje interesy, on

zaś potrzebował mo ich zdolności i rozumu, aby wypłatać się z matni. Stał się więc moim podwładnym i przedstawicielem.

Ramię w ramię wyszliśmy ze śmierdzących rybą szałasów i przejęliśmy władzę nad połową Nowego Jorku.

Do dzisiaj znam go tylko pod imieniem Dariusza.

Uczyłem go, lecz on mnie także uczył.

wyleczył mnie ze starych i głupawych wierzeń i przekonał do jedyne prawdziwego boga.

Wielkiego Mistrza, bezustannie czuwającego nad wiernymi.

w niezwykle prosty sposób rozwiązałyśmy kwestię moich dziennych spacerów.

Latem dziewięćdziesiątego czwartego roku za pieniądze zaoszczędzone z oprawiania ryb zamówiłem lateksową maskę, za krywającą mi całą głowę, z wyjątkiem otworów na usta i oczy.

Była to maska kłowna, z perkatym czerwonym nosem i szerokim od ucha do ucha uśmiechem.

Założywszy do tego obszerną marynarkę i workowate spodnie, bez wzbudzania najmniejszych podejrzeń włóczyłem się po lunaparkach.

Rodzice z dziećmi nawet machali w moją stronę.

Strój błazna

51 .

□

stał się dla mnie przepustką do słonecznego świata.

Przez dwa lata gromadziłem fundusze.

Nie zliczę już, ilu oszustw i wyłudzeń dopuściłem się w tamtych czasach.

Najprostsze rzeczy przynosiły najwięcej zysków.

Pewnego razu dowiedziałem się, że co weekend ludzie wysyłają z Coney Island ćwierć miliona pocztówek!

Z reguły mieli kłopoty z kupnem znaczków.

Kupiłem więc zwykłe kartki pocztowe za centa, opatrzyłem pieczętką PRZESYŁKA OPŁACONA i sprzedawałem po dwa centy.

Ludzie byli szczęśliwi.

Nawet nie przypuszczali, że koszt przesyłki był już wliczony w oryginalną cenę kartki.

Potrzebowałem jednak znacznie, znacznie więcej.

Czułem pod skórą, że nadchodzi era masowej rozrywki, a wraz z nią krociowe i legalne zyski.

Przez pierwsze półtora roku doznałem tylko jednej porażki, niestety dosyć dotkliwej.

Którejś nocy wróciłem do baraków z torbą pełną dolarów, kiedy dopadło mnie czterech opryszków, uzbrojonych w kastety i pałki.

Rabunek pewnie bym przeżył bez większego uszczerbku dla zdrowia, ale oni zerwali mi maskę, ujrzeni twarz i niemal na śmierć mnie pobili.

Miesiąc przeleżałem na pryczy, zanim znów mogłem chodzić.

Od tamtej pory zawsze nosiłem małego derringera i poprzysiągłem sobie, że nikt mnie już bezkarnie nie skrzywdzi.

Pod koniec jesieni usłyszałem o niejakim Paulu Boytonie, który chciał otworzyć na wyspie pierwszy

52

park rozrywki czynny w każdą pogodę.

Dariusz, na moje polecenie, spotkał się z nim i przedstawił jako świeżo przybyły z Europy geniusz techniki budowlanej.

Zadziałało.

Boyton zamówił u nas sześć krytych tras dla wagoników.

Każdą z nich zaprojektowałem z użyciem rozmaitych trików i złudzeń optycznych, tak, aby maksymalnie spożycie poszukiwane przez turystów uczucie strachu i zdumienia.

Sea Lion Park otworzył podwoje w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku.

Od pierwszego dnia waliły tam nieprzeliczone tłumy.

Boyton chciał zapłacić Dariuszowi za "jego" projekt, lecz nie dopuściłem do tego.

W zamian zażądałem dziesięciu centów z każdego dolara zarobionego na naszych wynalazkach przez najbliższe dziesięć lat.

Boyton zgodził się, bo wszystko wydał już na budowę i tkwił po uszy w długach.

Po miesiącu okazało się, że atrakcje nadzorowane przez Dariusza tydzień w tydzień dają nam po sto dolców.

Najlepsze miało dopiero nadejść.

Następcą rozpolitykowanego McKane'a był rudy warchoł nazwiskiem George Tilyou. Też chciał mieć lunapark i zgarnąć grubszą kasę. Boyton wprawdzie się wściekał, lecz nie mógł mi nic zrobić, więc nie zwracałem na niego najmniejszej uwagi. Dla George'a zaprojektowałem jeszcze lepsze rzeczy, na tych samych zasadach: mój procent od zysków. Steeplechase Park uruchomiono w dziewięćdziesiątym siódmym. Przynosił nam okrągły tysiąc dolarów

53 .

□

dziennie. Kupiłem wówczas elegancką willę w pobliżu Manhattan Beach. Sąsiadów miałem niewiele, i to tylko w weekendy, czyli wówczas, gdy w kosztownie waleśałem się wśród turystów w obu wspomnianych parkach. Na Coney Island regularnie odbywały się mecze bokserskie, namiętnie obstawiane przez miliony, zjeżdżających tam nową linią kolejową wiodącą z Brooklyn Bridge do Manhattan Beach Hotel. Kręciłem się wśród widzów, lecz nie zawierałem zakładów, przekonany, że większość walk była sfirowana. Prawo zabraniało hazardu zarówno w metropolii, jak w Brooklynie, a prawdę mówiąc, nawet w całym stanie. Tu jednak, na Coney Island, na ostatnim przyczółku Pogranicza Zbrodni, z rąk do rąk przechodziły gigantyczne sumy. W tydzień osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Jim Jeffries wyzwał Boba Fitzsimmonsa do walki o tytuł mistrza świata wagi ciężkiej. Na miejsce pojedynku wyznaczono Coney Island. Nasz majątek wynosił wówczas dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zamierzałem postawić wszystko na Jeffriesa, przy bardzo niekorzystnej stawce. Dariusz szalał z gniewu, póki nie wyjaśniłem mu wszystkiego. Zauważyłem, że w przerwach między rundami bokserzy biorą duży haust wody ze stojącej przy ringu butelki. Czasem potem spluwali, a czasem nie. Pouczony przez mnie Dariusz, w przebraniu reporter'a, najzwyczajniej w świecie zamienił butelkę Fitzsimmonsa.

Jeffries bez większego trudu znokautował rywala, oszołomionego środkiem nasennym.

W tym samym roku w hali Klubu Sportowego Coney Island bronił tytułu w walce z "Sailorem" Tomem Sharkeyem.

Ta sama sztuczka, ten sam wynik.

Biedny Sharkey.

Zagarnęliśmy dwa miliony.

Przyszła pora, by się przenieść do centrum i na główny rynek.

Latami studiowałem działalność największego luna parku, czyli nowojorskiej giełdy.

Nie rządziły tam żadne prawa.

Miałem jednak jeszcze coś do zrobienia na wyspie.

Dwóch narwańców, Frederica Thompsona i Skipa Dundyego, opętała myśl, by otworzyć trzecie i największe wesołe miasteczko.

Pierwszy z nich był zapracowanym inżynierem, drugi zramolałym finansistą.

W pogoni za gotówką zadłżyli się w bankach powyżej czubka głowy.

Dariusz powołał więc fasadową firmę o nazwie Loan Corporation i zdumiał ich propozycją udzielenia pożyczki bez zastawu i bez dodatkowych opłat.

W zamian przedsiębiorstwo E.M.

żądało przez dekadę dziesięciu procent dochodów z Luna Parku.

Zgodzili się.

Nie mieli większego wyboru: to albo bankructwo z rozgrzebaną w połowie inwestycją.

Luna Park rozpoczął działalność drugiego maja tysiąc dziewięćset trzeciego roku.

O dziewiątej rano Thompson i Dundy byli bankrutami.

W południe spłacili wszystkie długi z wyjątkiem mojego.

Przez pierwsze cztery miesiące Luna Park zarobił pięć milionów dolarów.

Potem zyski

55 .

□

spadły do miliona miesięcznie i tak jest do tej pory.

Nie czekałem długo z przenosinami na Manhattan.

Z początku zamieszkałem w raczej skromnym domu z czerwonej cegły. Większość czasu spędzałem w czterech ścianach, bo kostium kłowna był już nieprzydatny.

Darius w moim imieniu zaczął grać na giełdzie, ściśle wypełniając każdą moją instrukcję.

Ja zaś przeglądałem sprawozdania przedsięwzięć i szczegóły emisji akcji.

Wkrótce zrozumiałem, że kraj przeżywał niesłychany rozwój gospodarczy.

Nowe pomysły i projekty, odpowiednio zareklamowane, z miejsca znajdowały nabywców.

Wszystko parło szaleńczym tempem na zachód.

Nowy przemysł potrzebował surowców, a wraz z nimi statków i kolei, przewożących towary na wygłodzony rynek.

Przez lata, jakie spędziłem na Coney Island, imi granci z całego globu ściągali milionami, ze wscho du i z Zachodu.

Lower East Side, którą widzę prawie pod tarasem, nawet dziś przypomina gorące tygiel wszystkich ras ludzkich, żyjących obok siebie w ciasnym świecie ubóstwa, gwałtów, występku i przemocy.

A zaledwie o milę stąd stoją domy magnatów, jeżdżą zgrabne wolanty i piętrzy się opera.

W ciągu tysiąc dziewięćset trzeciego roku, po kilku pomyłkach, zgłębiłem zasady giełdy i dowiedziałem się, jak giganci ot, choćby Pierpont Morgan doszli do swoich zysków.

Tak samo jak oni wszedłem

56

w węgiel w Wirginii Zachodniej, stał w Pittsburghu, w linię kolejową aż do Nowego Meksyku, w prze wozy z Savannah via Baltimore do Bostonu, w teksaskie srebro i nieruchomości na całym Manhattanie.

Byłem lepszy i twardszy od nich, bo wierzyłem tylko w jednego boga, którego ukazał mi Darius.

Ów bożek złota, Mammon, nie uznaje łaski ni jałmużny, współczucia ani skrupułów. Nie ma też takiej wdowy, dziecka czy biedaka, z których nie dałoby się wycisnąć chociaż paru kropel drogiego kruszcu, cie szącego oblicze Pana.

Ze złotem przychodzi władza, a wraz z nią jeszcze więcej złota w wielkim światoburczym cyklu.

We wszystkim jestem i pozostaję władcą i zwierzch nikiem Dariusa.

We wszystkim, prócz jednego.

Ni gdy dotąd ta planeta nie znała zimniej szego i bardziej okrutnego człowieka.

Nigdy po niej nie stapała bar dziej bezduszna istota.

W tym mnie przerasta.

Ale z drugiej strony, niewolny jest od słabości.

Tylko jednej.

Pewnej nocy, wiedziony ciekawością, poszedłem za nim w trakcie którejś z jego sporadycznych wędrówek.

Zaszył się w speluncie w mauretańskiej dzielnicy i palił haszysz, aż wpadł w rodzaj transu.

I to tyle.

Kiedyś nawet sądziłem, że będzie mi przy jacielem, lecz dawno zrozumiałem, że brak w nim takich uczuć.

Dniem i nocą bije pokłony przed zło tem i trwa przy mnie tylko dlatego, że potrafię zarabiać krocie.

W tysiąc dziewięćset trzecim roku miałem już wystarczająco wiele, by na pustym placu przy Park

57 .

□

Rów wybudować najwyższy drapacz chmur w No wym Jorku, E.M.

Tower.

Prace ukończono w tysiąc dziewięćset czwartym.

Czterdzieści pięter stali, be tonu, szkła i granitu, a co najpiękniejsze trzydzie ści siedem z nich mam pod sobą.

Zapłaciły już za wszystko i podwoiły swoją wartość.

Jedno piętro przeznaczyłem na biura, połączone telegrafem i tele fonem z giełdą. Wyżej, po połowie, jest apartament Dariusa i gabinet zarządu.

Reszta już tylko moja, włącznie z tarasem, górującym nad tym, co widzę, sam nie będąc widziany.

Tak...

Klatkę na kołach i ponure lochy zamieniłem na podniebny pałac, w którym mogę przechadzać się bez maski.

Nikt i nic, oprócz mew, szybujących z południową bryzą, nie ogląda mej

piekielnej twa rzy.

Stąd gdzie stoję, dostrzegam nawet wreszcie ukończony i połyskujący dach jedyne przedsię wzięcia, jakiego nie wiązałem z zyskiem, lecz raczej chęcią zemsty.

Daleko, przy Zachodniej Trzydziestej Czwartej wznosi się nowo wybudowany gmach opery manhattańskiej.

Jej rywalka, snobistyczna Metropolitan Opera, pozostała kilka długości w tyle.

Kiedy tu przybyłem, bardzo chciałem obejrzeć jakieś sławne dzieło, potrzebowałem jednak osobnej i osłoniętej łoży.

Komitet, zawładnięty przez jejmość Astor i od dane jej damy „z towarzystwa” cholerną "Czterystkę" wezwał mnie na spotkanie.

Wysłałem Dariusza, ale to nie pomogło.

Zażądano spotkania

58

twarzą w twarz.

Zapłacą mi za zniewagę, gdyż zna łażłem innego melomana, obrazonego w ten sam sposób.

Oscar Hammerstein, który już otworzył jedną operę i przegrał, finansował budowę drugiej.

Zostałem jego cichym wspólnikiem.

Nowa opera rozpocznie działalność w grudniu i zmiecie Met ropolitan.

Nie pożalowałem na to.

Wystąpi sam wielki Bonci, ale i Melba...

Tak, przewspaniała Mel ba zaśpiewa w mojej operze.

Nawet w tej chwili Hammerstein jest w Paryżu, w Grand Hotelu pobu dowanym przez Graniera przy Bulwarze Kapucy nów.

Trwoni moje pieniądze, by na pewno sprowa dzić Melbę do Nowego Jorku.

wydarzenie bez precedensu.

Sprawię, że tłum snobów, Yanderbiltów, Rockefellerów, witneyów, Gouldów, Astorów i Morganów będzie przede mną pełzał, zanim dam jej posłuchać.

Poza tym patrzę w dół i w przyszłość...

I może także w przeszłość.

Na życie przepełnione bólem i poniżeniem, nienawiścią i strachem.

Ty nienawi dzisz mnie, a ja ciebie.

Tylko raz zaznałem odrobiny uczuć.

Od kobiety, która najpierw zabrała mnie z klatki do piwnicy, a potem na statek, kiedy mnie tropiono jak zgonionego lisa.

Była dla mnie jak matka, której prawie nie znałem.

Była też inna...

Pokochałem ją, lecz bez wzajem ności.

Za to mnie też potępiasz, przebrzydła ludzka raso?

Za to, iż los sprawił, że nie można mnie kochać jak zwykłego człowieka?

Pamiętam taką chwilę, ulot59 .

□

na i przebrzmiała jak osioł Chestertona, pełną ognia i słodczy króciutką godzinę, gdy już, już myślałem, że zaznam miłości...

Popiół, sadz, pustka.

Nie zdarzy ło się.

I nigdy nie zdarzy.

Musi być więc w zamian trochę inna miłość wiara w Pana, który mnie nie zdradzi. Jego właśnie czcić będę aż do końca życia.

Rozdział III

LAMENT ARMANDA DUFOUR

ULICA, BROADWAY, NOWY JORK, PAŹDZIERNIK 1906 ROKU

Nie cierpię tego miasta.

Nie powinienem był tu przyjeżdżać.

Po co, do diaska, to zrobiłem?

Na życzenie umierającej biedaczki w Paryżu, która rów nie dobrze mogła mieć pomieszanie zmysłów?

No i dla sakiewki pełnej złotych napoleonów.

Tak, czy siak, nie powinienem był brać tej sprawy.

Gdzie szukać adresata tego nieszczęsnego listu?

Nonsens...

Wedle słów księdza Sebastiana powinien być tak brzydki, że widoczny w tłumie jak na dłoni.

Jest akurat odwrotnie; stał się niewidzialny.

Z dnia na dzień nabieram przekonania, że wcale tu nie przybył.

Nie przeszedł przez kontrolę na Ellis Island.

Byłem tam istny rozgardiasz i chaos.

Biedota i kalecy ze wszystkich zakątków świata ciągną do tego kraju, a większość z nich pozostaje w tym obrzydliwym mieście.

Nigdy nie oglądałem

61 .

□

potworniejszej sceny: długi rząd niechlujnych, śmier dzących uchodźców.

Niektórzy prawie zwariowali w czasie koszmarnego rejsu, gdy kazano im siedzieć w zapyziałych lukach.

Teraz ściskają w dłoniach poszarpane torby z całym ich ziemskim dobytkiem i stoją w niezliczonej ciżbie wśród bezbarwnych budynków na tej beznadziejnej wyspie.

Z wyspy obok spogląda na nich olbrzymia statua, dar od mojego kraju.

Dama z pochodnią.

Ktoś mógł prze cież powiedzieć Bartholdiemu, żeby zatrzymał ów przeklęty posąg we Francji i w zamian posłał Jankesom coś przydatniejszego.

Najlepiej duży komplet słowników Larousse'a, by się mogli nauczyć cywili zwaney mowy.

Nie...

Trzeba było silić się na symbole.

A oni przerobili to w magnes, ściągający wszystkich łązegów z Europy i jeszcze dalszych krain.

Przybywają tutaj w poszukiwaniu lepszego życia.

Quelle blague!

Jankesi to wariaci.

Chcą stworzyć kraj z szumowin?

Z bandy wyrzutków, porzucających domy od Bantry Bay po Brześć nad Bugiem i od Trondheimu aż po Taorminę?

Czego się spodziewają?

Że pewnego dnia przemienia się w potężny i bogaty naród?

Poszedłem porozmawiać z szefem Biura Imigracyjnego.

Dzięki Bogu, miał tłumacza, który znał fran cuski.

Powiedział, że za ledwie parę osób zostało odprawionych ze względu na kalectwo lub inną przypadłość, ale że mój adresat mógł być i w tej grupie.

A nawet jeśli wjechał przed dwunastoma laty, to miał aż nadto miejsca, żeby się gdzieś osiedlić.

Na

62

trzech tysiącach mil od wschodniego wybrzeża do Pacyfiku.

Zwróciłem się do władz miasta.

Tam uzyskałem informację, że jest pięć niezależnych gmin i że na ogół nikt nie prowadzi dokładnej statystyki.

Mogłem odwiedzić Brooklyn, Queens, Bronx i Staten Island i co z tego?

Zostałem więc na Manhattanie i dalej się ugamiam za tym nieszczęsnym zbiegiem.

Co za nędz ne zadanie dla dobrego Francuza!

W księgach na ratuszu odnalazłem pewnie z tuzin Muhlheimów.

Sprawdziłem wszystkich.

Jakby się nazywał Smith, wróciłbym do domu.

Mają tutaj niemało telefonów i odpowiednie spisy nazwisk.

Erika Muhlheima nie było.

W Urzędzie Podatko wym usłyszałem natomiast, że ich dane są tajne.

Lepiej poszło z policją.

Trafiłem na Irlandczyka, sierżanta, który stwierdził, że jak zapłacę, to po szuka.

Dobrze wiem, że "honorarium" schował do kieszeni.

Poszedł gdzieś, potem wrócił i powiedział, że Muhlheima nie ma, ale znalazł ze sześciu Miillerów, którzy się mogą przydać.

Dureń.

Pojechałem do cyrku na Long Island.

Pudło.

By łem w wielkim szpitalu o nazwie Bellevue, lecz nie trafili na pacjenta ze zdeformowaną twarzą.

Sam już nie wiem, co robić.

Wynająłem pokój w skromnym hotelu na tyłach tego bulwaru.

Posiłki są okropne, a piwo wprost wstrętne.

Sypiam na wąskiej pryczy i marzę o po wrocie do mieszkania przy Ile Saint Louis, o ciepłe i rozkosznie tłustych pośladekach madame Dufour.

63 .

□

Tutaj jest coraz zimniej i kończą mi się pieniądze.

Chcę wrócić do mojego kochanego Paryża, do cywi lizowanego miasta, w którym ludzie po prostu cho dzą, a nie gnają na oślep przed siebie.

Tam, gdzie powozami nie kierują szaleńcy, a tramwaje nie są zagrożeniem dla rąk, nóg czy życia.

Do tej pory myślałem, że przynajmniej trochę znam perfidny język Szekspira, gdyż widywałem lordów wystawiających konie do wyścigów w Auteuil i Chantilly.

Tutaj mówią przez nos i w dodatku za szybko.

Wczoraj, przy tej samej ulicy, natrafiłem na włoską kawiarenkę, gdzie parzą dobrą kawę i mają nawet chianti.

Nie bordeaux, rzecz jasna, ale i to lepsze niż jankeskie szczyzny nazywane piwem. O, tam ją widać, po drugiej stronie cholernie groźnej jezdni.

Wypiję mocną kawę dla ukojenia nerwów, wrócę do hotelu i zarezerwuję miejsce na powrotnym statku.

Rozdział IV

SZCZĘŚCIE CHOLLTEGO BLOOMA

BAR "LOUIES", RÓG PIĄTEJ ALEI I DWUDZIESTEJ ÓSMEJ ULICY, NOWY JORK, PAŹDZIERNIK 1906 ROKU

Mówię wam, chłopaki, że są takie chwile, gdy praca dziennikarza w najszybszym i najgwałtowniejszym mieście wydaje się najlepszym zawodem na ziemi. Dobra, wszyscy wiemy, że zdarza się, że łazisz całymi godzinami i za Chiny nie trafisz na odpowiedni temat.

Ślady wiodą donikąd, wywiady są nudne, żadnej treści.

Mam rację?

Barney, daj nam tutaj następną kolejkę piwa.

Tak...

Są dni (na szczęście rzadkie), że w ratuszu zabraknie skandali, że nikt ważny się nie rozwodzi i że rankiem w Grammercy Park nie znajdą żadnego ciała.

Życie traci swój urok.

Myślisz wtedy: co ja tu, do cholery, robię?

Może faktycznie trzeba było prze jąć schedę po ojcu, gdzieś tam w Poughkeepsie.

Wszyscy z nas znają to uczucie.

65 .

□

I właśnie o to chodzi.

To o wiele lepsze niż sprze dawanie męskich spodni w Poughkeepsie.

Nagle na lewym skrzydle powstaje zamieszanie i ciach!

Jeśli jesteś cwany, trzymasz w garści całkiem niewąską historię.

Coś takiego zdarzyło mi się wczoraj.

Muszę wam opowiedzieć.

Dzięki, Barney.

Byłem w małej kafejce.

Znacie tę u Felliniego?

Na Broadwayu, przy Dwudziestej Szóstej.

Kiepski dzień.

Większość czasu uganiałem się za nowym śladem w sprawie ostatnich morderstw w Central Parku.

Nic z tego.

Tamci od burmistrza nawrzeszczeli na Biuro Śledcze za brak postępów, a ci z kolei są wściekli i nie chcą gadać z prasą.

Wyszło na to, że wrócę do redakcji bez cała dobrego tekstu.

Pomyś lałem wówczas, że lepiej wpadnę na lody czekolado we do Papy Felliniego.

Z syropem klonowym.

Pró bowaliście kiedyś?

Trzymają przy życiu.

Tłum był jak diabli.

Zająłem ostatni stolik.

Dzie sięć minut później wszedł facet, smutny jak gradowa chmura.

Popatrzył, zobaczył, że siedzę sam, więc podszedł.

Bardzo grzeczny.

Ukłony.

Skinąłem głową.

Coś wydukał w cudzoziemskim języku.

Wskazałem mu wolne krzesło.

Usiadł i zamówił kawę.

Tyle tylko, że nie powiedział "kawa", ale "kaffa".

Kelner to Włoch, więc mu wszystko jedno.

Aleja rozpoznałem, że facet jest z Francji.

Dlaczego?

Bo wyglądał na Francuza.

Więc, żeby też być grzecznym, mruknąłem "dzień dobry".

Po francusku.

Czy znam francuski?

A główny rabin jest Żydem?

66

No, trochę znam.

Mówię zatem: "bonżur mesje".

Niech wie, że w Nowym Jorku żyją mądry ludzie.

Francuzik mało nie oszalał.

Zarzucił mnie gradem słów, z których niewiele zrozumiałem.

Był zrozpa czony, prawie miał łzy w oczach.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął zapieczętowany list, z wyglądu bardzo ważny, zaklejony woskiem i z jakąś pieczętką.

Po machał mi nim przed nosem.

Do tej pory starałem się być miły dla gościa z prob łemami.

Zamierzałem zjeść lody, rzucić na stół ze dwie dychy i zniknąć.

Nagle myślę: a do diabła, może faktycznie pomóc temu biedakowi?

Miał gor szy dzień ode mnie, a to już o czymś świadczy.

Zawołałem więc Papę Felliniego i pytam, czy zna francuski.

Nie.

Tylko angielski i włoski.

Angielski z sycylijskim akcentem.

No to myślę: kto tu w okolicy mógłby pogadać z Francuzem?

Każdy z was pewnie by w tym miejscu wzruszył ramionami i wyszedł, nie?

I coś by stracił.

Ale ja jestem Cholly Bloom, człowiek z szóstym zmysłem.

A co stoi dwie przecznice dalej, na rogu Dwudziestej Szóstej i Piątej?

Knajpa Delmonicos.

A kto ją pro wadzi?

Charlie Delmonico.

A skąd pochodzi rodzina Delmonico?

No dobrze, ze Szwajcarii, lecz tam prze cież mówią we wszystkich językach, więc nawet jeśli Charlie urodził się tu, w Stanach, to przecież mógłby trochę znać francuski.

Zabrałem Francuzika ze sobą i dziesięć minut później staliśmy przed najsławniejszą restauracją

67 .

□

w całej Ameryce.

Był któryś z was tam kiedyś?

Nie?

To jest kawał knajpy...

Polerowany mahoń, aksamit ne obicia, mosiężne lampy na stołach.

Elegancja jak się patrzy.

No i drogo.

Dla mnie, aż za drogo.

Podchodzi Charlie D.

i od razu widzi, że mnie na to nie stać.

Ale po czym poznać dobrego restauratora?

Nienaganne maniery, nawet wobec włóczęgi.

Uklonił się i pyta, w czym nam może pomóc.

Wyjaśniłem, że Francuz przybył prosto z Paryża, że ma kłopot z listem i że nic nie rozumiem.

Pan D.

po francusku grzecznie spytał o coś Francuzika.

Ten znowu zatrajkotałjak cekaem Gatlinga i wyciągnął kopertę.

Nie wiedziałem, o co chodzi, więc rozejrzałem się po sali.

Pięć stołów dalej sie dział dziany Gates i przeglądał menu od daty, po wykałaczkę.

Zaraz za nim "Diamond" Jim Brady i Lillian Russell z takim dekoltem, że zdoła łyby zatopić SS "Majestic".

Przy okazji, wiecie, w jaki sposób zajada Jim Brady?

Już mi o tym mówiono, ale nie wierzyłem.

Siada na krześle do kładnie pięć cali od stołu.

Ni mniej, ni więcej.

Potem się nie rusza, tylko je, aż brzuchem dotknie krawę dzi blatu.

Charlie D.

zdążył już skończyć rozmowę.

Powie dział mi, że Francuz to mesje Armand Dufour, prawnik z Paryża, który przyjechał do Nowego Jorku z niezwykle ważną misją.

List był od pewnej umierającej kobiety do niejakiego pana Erika Muhlheima, mieszkającego, albo nie, gdzieś tutaj, w No68

wym Jorku.

Nikt go nie znał.

Prawdę mówiąc, ja też nie.

Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska.

Ale Charlie pogładził się po brodzie, jakby nad czymś myślał, i w końcu pyta: "Panie Bloom niezwykle oficjalnie mówi panu coś nazwa E.M.

Corporation?

"

To ja się teraz was pytam: a papież jest katolikiem?

Pewnie, że znam tę firmę.

Niewiarygodnie bogata, zdumiewająco potężna i całkowicie utajniona.

Na giełdzie ma więcej akcji niż wszyscy razem wzięci, wyłączając jedynie J.

Pierpont Morgana.

A nie od dziś wiadomo, że J.P.

jest najbogatszy.

No to mówię:

"Owszem, mają siedzibę w E.M.

Tower, przy Park Rów".

"Właśnie odpowiada pan D.

Być może ów tajemniczy dzentelmen, zarządzający E.M.

Corporation, to pan Muhlheim".

Jeśli taki facet jak Charlie Delmonico powiada "być może", to znaczy, że coś słyszał, ale oficjalnie nic nie wie.

Dwie minuty później byliśmy znów na ulicy, za trzymałem dorożkę i pokłusowaliśmy w kierunku Park Rów.

Teraz rozumiecie, dlaczego tak wspaniale być dziennikarzem w przeogromnym mieście?

Chciałem po prostu pomóc, a tu nagle pojawiła się szansa na rozmowę z największym pustelnikiem w całym Nowym Jorku.

Z niewidzialnym człowiekiem.

Udało mi się?

Niech ktoś postawi piwo, to opowiem dalej.

69 .

□

Minęliśmy Park Close i jazda dalej, aż do Tower.

Co za gmach!

Wysoki jak sto diabłów, z czubkiem prawie w chmurach.

Wszystkie biura zamknięte, na zewnątrz już ciemno, ale widzę w środku portiera przy lampce.

Wcisnąłem dzwonek.

Portier przyszedł do drzwi i pyta, o co chodzi.

Wyjaśniłem mu wszystko.

Wpuścił nas do środka i złapał za telefon.

Na pewno dzwonił na wewnętrzną linię, bo nie roz mawiał z centralą.

Przez chwilę słuchał w milczeniu, potem nam powiedział, że możemy zostawić list u niego.

Na pewno będzie doręczony.

Ze mną nie tak łatwo.

Mówię: „Przekaż pan temu dzentelmenowi na górze, że mesje Dufour przyjechał aż z Paryża i rzeczony list ma oddać do rąk własnych”.

Portier pogadał jeszcze chwilę i podał mi słuchawkę.

Jakiś głos pyta: "Z kim rozmawiam?"

"Szanowny Charles Bloom" odpowiadam.

A głos znowu: „Co pana tu sprowadza?"

"

Przecież mu nie powiem, że jestem od Hearsta.

Dobrze wiem, że w takich miejscach dziennikarzy wyrzucają za drzwi.

Mówię więc, że jestem nowojorskim współpracownikiem firmy notarialnej Dufour i Spółka, z Paryża, we Francji.

„Czego pan od nas oczekuje?"

" pyta głos, jakby dochodził wprost z wybrzeży Nowej Fundlandii.
Powtarzam, że mam ważny list do rąk własnych pana Erika Muhlheima.
"Nikt taki tu nie mieszka rozległo się w słuchawce ale proszę zostawić pismo u portiera, osobiście dopilnuję, żeby zostało doręczone".

Nie, bratku myślę sobie.

Kłamiesz.

Kto wie,

70

może sam jesteś panem Niewidzialnym.

Spróbowałem sztuczki.

"Proszę przekazać panu Muhlheimowi, mówię że to list od...".

"Madame Giry" podpowiada prawnik, "...madam Giry" powtarzam do słuchawki.

"Chwileczkę" słyszę w odpowiedzi.

Czekamy.

Po chwili głos wrócił.

"Proszę wjechać windą na trzydzieste dziewiąte piętro".

wjechaliśmy.

Był ktoś z was kiedyś na trzydziestym dziewiątym piętrze?

Nie?

To dopiero jest do świadczenia!

Tkwisz zamknięty w klatce, maszyna cyka i walisz prosto w niebo.

Trochę huśta.

Wreszcie klatka staje.

Odsunąłem kratę i wyszliśmy.

Był tam jakiś facet, ten od głosu.

"Jestem Dariusz powia da.

Proszę za mną".

Poprowadził nas do długiej, wyłożonej boazerią sali ze stołem konferencyjnym pośrodku.

Myślę:

ach, to tutaj podpisują kontrakty, miażdżą konkurencję, wykupują słabszych.

To tu właśnie zarabia się miliony.

Pokój elegancki, w stylu Starego Świata.

Na wszystkich ścianach wiszą olejne obrazy, na końcu jeden większy.

Portret faceta w szerokoskrzydłym kapeluszu.

Wąsy, koronkowa kreza, uśmiech.

"Mogę zobaczyć list?

" pyta Dariusz i gapi się wprost na mnie jak kobra na piźmoszczura.

No dobrze, nie widziałem kobry ani piźmoszczura, ale potrafię to sobie wyobrazić.

Skinąłem głową na Francuza, a on położył list na błyszczącym stole, pomiędzy nami a Dariuszem.

Coś takiego było w tym facecie, że mi włos jeżył się na głowie.

Odziany w czerń: czarny surdut, biała koszula, czarny krawat.

71 .

□

Twarz równie biała jak koszula, pociągła i wąska.

Czarne włosy i smoliste czarne błyszczące oczy.

Nie mrugał.

Mówiłem już o kibrze?

To dobre porównanie.

Teraz posłuchajcie, bo będzie najważniejsze.

Za chciało mi się palić, więc wziąłem papierosa.

Błąd.

Słyszając trzask zapalniczki, Dariusz skoczył do mnie jak nóż wyciągnięty z pochwy.

"Żadnego ognia, proszę warknął.

Niech pan zgasi papierosa".

Cały czas stałem przy samym szczycie stołu, w pobliżu drzwi.

Za mną, tuż pod ścianą, był niewielki, półkolisty stolik ze srebrną wazą.

Podszedłem tam, żeby zdusić peta.

Za wazą stała duża, także srebrna taca, pochyła oparta o ścianę.

Przypadkowo zerknąłem w nią, bo świeciła jak lustro.

Patrzę, a po drugiej stronie, portret roześmianego faceta uległ dziwnej zmianie.

Głowa jest, kapelusz też, ale pod spodem taki widok, że najtwardszego wigilanta wysadziłby z siodła.

Pod kapeluszem była maska zakrywająca trzy czwarte twarzy.

wystawały jedynie usta, wygięte w podkówkę.

Z dziur w masce spoglądała na mnie para świdrujących oczu.

Odwróciłem się z krzykiem i wskazałem na ścianę.

"Co to jest, do diaska?

" zawołałem.

"Uśmiechnięty kawaler pędzła Fransa Halsa odpowiedział Darius.

Niestety, oryginał znajduje się w Londynie.

Ale to świetna kopia".

Rzeczywiście, gość na obrazie znowu był w po rządku, z wąsami, uśmiechem, koronką i tak dalej.

72

Ale nie jestem głupi, sam wiem, co widziałem.

Da rius wyciągnął rękę i wziął list.

"Ma pan moje solenne zapewnienie, że przed upływem godziny to pismo dotrze do pana Muhlheima" powiedział.

Potem powtórzył to samo po francusku.

Dufour skinął głową.

Teraz już i ja nie miałem nic do roboty.

Zanim wyszliśmy, Darius spytał: "Panie Bloom, tak przy okazji...

w jakiej redakcji pan pracuje?

". Głos miał jak ostrze brzytwy.

„New York American" wyjąkałem.

Opuściliśmy salę.

W dół, na ulicę, do fiakra i na Broadway.

Podwiozłem Francuzika, gdzie sobie życzył, a później sam pogałem do śródmieścia, do redakcji.

Miałem cudowny ten mat, prawda?

Nieprawda.

Redaktor nocnego wydania popatrzył na mnie.

"Cholly, jesteś pijany" mówi.

"Co ta kiego?

Nie tknąłem ani kropli".

I opowiadam mu o moich wieczornych przygodach.

Od początku do końca.

Zgrabna historia, he?

Ale nic z niej nie wyszło.

"Dobra mówi redaktor.

Spotkałeś francuskiego kiego prawnika i pomogłeś mu doręczyć list.

Zna komicie.

Tylko bez żadnych duchów.

Właśnie miałem telefon od prezesa E.M.

Corporation, pana Dariusza.

Powiedział mi, że przyszedłeś, oddałeś list, a potem straciłeś głowę i zacząłeś coś krzyczeć o zja wnie na ścianie.

Za list wielkie dzięki, ale o firmie cicho, bo pozwą nas do sądu.

A teraz z innej beczki...

Policja przyskrzyniła mordercę z Central Parku.

Złapany na gorącym uczynku.

Idź tam i coś naskrob".

73 .

□

Tak więc nic z mojej opowieści nie poszło do druku.

Ale mówię, nie jestem głupi czy załany.

Wi działałem twarz na ścianie.

I wam powiem, że pijecie z jedynym facetem w Nowym Jorku, który zobaczył Upiora Manhattanu.

Rozdział V

WIZJA

DARIUSA

PALARNIA HASZYSZU, LOWER EAST SIDE, MANHATTAN, NOWY JORK, LISTOPAD 1906

ROKU

Czuję dym wnikający w głąb ciała...

Miękki, uwo dzicielski dym.

Gdy zamykam oczy, opuszczam tę obskurną, zaczadziła szopę i przez bramę marzeń przechodzę do królestwa Tego, któremu służę.

Dym rzednie...

Widzę długi korytarz wykładany najczystszym złotem.

Istna rozkosz.

Lubię je głąaskać, pieścić i dotykać.

Lubię je mieć i dawać Najwyż szemu.

Bogowi złota, jedynemu, jaki naprawdę ist nieje.

Pierwszy raz spotkałem go na wybrzeżu Berberyjskim.

Ja, nędzny pederasta, wezwany wyższym na kazem, odwiecznie szukający złota oraz dymu, za którego sprawą stoję przed Jego obliczem...

Wchodzę w złoty korytarz, gdzie huczą wytapiacze i gdzie z gardzieli spustów nieustannie wypływa

75 .

□
rozmigotany strumień...

Znów dym...

Dym z pieca miesza się z tym we mnie.

Mam go w ustach, w krta ni, w krwi i w umyśle.

Z głębi dymu On przemówi jak zawsze...

Wysłucha mnie, udzieli rady i jak zwykle będzie miał najświętszą rację...

Jest już.

Czuję jego obecność.

Mistrzu, wielki Mammonie, oto padam przed tobą na kolana.

Przez wszystkie lata służyłem Ci jak mogłem i sprowadziłem przed twój tron mego ziem skiego pana wraz z jego ogromnym bogactwem.

Błagam, wysłuchaj mnie, gdyż pragnę twych słów i pomocy.

Słyszę cię, sługo.

Powiedz o kłopotach.

Człowiek, któremu służę tam, na ziemi...

Coś w nim zaszło.

Coś, czego nie rozumiem.

wyjaśnij to.

Od chwili, kiedy go poznałem...

Od dnia, kiedy po raz pierwszy spojrzałem na tę przeokropną twarz, wiedziałem, że jest owładnięty wyłącznie jednym uczuciem.

Pomagałem mu i podtrzymywałem na duchu, na każdym etapie naszej wspólnej wędrówki.

W świecie, który postrzegał jako nieskończenie wro gi, pragnął tylko sukcesu.

Podsyciałem w nim tę obsesję krocioróbstwa.

Dzięki temu stał się Twoim wyznawcą.

Tak było?

Dzielnie się sprawiłeś, sługo.

Ów majątek wzrasta z dnia na dzień, a ty dalej pilnuj, by twój pan był mi wierny.

Zauważyłem, Panie, że ostatnio zainteresował się czymś innym.

Nie dość, że marnuje czas, to jeszcze

76

trwoni pieniądze.

A to o wiele gorsze.

Wciąż myśli o operze.

Z opery nie ma zysków.

Wiem.

Marnotrawny kaprys.

Ile ze swej for tuny przeznaczył na tę zabawkę?

Jak dotąd, załedwie ułamek.

Drzę jednak, że to go odrywa od myśli o Tobie i o pomnażaniu twoich nieprzebranych bogactw.

Mniej zarabia?

Ależ wprost przeciwnie.

Na tym polu wszystko jest po staremu.

Ciągle tryska wprost niezwyk łymi pomysłami, ma wspaniałą strategię i mądrość, która czasem zdaje się wszechwiedzą.

Nadal prze wodniczę zebraniom zarządu.

To ja wobec świata dokonuję fuzji, buduję imperium z udziałów i z in westycji.

To ja niszczę słabych i bezradnych, głuchy na ich błagania.

To ja podnoszę czynsz na kłitki w slumsach, burzę domy i szkoły pod budowę fab ryk.

To ja daję łapówki miejskim dygnitarzom, byle tylko pozyskać ich poparcie.

Ja podpisuję decyzje o kupnie wielkich pakietów akcji w nowo powsta jących zakładach przemysłowych.

Jednak wszelkie instrukcje pochodzą od niego.

On planuje kampanię i on mówi, jak mam postępować, co powiedzieć i zrobić.

Zaczął popełniać błędy?

Nie, Panie.

Pozostał doskonały jak zawsze.

Maklerzy ze zdumieniem patrzą na jego przenikliwość i dalekowzroczność, chociaż to mnie przypisują obie wspomniane cechy.

Gdzież więc tu kłopot, sługo?

77 .

□
Zastanawiam się.

Panie, czy nie nadeszła pora, żeby się wycofał i oddał mi dziedzictwo.

Sługo, działasz dobrze, ale także dlatego, że bez szemrania wykonujesz wszystkie me rozkazy.

Nie brak ci talentu, to prawda, o której wiesz naj lepiej, ale nade wszystko jesteś wobec mnie lojalny.

Jednakże Erik Muhlheim to coś więcej.

Rzadko zdarza się prawdziwy geniusz złota.

Onże ci takim jest, lepszym niżli ktokolwiek inny.

Wiedziony tylko nienawiścią do ludzi, wprowadzony przez ciebie w arkana mej służby, stał się bezduszny.

Obce mu skrupuły, zasady, litość, łaska i współczucie.

Co więcej, tak jak ty, zapomniał o miłości.

wymarzone narzędzie.

W pewnej chwili i na niego nadejdzie kres, a wtedy wydam ci rozkaz, byś przeciął jego żywot.

Oczywiście, odziedziczysz wszystko.

Każde króles two świata, z mojej łaski, trafiało we właściwe ręce.

Dla ciebie przeznaczyłem finansowe imperium Ame ryki.

Sam przyznaj, zwiodłem cię kiedyś?

Nigdy, Panie.

A ty mnie zdradziłeś?

Nigdy, Panie.

Zatem niech tak będzie.

Porozmawiajmy jesz cze chwilę.

Powiedz mi coś więcej o tej jego obsesji i możliwych powodach.

Zawsze miał na półkach setki partytur i książek o operze.

Kiedy sprawiłem, że w Metropolitan od mówiono mu prywatnej, osłoniętej loży, przez chwilę wydawało mi się, że odzyskał zmysły.

Teraz włożył miliony w budowę nowej opery.

78

Jak dotąd, każda inwestycja przynosiła kro ciowe zyski.

To prawda, lecz tym razem będą same straty, choć i tak nie przekroczą ułamek procenta.

Jest jednak coś więcej.

Humor mu się zmienił.

A to dlaczego?

Nie mam pojęcia, Panie.

Wiem tylko, że ostat nio dostał tajemniczy list z Francji.

Opowiedz mi o tym.

Zjawiło się dwóch ludzi.

Jakiś marny dzien nikarz z nowojorskiej gazety, lecz on tylko służył temu drugiemu za przewodnika.

Drugi zaś był praw nikiem, właśnie z Francji.

Przywiózł list.

Chciałem go otworzyć, lecz wiedziałem, że Muhlheim mnie podgląda.

Gdy tamci wyszli, zszedł na dół i zabrał mi kopertę.

Usiadł przy stole w sali zebrania i zaczął czytać.

Udałem, że wychodzę, ale obserwowałem go przez szparę w drzwiach.

Gdy wstał z krzesła, był całkiem odmieniony.

I co dalej?

Do tej pory po cichu wspomagał niejakiego Hammersteina, inicjatora i głównego orędownika budowy nowej opery.

Hammerstein jest bogaty, ale bez przesady.

To fundusze Muhlheima sprawiły, że roboty ruszyły z miejsca.

Od czasu listu zaangażował się jeszcze bardziej.

Już przedtem wyprawił Hammersteina do Paryża i dał mu niemałą sumę, żeby ten przekonał śpiewacz kę operową, damę Nellie Melbę, do występów tu, w Nowym Jorku.

Teraz wysłał w ślad za nim depeszę

79 .

□
w sprawie kolejnej primadonny, wielkiej rywalki Melby, francuskiej artystki, Christine de Chagny.

Zaczął się wtrącać w program artystyczny.

Od rzucił jedną operę Belliniego i wybrał inną, nalegając na zmianę obsady. Co najgorsze, nocami pisze jak szalony...

Co robi?

Komponuje, Panie.

Nieraz słyszałem dźwięki dochodzące z góry.

Co rano widzę nowe stopy nut.

Aż do świtu brzdąka na organach stojących w ga binecie.

Nie mam słuchu dla mnie to zwykły hałas.

Ale on wciąż pisze, chyba własną operę.

Nie dalej jak wczoraj wynajął najszybszy parowiec na wschodnim wybrzeżu i ukończoną część roboty odesłał do Paryża.

Co mam robić?

To szaleństwo, sługo, ale nieszkodliwe.

Ciągle łoży na budowę tego nędznego gmachu?

Nie, Panie, lecz obawiam się o własne dziedzic two.

Dawno temu mi przyrzekł, że w razie czego odziedziczę całe jego imperium.

Setki milionów do larów, bym mógł nadal służyć pod twymi rozkazami...

Teraz boję się, że może zmienić zdanie.

Że zapiszę wszystko na rzecz jakiejś fundacji związanej z przeklętą operą!

Głupis, sługo.

Przecież jesteś jego przybranym synem, dziedzicem i następcą.

Jedynym, zdolnym władać tak ogromnym bogactwem.

Nie obiecał ci tego?

A co powiesz o mnie?

Wszak masz na to także moje słowo.

Pokonał mnie ktoś kiedyś?

Nie, Panie.

Jesteś najwyższym i jedynym bogiem.

80

Zatem opanuj się.

Chociaż...

po namyśle, dam ci pewną radę.

Nie, nie radę, ale zwykły rozkaz.

Jeśli pewnego dnia spostrzeżesz, że się waha, że nie wie, czy na pewno przekazać ci całość: i majątek, i złoto, władzę, i królestwo...

zniszcz go.

Bezwzględnie i bez cienia łaski.

Wyraziłem się jasno?

W zupełności, Panie.

I dziękuję.

Przyjąłem rozkazy.

□

Rozdział VI

ARTYKUŁ GAYLORDA SPRIGGSA

W RUBRYCE "OPERA", "NEW YORK TIMES", LISTOPAD 1906 ROKU

Wszystkim melomanom w całym Nowym Jorku, nawet tym z najdalej położonych dzielnic, chcę zako munikować radosną wiadomość. Wybuchła wojna.

Nie ma to nic wspólnego z niedawnym konfliktem zbrojnym między Hiszpanią a Ameryką, konfliktem, w którym tak dzielnie poczynił sobie prezydent Teddy Roosevelt na wzgórzach San Juan.

Mówię o wojnie w świecie operowym.

Z czego się cieszyć?

Choćby z tego, że w szeregach wojska staną najlepsze głosy na całym globie, amunicją zaś będą pieniądze, i to w takich kwotach, o jakich większość z nas może tylko marzyć.

Korzyść z tego odniosą prawdziwi miłośnicy opery.

Ale najpierw pozwólcie, że jak powiadała Biała Królowa w "Alicji w Krainie Czarów" bo prze82

cięż nowojorska Opera coraz bardziej przypomina najnowszą baśń Lewisa Carrolla "zacznę od za czątku".

Starzy bywalcy wiedzą bez wątpienia, że Metropolitan Opera otworzyła podwoje w październiku tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku i na pierwszy ogień poszedł "Faust" Gounoda.

No wy Jork dołączył do wielkiego świata, stając w jednym szeregu z Covent Garden i mediolańską La Scalą.

Z drugiej strony, można postawić pytanie, po co było budować największy gmach na świecie, z salą na trzy tysiące siedmiuset widzów?

W grę wchodziła urażona duma oraz niemałe pieniądze.

Zabójcze połączenie.

A powód był bardzo prosty:

otóż najbogatszym i najbardziej znanym przedstawieli wicielowi nowej arystokracji naszego miasta nie przydzielono prywatnych i oddzielnych miejsc w dawnej, ś.p.

Akademii Muzycznej przy Czwartej Ulicy.

Skrzyknęli się więc razem, głęboko okopali i teraz cieszą się operą w stylu, do jakiego ich przyzwyczała pani Astor.

Metropolitan Opera, z werwą prowadzona przez pana Heinricha Conreida, dała nam przez te lata wiele powodów do dumy.

Ale wspominałem coś o wojnie?

Prawda.

Trzeba bowiem wspomnieć, że na horyzoncie pojawił się nowy Lochinvar, wiodący w swych zastępach doprawdy imponującą galaktykę wielkich nazwisk.

Po pierwszej, nieudanej próbie otwarcia nowego przybytku sztuki milioner tytoniowy i twórca teatru

□

ralny Oscar Hammerstein ukończył właśnie budowę przebogato zdobionej Manhattan Opera.

Budynek stanął przy Trzydziestej Czwartej.

Mniejszy od Met, to prawda, ale jednocześnie tonący w luksusach, wygodny, ze zdumiewającą akustyką.

Ważniejsza jakość, a nie wielkość, zdaje się twierdzić twórca.

Skąd ta jakość?

A choćby za sprawą damy Nellie Melby we własnej osobie.

Tak, oto pierwsza dobra wiadomość z wojennego frontu.

Dama Nellie, która do tej pory z uporem odmawiała podróży przez Atlantyk, zgodziła się na przyjazd a jej gaża zatyka dech w piersiach.

Z wiarygodnych źródeł w Paryżu znam kilka szczytów tej zadziwiającej sprawy.

Pan Hammerstein przez cały miesiąc kusił austriacką diwę, składając jej wizyty w apartamentach Grand Hotelu.

Na marginesie warto dodać, że bu downiczym hotelu był ten sam genialny Garnier, spod którego ręki wyszła także Opera paryska.

Dała ma Nellie początkowo odrzuciła ofertę, mimo że Hammerstein proponował jej prosić sobie wyobrazic tysiąc pięćset dolarów za wieczór!

Odmówiła.

Krzyczał do niej przez dziurkę od klucza w drzwiach łazienki, że podniesie stawkę.

Dwa tysiące pięćset dolarów za wieczór.

Niewiarygodne.

Potem zaoferował trzy tysiące, w czasach, gdy chórzystka zarabia piętnaście dolarów na tydzień, bądź trzy za występ.

Wreszcie pewnego dnia wpadł do apartamentu i nie zważając na protesty damy, rozsypał po podłozie

łozie tysiące banknotów.

Potem wyszedł.

Jak obliczono, na perskim dywanie leżało dokładnie sto tysięcy franków, czyli dwadzieścia tysięcy dolarów.

Jak mi mówiono, cała kwota znalazła się u Rothschildów, przy Rue Lafitte, lecz dama Melba wreszcie się skapitulowała.

Zgodziła się przyjechać.

W przeszłości była przecież żoną farmera z Australii, więc potrafi rozpoznać owcę zdatną do strzyżenia.

Jeszcze mało, żeby wywołać serię ataków serca na rogu Broadwayu i Trzydziestej Dziewiątej, czyli tam, gdzie rządzi pan Conreid?

Zatem proszę posłuchać dalej.

Za sprawą pana Hammersteina trzeciego grudnia, w dniu otwarcia Opery, zaśpiewa ni mniej, ni więcej tylko sam Alessandro Bonci, jedyny tenor zdolny kunsztem i sławą dorównać nieśmiertelnemu Enricowi Caruso.

Wspomagać go będą same gwiazdy: Amadeo Bassi, Charles Dalmores, Mario Ancona (baryton), Maurice Renaud (także baryton) i sopranistka Emma Calve.

Chyba wystarczy, by Nowy Jork pilnie nadstawił uszu.

Ale to nie koniec.

Od pewnego czasu aż roi się od plotek, że nawet pan Hammerstein dysponuje zbyt małym majątkiem, aby sobie pozwalać na takie wybryki.

Stoi za nim ktoś inny, niewidzialny Krezus, wydający rozkazy, ciągnący za odpowiednie sznurki i płacący bajonkie sumy.

Kim jest ten geniusz, ów duch Manhattanu?

Kimkolwiek jest, teraz przeszedł nawet samego siebie.

Jedno bowiem nazwisko działa na Nellie Melbę niczym płachta na byka.

Chodzi o jej rywalkę, młodszą i nieskończenie piękną fran85 .

□

cuską arystokratkę Christme de Chagny, znaną w ca łych Włoszech jako La Divina.

Już słyszę okrzyki: Niemożliwe!

I ona także?

Tak.

A za tym wszystkim kryją się co najmniej dwie tajemnice.

Po pierwsze.

La Divina, podobnie jak dama Nellie Melba, zawsze unikała podróży przez ocean, tłuma cząc to trudami i czasem podróży.

Z teje to przy czyni żadna z nich nie zaśpiewała w Met.

O ile jednak dama Nellie uległa pod naporem astrono micznej sumy oferowanej jej przez pana Hammersteina, o tyle wicehrabina de Chagny jak zawsze pozostała nieczuła na szelest banknotów, niezależnie od ich liczby.

Skoro strumień dolarów przekonał australijską damę, cóż mogło wpłynąć na decyzję francuskiej arystokratki?

Tego nie wiemy przynajmniej na razie.

Drugi sekret kryje się za nagłą zmianą kalendarza artystycznego manhattańskiej opery.

Przed wyjazd dem na łowy do Paryża pan Hammerstein głosił wszem wobec, że trzeciego grudnia, w dniu inaugu racji, zostaną odegrani "Purytanie" Belliniego.

Rozpoczęto budowę dekoracji i druk programów.

Teraz słyszę, że niewidzialny płatnik nalega na coś innego.

Odrzucił "Purytanów".

W ich miejsce, na Manhattanie zostanie wystawiona całkiem nowa opera, napisana przez nieznanego i w dodatku ano nimowego kompozytora.

Niesłychanie ryzykowny wybieg.

Zdumiewający w swej istocie.

86

Która primadonna zaśpiewa główną partię w tym tajemniczym dziele?

Obie naraz nie mogą.

Która przybędzie pierwsza?

Która z nich zaśpiewa wraz z Boncim, pod szaleńczą batutą kolejnego gwiaz dora, jakim jest dyrygent Cleofonte Campanini?

Obie naraz nie mogą.

Jak na to zareaguje Metropolitan Opera, skoro na nowy sezon nieopatrznie wybrała "Salome"?

Jak brzmi tytuł nowego, nieznanego i nie sprawdzonego dzieła, przy którym upiera się Manhattan?

Czy nie grozi to kompletną klapą?

W Nowym Jorku jest wystarczająco wiele eks kluzywnych hoteli, by obie primadonny nie musiały mieszkać pod jednym dachem.

Ale co z transatlan tykiem?

Francja ma dwa odpowiednie statki: "La Savoie" i "La Lorraine".

Po jednym dla każdej diwy.

Ach, drodzy melomani, co to będzie za zima!

□

Rozdział VII

LEKCJA PIERREA DE CHAGNY

SS "LORRAINE", CIEŚNINA LONG ISLAND, 28 LISTOPADA 1906 ROKU

Cóż tam mamy dzisiaj, paniczku Peter?

Jak sądzę, łacinę?

Musimy, ojcze Joe?

Przecież wkrótce wpłynie my do portu w Nowym Jorku.

Kapitan mówił mamie przy śniadaniu.

Ale teraz mijamy dopiero Long Island i stąd widać tylko puste wybrzeże.

Mgła i skały, nic więcej.

Dobra chwila, by poświęcić czas na "wojnę galijską" Cezara.

Otwórz książkę na stronie, na której skoń czyliśmy.

To takie ważne, ojcze Joe?

Oczywiście.

Co ważnego jest w najeździe Cezara na Anglię?
Gdybyś był rzymskim legionistą płynącym do kraju dzikusów, nie
zadawałbyś takich pytań.
Nie

88
pytałbyś też, gdybyś był Brytem patrzącym na rzym skie orły maszerujące
po plaży.

Alę nie jestem Rzymianinem ani tym bardziej starożytnym Brytem.
Jestem współczesnym Fran cuzem.

Któremu, Boże zbaw nas, mam wpajać wiedzę, naukę i zasady.

Zatem...

Pierwszy najazd Cezara na wyspę znaną mu tylko z nazwy: Brytanię.

Zacznij od początku strony.

Accidit ut eadem nocte luna esset plena.

Dobrze.

Przetłumacz.

Zapada...

nocte to noc...

Zapada noc?

Nie, nie zapada.

Już dawno zapadła.

Cezar patrzył na niebo.

Słowo accidit znaczy "zapadło" bądź "stało się".

Jeszcze raz.

Stało się to tej samej nocy...

eee...

księżyc był w pełni?

Właśnie.

Teraz powiedz to samo w poprawnej angielszczyźnie.

Stało się to tej samej nocy, przy pełni księżyca.

Bardzo dobrze.

Masz szczęście z Cezarem.

Był żołnierzem i pisał prostym, żołnierskim językiem.

Kiedy przejdziemy do Owidiusza, Horacego, Juwenala i wergiliusza, będziesz
musiał mocniej wyteżać umysł.

Dlaczego napisał esset, a nie erafl

Tryb warunkowy?

Tak.

Element niepewności.

Mogło nie być pełni, ale przypadkiem była.

Stąd ta forma.

Poszczęś ciło mu się z księżycem.

Dlaczego, ojczę Joe?

89 .

□

Dlatego, synu, że w ciemnościach płynął do obcego kraju.

Nie było wówczas potężnych reflek torów.

Nie było latarni morskich, ostrzegających przed skałami.

Cezar szukał płaskiej, kamienistej plaży pomiędzy głazami.

Błask księżyca okazał się bardzo pomocny.

Zdobył także Irlandię?

Nie.

Stara Hibernia pozostała nietknięta przez następne dwieście lat, długo po tym,
jak święty Patryk uczynił z nas chrześcijan.

Najazd przyszedł ze strony Brytyjczyków, nie Rzymian.

A ty, spryciarzu, próbujesz mnie odciągnąć od "wojny galijskiej" Cezara.

Nie możemy porozmawiać o Irlandii, ojczę?

Widziałem prawie całą Europę, z wyjątkiem Irlandii.

No, dobrze.

Lądowanie Rzymian w zatoce Pevensey może poczekać do jutra.

Co chciałbyś wiedzieć?

Pochodzisz z bogatej rodziny?

Twoi rodzice mieli piękny dom i wielkie posiadłości jak moi?

Raczej nie.

Posiadłości są dla Anglików lub Angloirlandczyków.

Mój ród ICilfoyleów pochodzi jeszcze sprzed najazdu.

A rodzice byli zwykłymi wieśniakami.

Dużo jest biednych Irlandczyków?

Hmm...

Na wsiach nikt nie ma choćby srebrnej łyżeczki.
Większość z nas żyje po prostu z dnia na dzień, z uprawy roli.
Tak też było i w mojej rodzinie.
Urodziłem się w małej zagrodzie, w pobliżu miasta Mullingar.
Ojciec orał pole od świtu do nocy.
Dzieci

90

miał dziewięcioro.
Ja byłem jego drugim synem.
Hodował dwie krowy, więc jedliśmy głównie ziemniaki z mlekiem i to, co przyniosły plony.

Ale przecież poszedłeś na nauki?

Oczywiście.

Irlandia wprawdzie jest biedna, lecz wydała wielu świętych, uczonych, poetów i żołąnierzy.

A teraz paru księży.

Irlandczycy nad wszystko cenią miłość Boga i wiedzę.

W tej właśnie kolejności.

Chodziliśmy do wiejskiej szkoły przy kościele.

Trzy mile pieszo i na bosaka.

W każdą stronę.

W święta i letnie wieczory aż do zmierzchu pomagaliśmy tacie.

Potem odrabialiśmy lekcje przy pojedynczej świecy i spać.

Pięcioro z nas spało w jednym łóżku, a najmłodsza czwórka razem z rodzicami.

Mon Dieu, nie mieliście dziesięciu sypialni?

Posłuchaj, synku, twój pokój w chateau jest większy niż cała nasza chata.

Masz więcej szczęścia, niż myślisz.

Od tamtej pory przeszedłeś długą drogę, ojcze.

To prawda i codziennie zapytuję Boga, dla czego dał mi tę łaskę.

Bo miałeś wykształcenie.

Tak, i to całkiem niezłe.

Wpajano nam wiedzę cierpliwością, miłością i różgą.

Czytanie, pisanie, rachunki i łacina, historia oraz trochę geografii, ale nie za wiele, gdyż księża nie mieli czasu na podróże i nie myśleli, że komuś z nas będzie to pisane.

Dlaczego postanowiłeś zostać duchownym, ojcze Joe?

Cóż, każdego ranka przed lekcjami uczestni91 .

□

czyłem we mszy.

W niedzielę chodziliśmy do kościoła całą rodziną.

Przez jakiś czas byłem mini strantem i fascynował mnie rytuał nabożeństwa.

Patrzyłem na drewnianą figurę nad ołtarzem i myślałem: jeśli Tyś to uczynił.

Panie, dla mojego zbawienia, chyba winienem Ci odpłacić najwierniejszą służbą.

Uczyłem się raczej dobrze, więc przed ukończeniem szkoły spytałem, czy mógłbym pójść do seminarium.

Wiedziałem, że pewnego dnia gospodarstwo przejdzie w ręce najstarszego brata.

Beze mnie ubywała jedna gęba do żywienia.

Miałem szczęście.

Posłano mnie na próbę do Mullingar, z listem polecającym od wychowawcy, ojca Gabriela.

Zostałem przyjęty do seminarium w Kildare.

Daleko od wioski.

To była wspaniała przygoda.

Teraz jednak jeździłeś z nami do Paryża, Londynu, Sankt Petersburga i Berlina.

Teraz tak.

Wtedy miałem piętnaście lat i po drodze dyliżansem do Kildare wydawała mi się wyprawą na koniec świata.

Zdałem egzaminy, wstąpiłem na studia i uczyłem się całe lata, aż nadszedł czas święceń.

Było nas wielu, więc z tej okazji przyjechał sam kardynał z Dublina.

Po skończonej uroczystości sądziłem, że zostanę proboszczem w jakiejś zapomnianej parafii na zachodzie, na przykład w Connaught.

Przyjąłbym taki los ze szczerą go serca.

Zostałem jednak wezwany przez rektora.

Czekał tam inny ksiądz, którego wcześniej nie znałem.

Oka92

zało się, że to biskup Delaney z Clontarf.

Potrze bował nowego sekretarza.

Mówiono, że mam ładny charakter pisma, więc może przyjąłbym tę po sadę?

Nie wierzyłem własnym uszom.

W wieku dwudziestu jeden lat miałem zamieszkać w pałacu i służyć człowiekowi, któremu powierzono stolicę Kościoła.

Przystałem więc na służbę u biskupa Delaneya, dobrego i świętobliwego człowieka.

Pięć lat spędziłem w Clontarf i nauczyłem się niejednego.

Dlaczego tam nie zostałeś, ojczy Joe?

Chciałem, choć sądziłem, że Kościół znajdzie mi jakąś inną pracę.

Może parafię w Dublinie, w Cork albo Waterford...

Ale znów dopisało mi szczęście.

Dziesięć lat temu nuncjusz papieski, kardynał Massini, ambasador Ojca Świętego na całą Brytanię, przybył z Londynu do Irlandii i spędził trzy dni w Clontarf.

Zjechał ze swoją świtą, a w orszaku był monsignore Eamonn Byrne z kolegium Irlandzkiego w Rzymie.

Spotkaliśmy się i połączyły nas więzy przyjaźni.

Okazało się, że pochodził z wioski o dziesięć mil odległej od mojej, chociaż oczywiście był kilka lat starszy.

Potem kardynał wyjechał i myślałem, że na tym koniec.

Miesiąc później nadszedł list od rektora kolegium Irlandzkiego.

Oferowano mi posadę.

Biskup Delaney, chociaż z żalem myślał o moim odejściu, dał mi błogosławieństwo i kazał nie marnować szansy.

Spakowałem się więc i z jedną torbą pojechałem pociągiem do Dublinu.

Znów myślałem, że

93 .

□

jestem na krańcach świata, ale zmieniłem zdanie, gdy promem i następnym pociągiem dotarłem do Londynu.

Nigdy nie byłem w takim miejscu i nie przypuszczałem nawet, że mogą być tak wielkie i wspaniałe miasta.

Później znów prom, do Francji, i pociąg do Paryża.

Znowu zdumiewający widok.

Aż przecierałem oczy ze zdumienia.

Ostatni pociąg powiózł mnie przez Alpy, do samego Rzymu.

Zaskoczył cię widok Rzymu?

Zaskoczył i onieśmielił.

Znalazłem się w Watykanie, w Kaplicy Sykstyńskiej, w Bazylice Świętego Piotra...

Stałem w tłumie i otrzymałem błogosławieństwo Urbi et Orbi z rąk samego Ojca Świętego.

Zastanawiałem się, jak do tego doszło, że na mnie, chłopca z kartofliska w pobliżu Mullingar, spłynął tak wielki zaszczyt.

Napisałem o tym do rodziców.

Obnosili ten list po całej wiosce i dzięki temu też dostąpili sławy.

Dlaczego teraz mieszkasz z nami, ojczy Joe?

Kolejny przypadek, Pierre.

Sześć lat temu twoja mama występowała w Rzymie.

Nic nie wiedziałem o operze, lecz los sprawił, że jeden z artystów, Irlandczyk, zasłabł za kulisami.

Posłano po księdza, a ja właśnie miałem noc czuwania.

Nic nie zdziałalem dla biedaka poza ostatnim namaszczeniem, ale rzecz cała miała miejsce w garderobie twojej mamy, dokąd go przeniesiono na jej stanowczą prośbę.

Spotkaliś my się wówczas po raz pierwszy.

Była bardzo roztrzęsiona.

Próbowałem ją pocieszyć, mówiąc, że Bóg

94

nigdy jest złośliwy, nawet jeśli wezwie któreś z dzieci do siebie.

W swojej pracy poznałem francuski i włoski, rozmawialiśmy zatem po francusku.

Zdziwiło ją, że władam oboma językami, nie wspominając już o angielskim i celtyckim.

Miała własne kłopoty.

Kariera artystyczna zmuszała ją do ciągłych podróży po Europie, od Rosji po Hiszpanię, od Londynu po Wiedeń.

Twój ojciec miał inne obowiązki w rodzinnych dobrach w Nor mandii. Skończyłeś już sześć lat i rosłeś praktycznie bez opieki, a każdy kolejny wyjazd przerywał twoją edukację.

Z drugiej strony byłeś jeszcze za mały, by posłać cię do szkoły z internatem. Zresztą twoja mama nie chciała się z tobą rozstawać.

Zapropono wałem jej, żeby znalazła stałego guwernera, który by podróżował wraz z wami.

Ciągle nad tym myślała, kiedy ją pożegnałem, wróciłem do kolegium i pod jąłem przerwane nauki.

Przez tydzień występowała w Rzymie.

W przed dzień wyjazdu odwiedziła rektora.

Wkrótce i mnie tam wezwano.

Jej wizyta wywarła niemałe wrażenie.

Chciała, abym cię pokierował silną, męską ręką, zarówno w naukach ścisłych, jak w moralności.

Przyznam się, osłupiałem i zamierzałem odmówić.

Rektor ani przez chwilę nie podzielał moich skru pułów i wydał mi krótki rozkaz.

Ślubowałem bez względne posłuszeństwo, więc kości zostały rzucone.

Od tamtej pory, jak wiesz, jestem u twego boku i próbuję wlać ci choć trochę wiedzy do głowy, byś na starość nie został kompletnym barbarzyńcą.

95 .

□

Żałujesz tego, ojczy Joe?

Nie.

Twój ojciec jest uczciwym człowiekiem, lepszym, niż sobie wyobrażasz, a twoją mamę Bóg obdarzył niepoślednim talentem.

Żyję i jem tak dobre, że wciąż muszę odprawiać pokutę, lecz z drugiej strony widziałem przewspaniałe rzeczy: zapierające dech w piersiach miasta, obrazy, legendarne galerie sztuki, i roniłem łzy na wielu operach.

Ja, zwykły chłopak z kartofliśka.

Cieszę się, że mama cię wybrała, ojczy Joe.

Jestem ci bardzo wdzięczny, chociaż radość minie, kiedy się znów weźmiemy do "wojny galij skiej" Cezara.

Powinniśmy to zrobić zaraz, ale właś nie nadchodzi mama.

Wstań, chłopcze!

Co tu obydwa j robicie?

Statek skręcił, słońce przegnało mgłę i z dziobu widać zbliżające się w na szą stronę zarysy Nowego Jorku.

Ubierzcie się ciepłej i chodźcie na pokład.

To jeden z najwspanialszych widoków świata.

Jak przybijemy w nocy, to nic nie zobaczymy.

wedle życzenia, milady, zaraz przyjdziemy.

Znów miałaś szczęście, Pierre.

Na dzisiaj koniec z Cezarem.

Ojczy Joe?

Mmm?

Czekają nas jakieś przygody w Nowym Jorku?

Więcej, niż potrzeba.

Kapitan mówił mi, że w porcie zebrał się tłum wielbicieli.

Zatrzymamy się w jednym z największych i najsłynniejszych hoteli świata, w Waldorf-Astorii.

Za pięć dni twoja mama

96

otworzy nową operę, potem czekają ją występy przez okrągły tydzień.

W tym czasie będziemy zwiedzać, poznawać, jeździć nową koleją nadziemną.

Czytałem o tym w książce, którą kupiłem w Hawrze...

Spójrz tylko, Pierre.

Czyż to nie fantastyczny widok?

Parowce i holowniki, frachtowce i trampy, szkunery i bocznokołowce...

Jak to się dzieje, że nie powpadają na siebie?

A oto ona, popatrz, po prawej.

Dama z pochodnią, Statua wolności.

Och, Pierre, żebyś tylko wiedział, ilu nieszczęsnych ludzi, hen ze Starego

Świata, spoglądało na nią przez zasłone mgieł i szykowało się do całkiem nowego życia.

Miliony, nie wyłączając moich rodaków.

Od czasu wielkiego głodu sprzed półwiecza pół Irlandii wyje chało do Nowego

Jorku.

Stłoczeni jak bydło w ciemnych lukach, o mroźnym poranku wylęgali na pokład, aby ponad wodą popatrzeć na miasto.

Modlili się, że ich przyjmie.

Od tamtej pory wielu przeniosło się na zachód, aż na odległe brzegi Kalifornii.

Pomagali budować całkiem nowy naród.

Inni zostali tutaj, w Nowym Jorku, irlandzcy Amerykanie.

Więcej ich niż w Dublinie, Cork i Belfaście razem wziętych.

Będę się tutaj czuł jak w domu, chłopcze.

Może nawet dostanę pintę mocnego irlandzkiego piwa, jakiego od lat już nie piłem.

Tak, Nowy Jork będzie dla nas doprawdy wielką przygodą.

Kto wie, co się zdarzy?

Bóg jeden, ale On nam tego nie zdradzi.

Sami się dowiemy.

Teraz czas się przebrać na spotkanie z tłumem.

Mała Meg

97 .

□

zostanie z twoją mamą.

Ty masz się trzymać mnie przez całą drogę do hotelu.

Okay, ojcze Joe.

Tak mówią Amerykanie.

Okay.

Czytałem o tym w przewodniku.

Będziesz nade mną czuwał w Nowym Jorku?

Oczywiście, chłopcze.

Czyż nie robię tego za każdym razem, kiedy nie masz przy sobie ojca?

Teraz chodźmy.

Pora na elegancki strój i wytworne maniery.

Rozdział VIII

RELACJA BERNARDA SMITHA

KORESPONDENCJA Z PORTU, "NEW YORK AMERICAN", 29 LISTOPADA 1906 ROKU

Oto mamy kolejny dowód o ile są potrzebne jeszcze jakieś dowody że nowojorski port stał się prawdziwym magnesem dla najsłynniejszych i najbardziej eleganckich liniowców świata.

Dziesięć lat temu ledwie trzy takie statki pływały po północnym Atlantyku w drodze z Europy do Nowego Świata.

Rejsy bywały trudne, zatem pasażerowie wybierali się w podróż przede wszystkim latem.

Dziś holowniki i kutry pilotowe mają w czym wybierać.

Brytyjska linia Inman ma już ustaloną trasę dla parowca "City of Paris".

Cunards dorównują rywalom z "Campanią" i "Lucanią".

White Star ma dwa statki: "Majestic" i "Teutonic".

Wszyscy Brytyjczycy toczą zacięty bój o przywilej wożenia sławnych i bogatych.

□

Wszystkich mieszkańców Europy, by ci mogli poznać gościnność naszego wspaniałego miasta.

Wczoraj przyszła kolej na Compagnie Generale Transatlantique z Hawru, we Francji.

Ich koronny klejnot, "La Lorraine", siostrzany statek równie słynnej "La Savoie", zajął należne sobie miejsce u brzegów rzeki Hudson.

Jednak tym razem "La Lorraine" nie przywiozła towarzyskiej śmietanki Francji, ale nadzwyczajną i szczególnie zdobyczą.

Nic dziwnego, że od samego świtu, zanim statek podszedł w pobliże portu, zanim jeszcze okrążył cypel Battery Point na ulicach North Canal i Morton wciąż przybywało karet i kabrioletów.

Goście z willowych dzielnic zjeżdżali tłumnie, by powitać gościa w iście nowojorskim stylu.

A kim jest ów gość?

To nikt inny, jak Christine wicehrabina de Chagny, przez wielu uważana za najwspanialszy sopran świata.

Tylko nie mówcie tego damie Nellie Melbie, która zawita do nas zaledwie dziesięć dni później!

Piers Czerdziesty Drugi, przy którym cumują Francuzi, udekorowany został trójkolorowymi flagami.

Tuż po wschodzie słońca znikająca mgła od słońca "Lorraine", w asyście

holowników podcho dzącą rufą do leża na wodach Hudsonu.

Trudno było wcisnąć choćby szpilkę w tłum zgromadzony na nabrzeżu. „Lorraine” pozdrowiła nas trzykrotną syreną, a salut podchwyciły wszystkie mniejsze statki zakotwiczone w dół i w górę rzeki.

Na molo wzniesiono podest, zdobny barwami Frań100 cji i gwiazdzistym sztandarem.

Tamże nasz bur mistrz, George B.

McClellan miał powitać madame de Chagny na pięć dni przed jej występem na scenie, inaugurującym działalność nowej Manhattan Opera.

U stóp podium rozpościerało się morze błyszczą cych cylindrów i powiewających czepków, gdyż po łowa nowojorskiej socjety stawiła się dzisiaj w porcie, żeby spojrzeć na przybywającą gwiazdę.

Po sąsiedz ku ściągnęli nawet dokerzy i sztauerzy, zwabieni ciekawością, choć pewnie żaden z nich w życiu nie był w operze i wręcz nie słyszał słowa „sopran”.

Wspinali się na żurawie i dźwigi.

Zanim „Lorraine” rzuciła pierwszą cumę, na pirsie nie było już ani jednego wolnego miejsca.

Jak tylko postawiono trap, pracownicy linii żeglugowej rozwinęli długi czerwony dywan do samego podestu.

Celnicy spiesznym krokiem weszli na pokład statku, aby dokonać niezbędnych formalności w prywatnych kajutach diwy i jej świty.

W tym samym czasie, z odpowiednią pompą, przybył do portu burmistrz w towarzystwie wystrojonego na granatowo regimentu policji.

Członkowie ratusza i Tammany Hali przeszli przez tłum na trybunę, a policyjna orkiestra odegrała Star-Spangled Banner.

Zebrani zdjęli nakrycia głowy.

Burmistrz, na czele radnych, zajął należne mu miejsce, zwrócony twarzą w stronę trapu.

Sam zrezygnowałem z boksu dla prasy i zająłem miejsce przy oknie, na pierwszym piętrze w składzie,

101 .

□

tuż przy molo.

Stąd miałem widok na całą scenerię i mogłem dokładniej przekazać braciom Amerykanom przebieg wydarzeń.

Pasażerowie „Lorraine”, zwłaszcza ci z pierwszej klasy, patrzyli na nas z góry, z najwyższych po kładów.

Widzieli wszystko, lecz musieli pozostać na statku, póki uroczystość nie dobiegła końca.

W bulajach bielały twarze pozostałych uczestników rejsu.

wyglądali, ciekawi, co się na zewnątrz dzieje.

Parę minut przed dziesiątą na „Lorraine” zaczął się ruch, a chwilę potem kapitan i oficerowie pod prowadzili do trapu jakąś postać.

Po czułym pożegnaniu francuskich rodaków madame de Chagny roz poczęła wędrówkę w dół trapu, by pierwszy raz dotknąć stopą amerykańskiej ziemi.

Czekał na nią pan Oscar Hammerstein, impresario, a zarazem wła ściciel Manhattan Opera, który sprawił, że zaśpie wają dla nas obydwie diwy: wicehrabina i dama.

Staromodnym gestem, niezwykłe rzadko widywanym u naszych notabli, pochylił się i ucałował wy ciągniętą dłoń śpiewaczki.

Rozległo się głośne „Ooooooch” i gwizdy, zwłaszcza wśród dokerów, sie dzących na dźwigach.

Nastrój jednak był bardziej przyjazny niż kpiący i głośne brawa nagrodziły czyn Hammersteina.

Dodajmy: brawa dystygowanych osób, zgromadzonych wokół trybuny.

Idąc pod ramię z panem Hammersteinem, madame de Chagny przeszła po czerwonym chodniku aż do samego podium.

Tam, z promiennym uśmiechem i z werwą, której nie powstydziliby się sam burmistrz

102

McClellan, pomachała w stronę robotników por towych, siedzących na pakunkach i uczepionych dźwigów.

Odpowiedziały jej jeszcze głośniejsze gwiz dy, tym razem szczerego aplauzu.

Znakomite przy jęcie, zważywszy na to, że nikt z tych ludzi przecież nie słyszał jej śpiewu.

Przez potężną lornetkę uważniej przyjrzałem się damie.

Mimo trzydziestu dwóch lat wciąż jest piękna, zgrabna i drobna.

Nie od dziś wielu z nas zadaje sobie pytanie, jak tak wspaniały głos może się wydo bywać z tak kruchej postaci.

Ubrana od stóp do głów gdyż mimo słońca temperatura ledwie prze kraczała zero w obcisły w talii elegancki płaszcz o kolorze dojrzałego wina, lamowany futrem z norek przy kołnierzu, rękawach i na dole.

Do tego kozacka czapka, też z futra.

Włosy ciasno upięte w kok z tyłu głowy.

Nowojorskie modniśie muszą bardzo uważać, gdy madame wyjdzie na Peacock Alley.

Z tyłu towarzyszyła jej małeńka i bardzo skromna świta.

Pokojówka i dawna koleżanka z zespołu, mamselle Giry, dwóch sekretarzy odpowiedzialnych za korespondencję i dokumenty podróży, dwunas toletni syn, Pierre przystojny chłopak i jego mentor, irlandzki duchowny w czarnej sutannie i szerokoskrzydłym kapeluszu.

Młody, o szczerym, ujmu jącym uśmiechu.

Dama weszła na podium, gdzie burmistrz Mc Clellan po amerykańsku podał jej rękę i wygłosił mowę powitalną, zapewne taką samą, jaką za dzie sięć dni podejmie Australijkę, Nellie Melbę.

Jeśli

103 .

□

ktoś sądził, że pani de Chagny nie zrozumiała tego, co było powiedziane, to ona sama wkrótce rozpro szyła obawy.

Gdy burmistrz skończył, podeszła na skraj trybuny i bez tłumacza, płynną angielszczyzną, rozkosznie zabarwioną francuskim akcentem, po dziękowała nam za przywitanie.

Jej wypowiedź była pochlebna i zaskakująca za razem.

Po wyrazach wdzięczności dla burmistrza i miasta madame de Chagny potwierdziła wcześniejsze pogłoski, że tylko przez tydzień będzie wy stępować w Manhattan Opera, śpiewając pierwszą partię w nowym, nie słyszonym dotychczas dziele, napisanym przez nieznanego amerykańskiego kompozytora.

Potem ujawniła kilka dalszych szczegółów.

Utwór nosi tytuł "Anioł z Shiloh" i przywołuje czasy wojny secesyjnej, a tematem libretta jest nieszczęśliwa mi łość pięknego dziewczęcia z Południa do oficera wojsk Unii.

Pani de Chagny wykona partię Eugenie Delarue.

Dodała, że w Paryżu, gdy tylko zobaczyła rękopis opery, pod wpływem jej niezwyklego piękna zmieniła zdanie i zdecydowała się wyjechać za At lantyck. W ten sposób podkreśliła, że w jej przypadku honorarium nie odgrywało najmniejszej roli.

Mały prztyczek w nos wielkiej Nellie Melby.

Robotnicy na dźwigach milczeli, gdy mówiła, ale potem pod nieśli hałaśliwą wrzawę.

Znowu zabrzmiały gwizdy, które w gruncie rzeczy można by poczytać za zupełny brak manier, gdyby nie to, że wyrażały nieklamany podziw.

Pani de Chagny ponownie pomachała do

104

gawiedzi, a później zeszła z trybuny do czekającego powozu.

W tej właśnie chwili, w samym środku starannie zaplanowanej i bezbłędnej ceremonii, zdarzyły się dwie rzeczy, których bez wątpienia nie było we wcześniejszym scenariuszu.

Pierwszą, chociaż dziw ną, widziało niewiele osób; druga wywołała pow szechne rozbawienie.

W czasie przemówienia madame de Chagny przy padkowo oderwałem wzrok od trybuny i spojrzałem w bok.

Co zobaczyłem?

Dokładnie na wprost mnie, na dachu wielkiej hali stała przedziwna postać, nie ruchomo patrząca w dół.

Człowiek ów osłaniał twarz szerokim rondem kapelusza, a spowijała go obszer na, łopocząca na wietrze peleryna.

Sprawił osob liwe, wręcz groźne wrażenie i z wyraźnym napięciem spoglądał na małeńką Francuzkę.

Jak mógł nie za uważony wkraść się tak wysoko?

Co robił?

Dlaczego nie dołączył do tłumy?

wyostrzyłem lornetkę.

Chyba zauważył błysk światła odbity w soczewkach, bo nagle poderwał głowę i popatrzył wprost na mnie.

Nosił maskę.

Przez kilka sekund widziałem jego gorejące oczy.

Potem rozległy się okrzyki stoczniovców siedzących na dźwigach.

Zerknąłem w tamtą stronę.

Wskazywali na niego palcami.

Zanim podjąłem przerwana ob serwację, zniknął z nadludzką szybkością.

W jednej sekundzie stał na dachu, w następnej go nie było.

Rozwiął się jak cień.

Parę chwil później napięcie zniknęło, rozłado105 .

□

wane głośnym śmiechem i dobiegającymi z dołu oklaskami.

Pani de Chagny zdążyła zejść z podium i szła właśnie w stronę powozu

podstawionego jej przez pana Hammersteina.

Burmistrz i ojcowie miasta postępowali kilka kroków za nią.

Wszyscy widzieli, że w tym miejscu, w którym kończył się czerwony chodnik, między śpiewaczką a karetą czerniała kałuża na wpół roztopionego błota, praw dopodobnie pozostałość po wczorajszym śniegu.

Mężczyźni, w mocnych butach, przeszliby przez to bez wahania, lecz cóż miała zrobić francuska arystokratka w filigranowych trzewikach?

Radcy Nowego Jorku stanęli zniechęceni, lecz zgoła bez radni.

Potem zobaczyłem jakiegoś młodzieńca, prze skakującego przez płótek odgradzający sektor dzień nikarzy.

Był w płaszczu, ale w dłoni dzierżył sutą wieczorową pelerynę.

Rozwinął ją szerokim łukiem, tak że legła w błocie, przed drzwiczkami karety.

Pani de Chagny obdarzyła go słodkim uśmiechem, weszła na pelerynę i dwie sekundy później siedziała już w powozie.

Forys zamknął drzwiczki.

Młodzieniec podniósł przemoczoną i ubłoconą pelerynę, po czym zamienił kilka słów z damą wyglądającą przez okno karety.

Powóz odjechał.

Burmistrz McClellan z wdzięcznością poklepał chłopca po ramieniu.

Gdy ów bohater się odwrócił, rozpoznałem w nim młodszego kolegę z mojej własnej gazety.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, powiada przysłowie.

Nowy Jork powitał panią de Chagny

106

nadzwyczaj serdecznie.

Zdążyła już się rozlokować w najlepszym apartamencie hotelu Waldorf-Astoria, a przed sobą ma pięć dni prób i ćwiczeń głosu poprzedzających bez wątpienia triumfalny występ w Manhattan Opera, zaplanowany na trzeciego grudnia.

Tymczasem mam nadzieję, że mój młodszy redakcyjny kolega dał niezбитy dowód, że Raleigh wciąż żyje!

A przynajmniej duchem.

□

Rozdział IX

OPOWIEŚĆ CHOLLYEGO BLOOMA

BAR "LOUIES", RÓG PIĄTEJ ALEI I DWUDZIESTEJ ÓSMEJ ULICY, NOWY JORK, 29

LISTOPADA 1906 ROKU

1

Mówiłem wam już, że są takie chwile, gdy praca dziennikarza w Nowym Jorku wydaje się najlepszym zawodem na ziemi?

Tak?

Więc wybaczcie, bo mam zamiar to zaraz powtórzyć.

Musicie mi wybaczyć, gdyż tym razem ja stawiam.

Barney, daj nam tutaj kolejkę piwa.

Wicie przecież, że czasem trzeba wykazać się niezłym sprytem, energią i mądrością graniczącą z geniuszem.

Choćby za to kocham tę pracę.

Weźmy wczorajszy dzień.

Był ktoś z was rano na Czterdziestu Drugim Pirsie?

Nie?

Szkoda...

Co za spektakl!

Co za wydarzenie!

Czytał ktoś reportaż w dzisiejszym "American"?

Świetnie, Harry.

Popatrzcie, oto czło wiek, który ceni amerykańską prasę, chociaż sam pracuje dla "Posta".

108

Na początek muszę wyjaśnić, że nie poszedłem tam z redakcji.

Od tego jest korespondent specjalny.

Nie miałem jednak nic do roboty, zatem wybrałem się do portu i nie pożałowałem. Reszta z was, jak sądzę, była jeszcze w łózkach.

To właśnie rozumiem przez słowo „energia”: trzeba wstać, by we właś ciwym czasie chwycić życiową szansę.

O czym to ja mówiłem?

A...

właśnie.

Usłyszałem od kogoś, że do portu zawinie francu ski transatlantyk "Lorraine" z pewną śpiewaczką operową na pokładzie, o której wcześniej nie słysza łem, choć wszyscy dookoła twierdzą, że to wielka gwiazda.

Madame Christine de Chagny.

Wprawdzie nigdy w życiu nie byłem w operze, lecz myślę sobie:

co to ma do rzeczy"!

Skoro to taka znakomitość, nikt się nie dopcha do wywiadu, więc co mi szkodzi popatrzeć z daleka?

Poza tym, jak ostatnim razem wpadłem na Francuzika, niewiele brakowało, bym złapał temat życia.

Byłbym sławny, gdyby mój redak tor nie okazał się intrygantem.

Wspominałem wam o tym?

O zjawie w E.

M. Tower?

Więc teraz usłyszycie coś jeszcze dziwniejszego.

Skłamałem kiedyś?

A mufti to muzułmanin?

Tuż po dziewiątej stanąłem na moło.

„Lorraine" podeszła rufą do nabrzeża.

Miałem mnóstwo czasu, bo cumowanie trwa całe wieki.

Machnąłem legityma cją przed nosem gliniarza i przepchnąłem się przez tłum do boksu prasowego.

Jak tam dotarłem, byli już prawie wszyscy: burmistrz McClellan, ojcowie miasta, Tammany Hali i tak dalej.

Zapowiadała się

109 .

□

niezła pompa.

Wiedziałem, że ludzie dostaną do kładną relację, bo w górze, w oknie składu, zobaczy łem głowę naszego reportera.

Stamtąd miał lepszy widok.

Zagrali hymn, a potem Francuzeczka zeszła po trapie i pokiwała dłonią do widzów.

Z miejsca ją pokochali.

Były przemowy, najpierw burmistrz, póź niej ona, aż wreszcie zeszła z trybuny i poszła do powozu.

A tu problem...

Między nią a kareta ą leży kupa błota, bo czerwony chodnik okazał się za krótki.

Powinniście to widzieć.

Burmistrz rozdziawił usta tak szeroko jak lokaj drzwiczki powozu.

Stoi koło Francuzki, z drugiej strony ten od opery, Oscar Hammerstein, i obaj nie wiedzą, co robić.

W te ęże chwili dzieją się dziwne rzeczy.

Ktoś mnie trąca w bok, a potem coś kładzie na ręce, którą trzymałem na barierze.

Nie wiem kto to, bo zniknął jak zdmuchnięty.

Patrzę, co mi podał, i widzę starą pelerynę, zatechłą i postrzępioną.

Nikt z was nie chciałby jej nosić, nawet w środku nocy.

Przypo mniałem sobie, że jako mały chłopiec miałem książkę z kolorowymi

obrazkami, pod tytułem "Bohatero wie dawnych czasów":

Był tam facet nazwiskiem Raleigh chyba go tak nazwali na cześć stolicy Karoliny Północnej.

w każdym razie, ów Raleigh zdjął płaszcz i zakrył nim kałużę pod nogami an gielskiej królowej Elżbiety.

Nigdy nie pożałował tego czynu.

Myślę sobie: skoro Raleigh mógł to zrobić, może

110

te ęż i dzielny syn pani Bloom.

Skoczyłem więc przez barierę ogradzającą boks dla prasy i rozpostarłem pelerynę na błocie przed wicehrabiną.

Była w siód mym niebie.

Poszła dalej i wsiadła do powozu.

Pod niosłem ubłocony łach i patrzę, a ona uśmiecha się wprost do mnie przez otwarte okienko.

Myślę: a co mi tam...
i podchodzę do niej.

"Milady mówię, bo tak trzeba do nich przema wiać.

Milady, wszyscy twierdzą, że nie udziela pani prywatnych wywiadów.
To prawda?

" .

Tego właśnie trzeba w naszym skromnym zawo dzie.

Konieczny spryt, zręczność...

i odpowiedni wygląd.

O co chodzi, przecież jak na Żyda to całkiem ładny ze mnie chłopak.

Nie można mi się oprzeć.

Tak czy siak, ta piękna pani spogląda na mnie z półuśmiechem, a z tyłu słyszę gniewne pomruki Hammersteina.

"Dzisiaj, w moim apartamencie, o siód mej wieczorem" szepnęła.

Proszę bardzo.

Tylko ja w całym Nowym Jorku zyskałem szansę na in tymny wywiad.

Poszedłem tam?

Oczywiście!

Zaczekajcie, bo to jeszcze nie koniec.

Burmistrz mi powiedział, że sam zapłaci za pranie peleryny i żeby z tym się zwrócił do ich najlepszej pralni.

Wesół jak skowronek wró ciłem do redakcji.

Tam spotykam Bernieego Smitha, naszego reportera, i co słyszę?

Kiedy Francuzeczka dziękowała McClellanowi za przyjęcie, Smith pod niósł wzrok i co zobaczył?

Naprzeciwko, na dachu hali, stoi samotna postać, niczym anioł zemsty.

Za nim dodał coś więcej, przerwałem mu i mówię: "Za111 .

□

raz, Bernie.

Aż po szyję był okutany w pelerynę, nosił czarny kapelusz i maskę na twarzy".

Berniemu opadła szczeka.

"Skąd wiesz, do diaska?

" pyta.

Wtedy nabrałem przekonania, że nie miałem zwidów.

Po naszym mieście krąży jakiś upiór, który nikomu nie pozwala zobaczyć swojej twarzy.

Chciałbym wiedzieć, kto to, co robi i dlaczego go go tak ciekawi francuska śpiewaczka?

Przyjdzie dzień, że mój artykuł ujrzy światło dzienne.

Dzięki, Harry, to miło z twojej strony, na zdrowie, chłopaki.

Na czym to ja skończyłem?

Prawda, na wywiadzie z diwą Opery paryskiej.

Za dziesięć siódma, wystrojony w najlepszy gar nitur, zjawiłem się jak

lord w hotelu Waldorf-Astoria.

Wszedłem wprost z Peacock Alley, gdzie wszystkie modne damy chodzą, aby podziwiać i być podziwiane.

Pełen luksus.

Facet w recepcji zmierzył mnie takim wzrokiem, jakby od razu chciał mnie posłać pod drzwi dla dostawców.

"Taaak?

" pyta.

"Do pani wicehrabiny de Chagny, jeśli łaska" odpowiadam.

"Jaśnie pani dziś nie przyjmuje" on na to.

"Powiedz jej pan, że Charles Bloom przyszedł w nowej pelerynie" odpowiadam.

Dziesięć sekund później odłożył słu chawkę, zgiął się w pas i powiedział, że sam mnie odprowadzi.

Tak się złożyło, że dalej czekał goniec z dużą paczką przewiązaną wstążką.

Zdązał w tę samą stronę, na dziesiąte piętro, więc wsiedliśmy do windy razem.

112

Byliście kiedyś chłopcy w hotelu Waldorf-Astoria?

To coś całkiem innego.

Drzwi otwiera mi inna Francuzeczka, prywatna pokojówka.

Ładna, miła, cho ciał trochę utyka.

Prosi mnie do środka, odbiera paczkę od posłańca i przechodzimy do salonu.

Mó wię wam, wielki jak stadion baseballowy.

Ogromny.

Boazerie, plusz, kilimy, draperie...

Jednym słowem:

pałac.

"Pani przebiera się do kolacji.

Proszę na chwilę spocząć, zaraz przyjdzie" powiada poko jówka.

Siadam więc w fotelu stojącym pod ścianą.

Prócz mnie nikogo nie ma, tylko jakiś chłopak, który z uśmiechem mówi do mnie: "Bonsoir".

Szcze rzę do niego zęby i odpowiadam: "Cześć".

Zajął się jakąś książką.

Pokojówka, która chyba ma na imię Meg, czyta kartkę na paczce.

"To dla ciebie, Pierre!

" woła i wtedy rozpoznaję chłopaka.

To syn Francuzeczki, widziałem go już w porcie, w towa rzystwie księdza.

Wziął prezent i zaczął go rozwijać.

Meg przez otwarte drzwi przeszła do sypialni.

Słyszę chichot dwóch kobiet; mówią coś po francusku.

Czekam więc i rozglądam się po salonie.

wszędzie kwiaty: bukiety od burmistrza, od Hammersteina, od dyrekcji

opery i zwykłych wiel bicieli.

Chłopiec przeciął wstążkę i odwinął papier.

Nie mam co robić, więc patrzę.

Dziwny prezent dla trzynastoletka.

Lepsza chybaby była rękawica ba seballowa.

Dostał małpkę-zabawkę.

Przedziwną, dodajmy od razu.

Siedziała na krzeselku, wyciągając łapy i trzy113 .

□

mała przed sobą coś na kształt czyneli.

Była na kręcana, z kluczykiem w plecach.

Po chwili zro zumiałem, że to pozytywka.

Chłopiec nakręcił ją i wprawił w ruch.

Machała łapkami, jakby waliła w czynele, a z jej brzucha płynęła piskliwa melodia.

Rozpoznałem ją bez trudu: Yankee Doodle Dandy.

Chłopak się zaciekaWił, wziął małpkę do ręki i oglądał na wszystkie strony, żeby sprawdzić, jak działa.

Kiedy przestała grać, nakręcił ją od nowa.

Po chwili pogmerał jej na plecach i podwinął kubraczek, w który była ubrana.

Potem podchodzi do mnie i grzecznie pyta po angielsku: "Ma pan może scyzo ryk, mesje?"

". Pewnie, że miałem.

W moim zawodzie często muszę ostrzyć ołówek.

Podąłem mu otwarty nóż.

On jednak, zamiast rozciąć zabawkę, użył ostrza jako śrubokrętu i poluzował cztery małe śrubki.

Zdjął blaszkę, zerknął do środka korpusu.

„Koniec z małpką" myślę sobie, ale to nieprawda.

Dzieciak był bardzo bystry i po prostu chciał poznać ruchy mechanizmu.

Ja dotąd nie rozgryzłem, jak działa otwieracz do kapsli.

„Ciekawe" mówi i podchodzi do mnie.

Patrzę na gąszcz kółek, drutów, sprężyn, dzwonekóW i nitóW.

"Widzi pan?"

Każdy obrót kluczyka napina tę sprę żynę.

Zupełnie jak w zegarku, tyle że dużo większą i twardszą".

„Rzeczywiście" powiadam, modląc się w głębi duszy, żeby skończył z tym wszystkim i zagrał Yankee Doodle, zanim mama wróci.

Nic z tego.

114

"Po zwolnieniu sprężyny energia zostaje przenie siona przez ślimak do obrotnicy u podstawy.

Tutaj znajduje się krążek z kilkoma bolcami".

„wspaniale mówię.

Może teraz złożymy to z powrotem?"

". On jednak mnie nie słuCha, tylko marszczy czoło, jakby się zastanawiał.

Nie zdziwiło by mnie, gdyby znał się też na silnikach.

"Przy obrocie krążka bolce zaczepiają o napiętą blaszkę, która z kolei, uwolniona, uderza w niewielki dzwo neczek.

Każdy z dzwonek ma inny ton, a więc ustawione w odpowiedniej sekwencji tworzą określoną melodię.

Słuchał pan kiedyś dzwonek orkiestrowych, mesje?

"

Pewnie, że słuchałem.

Stoi kilku gości i na znak kapelmistrza każdy z nich potrząsa tylko jednym dzwonkiem.

Brzdęk i odstawiają instrument na stołek.

Jak są zgrani, wychodzi z tego całkiem zgrabny utwór.

„Zabawka działa w ten sam sposób” odpowiada mi Pierre.

„Cudownie wzdycham.

Możemy ją teraz skrócić?

„Nie, on za wszelką cenę chce wiedzieć znacznie więcej.

Parę sekund później wyciąga błyszczący krążek wielkości srebrnego dolara, na całej powierzchni nabijany maleńkimi kołkami.

Obraca go.

Jeszcze więcej kołków.

„Gra zatem dwie melodie, po jednej z każdej strony”.

Byłem już święcie przekonany, że małopka więcej nie zagra.

Pierre wkłada krążek z powrotem, drugą stroną do góry, dokręca śrubki szczyrkami i sprawdza,

115 .

□

czy wszystko jest na miejscu.

Potem kilkakrotnie obraca kluczyk i stawia małopkę na stole.

Zwierzak macha łapami, znów słysząc melodyjkę.

Tym razem nie potrafię dopasować tytułu.

Ktoś jednak doskoła wie, o co chodzi.

Z sypialni słysząc głośny okrzyk.

Madame staje w drzwiach, w koronkowej podomce, z włosami luźno spływającymi na ramiona.

Wygląda niczym bóstwo, ale na jej twarzy maluje się taki wyraz, jakby zobaczyła wielką i straszliwą zjawę.

Patrzy na małopkę, przebiega przez pokój i chwyta syna w ramiona.

Można było pomyśleć, że ktoś chciał go porwać.

„Co to?”

„ pyta szeptem, do reszty wystraszona.

„Małopka, maam” odpowiadam, chcąc się na coś przydać.

„Maskarada szepcze.

Trzyńście lat temu.

Musi być tutaj”.

„Nie ma nikogo, oprócz mnie, maam, a ja tego nie przyniosłem.

Dostarczył to posłaniec, w pudełku ze wstążką”.

Meg gorączkowo pokiwała głową, żeby potwierdzić moje słowa.

„Skąd to przysłało?”

„ pyta Francuzeczka.

Biorę małopkę, która zdążyła już ścichnąć, i oglądam ją szczegółowo.

Nic.

Patrzę z kolei na papier.

Też nic.

Chwyciłem za pudełko.

Na dnie znalazłem metkę:

S.C. Toys, C.I.

Wracają stare wspomnienia.

Jakiś rok temu chodziłem z ładną dziewczyną, kelnerką u Lombardiego przy Spring Street.

Pewnego razu

116

zabrałem ją na cały dzień aż na Coney Island.

Ze wszystkich wesołych miasteczek wybraliśmy Steeplechase Park.

Był tam sklep z zabawkami, a w nim całe stopy najprzeróżniejszych mechanizmów.

Cho dzące żołnierzyki, bijący w bęben dobosz, tancerki sięgające nogą aż do głowy...

wszystko, co tylko działa na zębatkach i sprężynach.

Mówię więc do Francuzki, że moim skromnym zdaniem "S.C." znaczy

"Steeplechase", a "C.I." "Coney Island".

Potem jej wyjaśniam, z czego słynie wyspa.

Zamyśliła się.

"Te...
atrakcje...
jak pan je nazwał...
polegają może na złudzeniach optycznych?
Są tam fałszywe ściany, sztuczki, zapadnie, ukryte przejścia oraz dźwignie?
". Skinałem głową.
"Do kładnie tak funkcjonuje cała Coney Island, maam".
 wyraźnie ją to podnieciło.
,,Muszę tam jechać, mesje Bloom.
Muszę zobaczyć ów sklep z zabawkami i cały Steeplechase Park".
Wyjaśniam jej, że będzie z tym spory kłopot.
Coney Island działa głównie latem, a teraz przecież mamy ledwie koniec
listopada.
Wszystko zamknięte.
Pracują tylko monterzy, zajęci przy konserwacji, czyszczeniu i malowaniu.
Publika nie ma prawa wstępu.
Prawie się rozpłakała, zanim skończyłem mówić, a ja cholernie nie lubię zatros-
kanych kobiet.
 Zadzwoiłem do kumpła z działu reklamy w re dacji "American".
Złapałem go, zanim zdążył wy nieść się do domu.
Kto ma w ręku Steeplechase Park?
Facet nazwiskiem George Tilyou, do spółki
117 .

□
z tajemniczym bogatym partnerem.
Owszem, zesta rzał się i nie mieszka na wyspie, lecz w dużej kamie nicy w samym
centrum Brooklynu.
Od z górą dzie więciu lat jest właścicielem Steeplechase.
Ma przy padkiem telefon?
Przypadkiem ma.
Zapisałem nu mer i wydzwaniam dalej.
Zajęło to nieco czasu, lecz przebrnąłem przez tamę i połączono mnie z samym
panem Tilyou.
Wyjaśniam mu więc wszystko, że to bardzo ważne, że burmistrz McClellan i że
gościń ność wobec madame de Chagny...
Przecież dobrze wiecie, o co chodzi, ta sama stara śpiewka...
Kazał czekać, powiedział, że oddzwoni.
 Czekaliśmy.
Godzinę.
Oddzwonił.
Rozmawiał ze mną całkiem innym tonem, jakby po drodze zasię nął porady.
Tak, uda mu się otworzyć lunapark dla grupy prywatnych gości.
Przyjdzie obsługa do sklepu i kierownik całego obiektu.
Niestety, nie jutro, lecz dopiero pojutrze.
 Tak więc jutrzejszego ranka wasz szanowny ko lega osobiście odwiezie
panią de Chagny na Coney Island.
Prawdę powiedziawszy, wyszło na to, że zostałem jej prywatnym przewodnikiem po
Nowym Jorku.
I nic z tego, chłopaki, żaden się nie załapie, bo wycieczka będzie w bardzo
ściśłym gronie.
A wszystko za sprawą starej, brudnej peleryny.
Nie mówiłem, że dziennikarski fach to najlepsza robota na świecie?
 Pozostał tylko jeden kłopot, czyli mój wywiad, po który przecież
przybyłem do hotelu.
Udał się?
Nie.
Primadonna była tak wzburzona, że wróciła do
118
 sypialni i więcej nie wyszła.
Pokojówka Meg po dziękowała mi za załatwienie sprawy z lunaparkiem, lecz
oświadczyła, że jej pani nie ma siły do dalszej rozmowy.
Musiałem się pożegnać.
Trochę się za wiodłem, ale nie ma sprawy.
Pogadam z nią jutro.
Tak, bardzo proszę o następne piwo.

□
Rozdział X

TRIUMF ERIKA MUHLHEIMA

TARAS NA DACHU E.M.

TOWER, MANHATTAN, 29 LISTOPADA 1906 ROKU

Widziałem ją.

Po tylu latach widziałem ją i myśl łałem, że serce wyskoczy mi z piersi.

Stałem na dachu portowej hali i spoglądałem w dół.

Była tam, na nabrzeżu.

Potem zauważyłem błysk światła odbitego w lornetce i musiałem uciekać.

Wmieszałem się w tłum.

Na szczęście było tak zimno, że owinałem głowę wełnianym szalem i nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

Podszed łem aż do powozu i oglądałem jej słodką twarz nie dalej niż kilka jardów ode mnie.

Potem wcisnąłem pelerynę w dłoń dziennikarza zajętego myślami o wywiadzie.

Była piękna jak zawsze.

Smukła kibić, włosy upięte pod kozacką czapą i uśmiech zdolny rozłupać naj twardszy g łąz granitu.

120

Dobrze zrobiłem?

Warto było rozdrapywać rany i krwawić tak samo jak w ciemnym lochu przed dwunastoma laty?

A może byłem głupcem, sprawa dzając ją tutaj, skoro sto sześćdziesiąt miesięcy nie ma łem uleczyło z bólu?

Kochałem ją w tamtych strasznych i okrutnych paryskich czasach.

Kochałem ponad życie, pierw szą, ostatnią i jedyną prawdziwą miłością.

Kiedy mnie odrzuciła w lochach i poszła za wicehrabią, niewiele brakowało, a zabi łem oboje.

Gniew mnie ogarnął.

Ten sam gniew, co zawsze był mi towa rzyszem i najwierniejszym druhem.

Gniew na Boga i jego anio ły, na to, że nie dostałem ludzkiej twarzy jak inni, jak Raoul de Chagny.

Twarzy stworzonej do uśmiechów i wszelkich przyjemności.

W zamian otrzymałem bezkształtną, przeraźliwą maskę, kto ra skazała mnie na dożywocie w samotności i po niżeniu.

A jednak, jak ten głupi pokurcz myślałem, że i ja zaznam choć trochę miłości, zwłaszcza po tym, co między nami zaszło w dniu, kiedy rozpasany tłum szturmował podziemia Opery, żeby mnie zlinczować.

Pozwoliłem im wówczas żyć, pewien własnego losu.

Cieszę się, że to zrobiłem.

Cóż więc teraz czynię?

Czeka mnie tylko ból, zgryzota, wzgarda, smutek i nienawiść.

Wszystko za sprawą listu.

Och, madame Giry, co mam myśleć o tobie?

Jedy na na całym świecie okazałaś mi serce, nie plułaś na mnie i nie uciekłaś z krzykiem na widok mojej twa rzy.

Dlaczego czekałaś tak długo?

Mam ci dzięko121 .

□

wać, że w ostatniej godzinie wysłałaś mi wiadomość, która zmieniła moje życie?

Czy może mam cię ganić, że przez dwanaście lat uparcie milczałaś?

Wszak mog łem umrzeć i nigdy nie poznać tajemnicy.

Nie stety, żyję i wiem.

I dlatego podjąłem szaleńcze ryzyko.

Sprowadziłem ją tutaj, żeby patrzeć i cierpieć, by znów prosić lub błagać...

i spotkać się z odmową?

Tak, to możliwe.

A jednak, a jednak...

Mam go tutaj, chociaż każde słowo na zawsze wryło mi się w pamięć.

w osłupieniu czytałem go dziesiątki razy, aż papier zszarzał pod spoconym palcem i kartki się pomięły w dygoczących dłoniach.

Datowany w Paryżu, pod koniec września, tuż przed twoją śmiercią...

Drogi mój Eriku,

kiedy dostaniesz ten list o ile w ogóle trafi w Twoje ręce mnie już dawno nie będzie wśród żywych.

Odejdę w inne miejsce.

Długo się waha łem przed skreśleniem tych kilku słów i robię to tylko dlatego, iż moim zdaniem Ty, co tak wiele wycierpiałeś, powinieneś znać prawdę.

Nie mog łąbym z czys tym sercem stanąć przed obliczem Stwórcy, wiedząc, że do

samego końca Cię zwodziłam.

Nie umiem sobie wyobrazić, czy moje dalsze sło wa sprawią Ci wielką radość, czy przysporzą zmar twień. Oto przebieg wypadków dotyczących Ciebie, o których przedtem w ogóle nie słyszałeś.

Tylko ja, Christine de Chagny oraz jej mąż Raoul, wiemy, co

122

się wydarzyło.

Błagam Cię, abyś z rozważą i taktem korzystał z tej wiedzy...

Trzy lata po uwolnieniu pewnego szesnastolatka z klatki na jarmarku w Neuilly poznałam drugiego z „moich dwóch chłopców”, jak potem ich nazywa łam. Stało się to przypadkiem, na skutek tragicznych zdarzeń.

Była noc, zima tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku.

Opera dobiegła końca, dziewczęta wróciły na kwatery i gmach zamknął podwoje. Ciemną ulicą wracałam do siebie, do domu.

Szłam sama, wąskim, krętym i mrocznym zaułkiem.

Nie wiedziałam, że oprócz mnie są tam też inni ludzie.

Pewna służąca, po dłuższej pracy niż zazwyczaj, bojaźliwym krokiem pospiesznie dreptała w stronę jaśniejszej ulicy.

W drzwiach młody człowiek, mniej więcej szesnastoletni, żegnał się z przyjaciółmi, u któ rych spędził wieczór.

Z cienia wychynął rabuś, zacząjony w zaułku na przechodnia z wypchanym portfelem.

Nigdy się już nie dowiem, dlaczego napadł na tę małą służącą, która w swojej sakiewce miała może pięć sou.

Zobaczyłam tylko, jak nagle wyskoczył i chwycił ją za gardło, by nie mogła krzyczeć, a drugą ręką sięgnął do torebki.

"Zostaw ją, brutalu!

zawołałam.

AusecoursF.

Za sobą usłyszałam tupot męskich kroków.

Zo baczyłam mundur.

Młodzieniec rzucił się na rzezi mieszka i obalił go na ziemię.

Midinette wrzasnęła i jak opętana pognała do jasno oświetlonej ulicy.

Nigdy więcej już jej nie spotkałam.

Rabuś wyzwo.

□

lił się z rąk młodego oficera, wstał i rzucił się do ucieczki.

Oficer ruszył w pogoń.

Zobaczyłam wów czas, że złodziej się odwrócił i wyjął coś z kieszeni.

Wymierzył w oficera.

Rozległ się huk i błysk wy strzału.

Rabuś skoczył do bramy i przepadł w płata ninie ciasnych podwórek.

Podeszłam do leżącego młodzieńca.

Był to nieledwie chłopiec, ładny i dzielny dzieciak w mundurze kadeta Ecole Militaire.

Twarz miał białą jak marmur i mocno krwawił z otwartej rany w podbrzuszu.

Oderwałam rąbek spódnicy, żeby zrobić opatrunek, i krzyczałam tak długo, aż z okna nad nami ktoś wyrżał z zapytaniem, o co ten cały raban.

Błagałam, by czym prędzej sprowadził dorożkę.

W nocnej koszuli pobiegł na główną ulicę.

Zbyt daleko było do Hotel-Dieu, znacznie bliżej do szpitala Świętego Łazarza.

Tam też pojechaliśmy.

Dyżur pełnił tylko młody lekarz, lecz jak zobaczył ranę i dowiedział się, że pacjentem jest potomek jednej z najświetniejszych rodzin Normandii, w lot wysłał portiera po starszego chirurga, który na szczęście mieszkał niedaleko.

Nic więcej nie mogłam zrobić, zatem wróciłam do domu.

Modliłam się, żeby przeżył.

Następnego dnia, w niedzielę, nie pracowałam w Operze, poszłam więc do szpitala.

Ordynator już posłał smutną wieść do Normandii, a chirurg wziął mnie chyba za matkę rannego, gdyż na moje pytanie przybrał grobową minę i ciężkim głosem poprosił do swego gabinetu.

Tam dowiedziałam się strasznej rzeczy.

Pacjent przeżyje, stwierdził, ale ciężko było usunąć kulę z poszarpanych trzewi.

Większość naczyń krwionośnych w łędzwiach i w podbrzuszu nie na dawała się do operacji.

Należało je po prostu usunąć.

Początkowo nie rozumiałam, lecz nagle coś mnie tknęło i zapytałam wprost.

Smętnie pokiwał głową.

"Żal mówić westchnął.

Taki młody, przystojny chłopiec, a został półmężczyzną.

Obawiam się, że nigdy nie spłodzi własnych dzieci".

"Czy to znaczy spytałam że kula uczyniła z niego eunucha?

". Chirurg zaprzeczył.

"Nie, cho ciał nie wiem, czy to nie byłoby lepsze dla niego, gdyż wówczas nie czułby namiętności.

A tak...

Bę dzie żył, kochał i pożądał, lecz zniszczone tkanki...".

"Nie jestem dzieckiem, m siew le Docteur" od parłam, chcąc po trochu wybawić go z kłopotu, gdyż domyślałam się okropności, które zamierzał powiedzieć.

"W takim razie, madame, wyznam pani szczerze, że nie będzie zdolny do cielesnego związku z kobietą i nie doczeka się potomka".

"Nie zdoła się ożenić?

" zapytałam.

Chirurg wzruszył ramionami.

"Byłaby to doprawdy święta kobieta lub taka, której życie dopiekło w inny sposób, jeśliby się zgodziła na tak dziwny pakt, nie poparty fizycznym zbliżeniem odpowiedział.

Przykro mi, lecz zrobiłem wszystko, żeby się nie wykrwawił".

Powstrzymywałam się od łez, słysząc te tragiczne słowa.

Aż nie chciałam wierzyć, że los tak okrutnie .

□

napiętnował chłopca dopiero stojącego u progu do rosnącego życia.

Poszłam się z nim zobaczyć.

Był blady i bardzo słaby, lecz przytomny.

Nic mu nie powie dziano.

Grzecznie podziękował za pomoc, jakiej mu udzieliłam w zaułku.

Był przekonany, że zawdzięcza mi życie.

Gdy doniesiono nam, że rodzina przybyła pociągiem z Rouen, pospiesznie opuściłam szpital.

Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę mojego arystokratę.

Myliłam się.

Osiem lat później, piękny jak grecki bóg, co wieczór zjawiał się w Operze, by zamienić uśmiech lub słowo z pewną młodą dubler ką.

Potem, gdy stała się brzemienna, w szczerości i dobroci wyznał jej swój sekret, a kiedy się zgodziła zostać jego żoną, dał jej tytuł, nazwisko i ślubną obrączkę.

Od dwunastu lat kocha syna jak rodzony ojciec.

Taka jest zatem prawda, mój biedny Eriku.

Bądź łagodny i czuły.

Od tej, która Cię próbowała wspomóc w ciągłym bólu,

gasnący pocałunek.

Antoinette Giry

Zobaczymy się jutro.

Na pewno wie o tym.

Po słałem wyraźną wiadomość do hotelu.

Sam ustaliłem czas i miejsce.

Wciąż się mnie boi?

Raczej tak.

Nie domyśla się jednak, że to ja drzę przed nią, bowiem w każdej chwili może mnie pozbawić odrobiny ciepła dostępnego dla innych ludzi.

126

Z drugiej strony, nawet odepchnięty, będę zupełnie kimś innym.

Tu, z wysokiej grzędy, patrzę z góry na głowy wstrętnych ludzkich istot.

Teraz mogę powie dzieć: plujcie na mnie, szkalujcie, śmieJCie się i wy szydzajcie.

Nie możecie mnie skrzywdzić.

Poprzez brud i deszczu łzy, poprzez płacz i bólu krzyk, nie zaprzedałem życia:

MAM SYNA.

□

Rozdział XI

PAMIĘTNIK MEG GIRY

HOTEL WALDORF-ASTORIA, MANHATTAN, 29 LISTOPADA 1906 ROKU

Drogi Pamiętniku, w końcu mogę odetchnąć i usiąść, by podzielić się z tobą moimi myślami i zmartwieniami.

Niedługo świt i prócz mnie wszyscy są dawno w łóżkach.

Pierre śpi spokojnie, cichy jak jagniątko.

Zagłą dałam do niego.

Ojciec Joe chrapie w pokoju obok, na kozetce, i nawet grube hotelowe ściany nie są w stanie zagłuszyć jego zdrowych, wiejskich pomru ków.

Madame też już nareszcie zasnęła, po zażyciu valium na skołatane nerwy.

Od dwunastu lat nie widziałam jej takiej przerażonej.

Wszystko przez małpkę, którą mały Pierre dostał w prezencie od jakiegoś anonimowego dobroczyńcy.

Był tu także dziennikarz, miły i uczynny (i ciągle strzelał do mnie oczami), lecz to nie on zdenerwował panią.

Poszło o małpkę.

128

Dźwięk drugiej melodyjki przez otwarte drzwi dotarł do buduaru, w którym właśnie czeżałam madame.

Pani niemalże wpadła w obłąd.

Domagała się, żeby natychmiast ustalić, skąd pochodzi zabawka.

Dziennikarz, monsieur Bloom, znalazł adres sklepu i zorganizował spotkanie.

Tuż potem pani oświadczyła, że chce zostać sama.

Poprosiłam młodego, by wyszedł, i ułożyłam do snu protestu jącego Pierrea.

Po powrocie do pokoju zastałam panią przed lustrem.

Nie zamierzała jednak dokończyć toalety, więc w jej imieniu zatelefonowałam do restauracji i odwołałam kolację z panem Hammersteinem.

Gdy byłyśmy we dwie, spytałam, co się stało.

Podróż do Nowego Jorku, rozpoczęta pod dobrą gwiazdą i uświetniona wspaniałym powitaniem w porcie, nagle przerodziła się w groźny i posępny koszmar.

Oczywiście ja też rozpoznałam małpkę i graną przez nią złowrogą melodyjkę.

Falą powróciły okropne wspomnienia.

„Trzyście lat...” powtórzyła pani przez całą rozmowę.

To prawda, że już trzyście lat minęło od przedziwnych zdarzeń, jakie rozegrały się w najdalszych i najciemniejszych pod ziemiach paryskiej Opery.

Byłam tam owej pamiętnej nocy i próbowałam o wszystko wypytać, lecz madame uparcie milczała i nie chciała zdradzić szczegółów swojej przygody ze straszliwą postacią, zwaną przez chórzystki Upiorem.

Teraz powiedziała mi więcej.

Trzyście lat temu

129 .

□

wplątała się w nie lada skandal.

Upiór uprowadził ją ze środka sceny, w czasie występu w jedynym przedstawieniu opery "Triumpf Don Juana", nie grywanej od tamtej pory.

Tańczyłam wówczas w Corps de Ballet, ale w chwili porwania nie byłam na scenie.

Upiór zaniósł madame do lochów pod budynkiem, skąd później została uwolniona przez grupę żandarmów i aktorów, dowodzonych przez komisarza policji, który szczęśliwym trafem znalazł się na widowni.

Poszłam z nimi, dygocząc ze strachu.

w świetle pochodni zeszliśmy do piwnicy, piętro po piętrze, aż trafiliśmy do katakumb nad podziemnym jeziorem.

Chcieliśmy schwytać Upiora, lecz znaleźliśmy tylko panią, samą i roztrzęsioną jak osika.

Później odnalazł się Raoul de Chagny, który wyprzedził nas i stanął oko w oko ze zjawą.

Stało tam także krzesło przykryte peleryną.

Nie którzy z nas sądzili, że pod nią skrył się potwór.

Ale nie.

Leżała tam jedynie mała blaszana małpka, z cynelami i pozytywką w środku.

Policja ją zabrała jako dowód rzeczowy.

Od tamtej pory aż do dzisiaj nie widziałam podobnej zabawki.

Panią adorował młody wicehrabia Raoul de Chagny.

Wszystkieśmy jej zazdrościły.

Gdyby nie jej wrodzona dobroć, pewnie też ściągnęłaby na siebie i za wiść, gdyż była piękna, nieoczekiwanie zyskała wielką sławę i zdobyła miłość najprzystojniejszego kavaliera w Paryżu.

Ale każdy ją lubił.

Z niekłamaną ulgą powitaliśmy jej powrót do naszego grona.
Bar130

r
dzo się zbliżyłyśmy przez minione lata, ale ni słowem nie wspomniała o tym, co się stało w godzinie po rwanu.

"Raoul mnie uratował" wyjaśniała krót ko.

Co w takim razie miała znaczyć małpka?

Dzisiaj nie śmiałam pytać, więc tylko pokręciłam się przy niej i podałam skromną kolację.

Niczego nie tknęła.

Wreszcie ją przekonałam, żeby wzięła proszek nasenny.

Już na krawędzi snu wymknęło jej się kilka słów o tamtych zadziwiających wydarzeniach.

Powiedziała mi, że był jeszcze jeden człowiek w jej życiu, nieuchwytny jak piskorz, straszny, fascynują cy, zaborczy i pomocny.

Kochał ją obsesyjną miłość cią, której nie mogła odwzajemnić.

Jako zwykła tancerka słyszałam pogłoski o tajemniczej zjawie, żyjącej pod Operą i obdarzonej niesłychaną mocą.

Potwór pojawiał się i znikał, stawiał żądania dyrek torom, grożąc straszliwą karą w razie nieposłuszeń stwa.

Baliśmy się go i otaczającej go legendy, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że mógł w tak osob liwy sposób kochać moją obecną panią.

Zapytałam o małpkę i jękliwą melodię.

Madame odpowiedziała, że tylko raz w przeszłości widziała podobną zabawkę.

Było to zapewne wów czas, kiedy przebywała w niewoli u potwora.

Taką samą małpkę znalazłam przecież w lochu, na pustym krześle.

Pani zasnęła.

Przez sen powtarzała ciągle, że "on" wrócił...

żywy i bezwzględny, jak zawsze czyhający w cieniu, geniusz, tak ohydny jak jej Raoul był piękny.

Człowiek, którego odrzuciła i który ją pod131 .

□

stępem zwabił do Nowego Jorku, żeby się znowu z nią spotkać.

Uczynię wszystko, by ją chronić, bo jest mi nie tylko dobrą i łaskawą panią, ale i przyjaciółką.

Boję się, gdyż coś lub ktoś czai się w mroku nocy.

Boję się o wszystkich: o siebie, o ojca Joe, o Pierrea i zwłasz cza o madame.

Ostatnie, co mi powiedziała przed samym zaśnię ciem, to że z miłości do Pierrea i Raoula musi znaleźć dość siły, aby znów go odrzucić.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że się o nią upomni.

Modłę się, żeby nas nie zawiodła, i modłę się także o to, żeby za dziesięć dni ruszyć w drogę powrotną do bezpiecznego Pary ża, z dała od małp wygrywających stare melodyjki i jak najdalej od groźnej obecności Upiora.

Rozdział XII

DZIENNIK TAFFYTOO JONESA

STEEPLECHASE PARK, CONEY ISLAND, 1 GRUDNIA 1906 ROKU

Mam dziwną pracę.

Niektórzy twierdzą, że to złe zajęcie dla kogoś, kto ma choć trochę ambicji i rozu mu.

Właśnie z tego powodu nieraz chciałem ją rzucić i wziąć się do czegoś innego.

Ale nie.

Mija dziewięć lat, odkąd mnie zatrudniono w Steeplechase Park.

Wciąż tu siedzę po części dlatego, że dzięki tej pracy mogę nieźle

utrzymać i żonę, i dzieci, i jeszcze płacić czynsz za wygodne mieszkanie.

Po drugie po prostu to polubiłem.

Cieszy mnie śmiech mału chów i wesołość rodziców.

Rad jestem, kiedy latem widzę wokół siebie tłum rozbawionych twarzy, a zi mą gdy otacza mnie cisza i spokój.

Mieszkam też nie najgorzej jak na kogoś o mojej funkcji i pozycji.

Przede wszystkim mam willę w sza cownym sąsiedztwie innych przedstawicielei amery133 .

□

kańskiej klasy średniej, na Brighton Beach, niecałą milę od miejsca pracy.

Do tego trzeba dodać maleńką chałupkę tutaj, pośrodku lunaparku, zapewniającą mi schronienie i odrobinę wytchnienia nawet podczas sezonowego szczytu.

No i hojne wynagrodzenie.

Trzy lata temu poprosiłem nawet o maleńki procent od wpływu z biletów i teraz co

tydzień przynoszę do domu ponad sto dolarów.

A że potrzeby mam raczej skromne i prawie nie piję, zdołałem więc odłożyć całkiem zgrabną sumkę i niedługo, za parę lat, będę mógł spokojnie odejść na emeryturę.

Pięcioro odchowanych dzieci też pójdzie na swoje.

Zabiorę wówczas moją Błodwyn, znajdę niewielką farmę nad rzeką, nad jeziorem lub nawet nad morzem i osiadę tam, będę łowił ryby lub orał, zależnie od nastroju.

W szabas pójde do kaplicy i stanę się filarem miejscowej społeczności.

Na razie poświęcam się pracy.

Jestem bowiem wodzirejem w tutejszym lunapar ku.

To oznacza, że wkładam długie buty, worek kowate spodnie w zjadliwą kratkę, surdut w prążki i gwiazdy oraz wysoki cylinder i staję w bramie, by witać drogich gości.

Sute bokobrody, sumiasty wąs i zaraźliwy uśmiech sprawiają, że trafia do nas więcej, niżby początkowo chciało.

Bez przerwy krzyczę przez megafon: „Proszę, wchodźcie, zajrzyjcie do krainy cudów, strachów i zabawy, dziwnych i cudownych rzeczy!

Wejdźcie, przyjaciele, a nie pożałujecie aż do końca życia...” i tak dalej.

Przechadzam się przed bramą, kłaniam

134

się dziewczętom w zwiewnych letnich sukienkach i pozdrawiam młodzieńców wystrojonych w prążkowane marynarki i słomkowe kapelusze.

Są też rodzice z dziećmi aż piszczącymi do atrakcji, o kto rych im opowiadam.

Potem wchodzi, zostawiając w kasie centy i dolary.

A od każdego pięćdziesięciu centów jeden cent jest dla mnie..

Tak wygląda moja letnia, sezonowa praca od kwietnia do października, czyli do czasu, kiedy znad Atlantyku powieją pierwsze chłodne wiatry.

Wtedy zamykamy na zimę.

Wieszam wówczas do szafy mój strój wodzireja i porzucam ulubiony przez gości śpiewny walijski akcent, bo naprawdę urodziłem się tu, na Brooklynie, i nigdy nie widziałem ziemi moich ojców.

Przychodzę do pracy w codziennym ubraniu i pełnię nadzór nad naprawami.

Zjeżdżalnie i huśtawki rozbiera się na zimę, a maszyny idą do remontu oraz smarowania.

Robotnicy wymieniają zniszczone fragmenty deko racji, szlifują i lakierują drewno, zszywają podarte płótna i dają nową pozłotę koniom z karuzeli.

Do kwietnia wszystko jest jak nowe, a w pierwsze ciepłe dni lunapark znów wita gości.

Toteż z niejakim zdziwieniem przeczytałem przed dwoma dniami list od pana Tilyou.

Ów dzentelmen jest właścicielem parku.

To jego dziecko, wymyślone ponoć do spółki z tajemniczym wspólnikiem, którego nikt nigdy na oczy nie oglądał, a już na pewno nie tutaj.

Moim zdaniem to tylko energia i zapał pana T.

sprawiły, że lunapark ruszył przed dziewięcioma

135 .

□

laty.

Od tamtej pory pan T.

stał się majętnym czło wiekiem.

List musiał być bardzo pilny, gdyż został mi dorę czony przez specjalnego gońca.

Zawierał polecenie, aby następnego dnia czyli teraz już wczoraj otworzyć park dla kilkorga specjalnych gości.

Pan T.

doskonale wiedział, iż karuzele i zjeżdżalnie są nieczynne o tej porze roku, nalegał jednak, żeby uruchomić sklep z zabawkami i Gabinet Luster.

Tak też, za sprawą owej epistoły, przydarzyła mi się przedziwna przygoda.

Przed wszystkim znalazłem się w kropce, gdyż moi pracownicy przebywają na urlopach, i to na ogół dość daleko.

Jak miał więc działać sklep i wspo mniany Gabinet Luster?

Trudno było wyszukać odpowiednie zastępstwo.

Nasze zabawki mechaniczne, poszukiwane w całej Ameryce, są atrakcyjne, lecz skomplikowane.

Trze ba być ekspertem, aby ich działanie wyjaśnić naj młodszym klientom, chcącym wszystkiego dotykać, wszystko sprawdzać oraz macać.

Nie należę do ta kich specjalistów.

Pozostawała mi nadzieja, że dam sobie jakoś radę.

Musiałem spróbować.

Mamy chłodną zimę, więc zawczasu rozstawiłem piecyki naftowe w sklepie. Rano było tak ciepło jak w samym środku lata. Ściągnąłem nakrycia z półek, odsłaniając szeregi mechanicznych żołnierzy, doboszy, tancerów, akrobatów i zwierząt, potrafią cichy śpiewać, tańczyć oraz skakać.

Nic więcej nie mogłem zrobić.

Skończyłem przed ósmą i bezradnie

136

czekałem na gości.

Nagle wydarzyło się coś osobliwego.

Odwrociłem się i przed sobą ujrzałem młodzieńca.

Nie zauważyłem, jak wszedł, i w pierwszej chwili chciałem go wyprosić, lecz on oświadczył wówczas, że mnie zastąpi za ladą.

Skąd wiedział o przybyciu gości?

Nie zdradził.

Wyjaśnił tylko, że kiedyś tu pracował i dobrze zna się na zabawkach.

Z braku laku, musiałem go zaakceptować.

Nie wyglądał na rasowego sprzedawcę zabawek, jowialnego, z miłością do dzieci. Miał bladą jak ściana twarz, czarne oczy, czarne włosy i czarny surdut.

Spytałem go o nazwisko.

Zawahał się sekundę i odpowiedział "Malta".

Tak też do niego się zwracałem, póki nie odszedł...

a raczej, nie zniknął.

Ale o tym za chwilę.

Gabinet Luster to osobna sprawa.

Zadziwiający miejsce.

Zwykle po godzinach przesiaduję w nim, próbując zgłębić jego tajemnice.

Nie bardzo mi się to udaje.

Projekt bez wątplenia wyszedł spod ręki geniusza.

Niemal każdy, kto kiedykolwiek odbył tu przechadzkę, wychodzi przekonany, że zobaczył więcej, niż naprawdę widział.

I na odwrót ciągłe zmiany sprawiają, że ten i ów bierze rzeczywistość za iluzję. Nie jest to bowiem zwykły gabinet, jakich pełno w innych lunaparkach, lecz prawdziwy dom czarów.

Opiszę go dokładniej, na wypadek gdyby ktoś po latach wziął do ręki mój dziennik i szukał w nim historii związanych z dawną Coney Island.

Z zewnątrz Gabinet Luster przypomina zwykły, prostokątny i niski budynek z jednym wejściem.

Tuż

137 .

□

za progiem rozchodzą się dwa korytarze: w prawo i w lewo.

Ściany aż po sufit wyłożone są zwierciadłami, a szerokość przejścia wynosi dokładnie cztery stopy.

To ważne, gdyż wewnętrzne lustro nie stanowią zwartej przegrody, lecz mogą się obracać wokół pionowej osi.

Każde z nich jest wysokie na siedem stóp i szerokie na osiem.

Zdalnie kierowane, po wykonaniu półobrotu blokują jedno przejście, a otwierają całkiem inne, wiodące w głąb budynku.

Zwiedzający nie ma wyboru; musi iść w tamtą stronę.

Nowe przejście, jak za tajemnym zaklęciem, odsłania inne oblicze.

Skręca, kluczy, aż wreszcie rozpada się na wiele maleńkich komnat, w których ciągle przybywa i ubywa luster.

Potem jest jeszcze gorzej, bliżej środka obracają się bowiem już nie tylko lustro, ale i część podłogi wykrojona w koło o ośmiostopowej średnicy.

Gość, stojący tyłem do zwierciadła, może się przemieścić nic o tym nie wiedząc o dziewięćdziesiąt, sto osiemdziesiąt lub dwieście siedemdziesiąt stopni.

Przekonany, że znów w wirują ściany, nagle traci z oczu swoich towarzyszy albo widzi przed sobą całkiem innych ludzi.

Szklane komnaty znikają.

Często się też zdarza, że ktoś mówi do odbicia w lustrze, nie wiedząc, że "oryginał" ma u swojego boku albo za plecami.

Mężowie i żony, chłopcy i panny, rozdzieleni w ułamku sekundy, spieszą naprzód by po pewnej chwili dołączyć do kogoś innego.

Jak kilka młodych par znajdzie się w labiryncie, zewsząd dobiega śmiech i okrzyki grozy.

138

Nad zabawą czuwa Mistrz Luster; on jeden zna wszystkie tajniki mechanizmów.

Siedzi nad wejściem w podwieszanej budce i spoglądając w górę, na zwierciadlany sufit, widzi przed sobą jakby mapę wnętrza.

Za pomocą odpowiednich dźwigni zmienia kształt labiryntu, tworzy nowe iluzje, otwiera i za myka przejścia.

Ku memu utrapieniu pan Tilyou zażyczył sobie, aby pewna dama z grupy niespodzianych gości za wszelką cenę zwiedziła ów gabinet.

Sęk w tym, że Mistrz Luster jest właśnie na urlopie i nie mogłem się z nim skontaktować.

Postanowiłem go zastąpić, więc pół nocy spędziłem w budynku, w świetle parafinowej lampy szar piąc różne lewary, aż nauczyłem się, jak w miarę krótko poprowadzić damę przez gąszcz korytarzy i jak ją wypuścić, gdyby zagubiona zaczęła wzywać pomocy.

Komnaty z lustrami nie mają dachów, więc wszystko wyraźnie słychać.

Skończyłem przygotowania wczoraj, o dziewiątej rano.

Potem czekałem na gości pana Tilyou.

Przybyli tuż przed dziesiątą.

Na SurfAvenue prawie nie było ruchu, więc kiedy zobaczyłem elegancki powóz mi jający biura Brooklyn Eagle, wiedziałem, że to oni.

Powóz przejechał obok Luna Parku, Dreamlandu i stanął tuż przede mną.

Poznałem go bez trudu, ponieważ w sezonie wiele takich czekało pod Manhattan Beach Hotel na turystów przybyłych kolejką elektryczną od mostu brooklyńskiego. W grudniu taki widok to prawdziwa rzadkość.

Woźnica ściągnął cugle, a wtedy podszedłem bli139 .

□
zej, unosząc do ust tubę.

"Witam, witam szanownych państwa i zapraszam do Steeplechase Park, najpierwszego i najwspanialszego wesołego miasteczka na całej Coney Island" zahuczałem.

Nawet konie popatrzyły na mnie spod oka.

Pierwszy raz w zimie widziały wariata.

Z powozu wysiadł młodzieniec.

Jak się okazało, był to dziennikarz z "New York American", szmat ławca wydawanego przez koncern Hearsta.

Mało nie pękał z dumy, że przypadła mu rola przewodnika po Nowym Jorku.

Potem zobaczyłem piękną damę, arystokratkę w każdym calu mam oko do takich rzeczy.

Dziennikarz przedstawił ją jako wicehrabinę de Chagny, jedną z najsłynniejszych śpiewaczek ope rowych świata.

To akurat wiedziałem, bo czytam "New York Timesa" i na własny użytek liznąłem nieco edukacji.

Teraz też zrozumiałem, dlaczego pan Tilyou nalegał, aby spełnić jej każde życzenie.

Wsparta na ramieniu dziennikarza stanęła na śliskim od deszczu trotuarze.

Odłożyłem zbędny megafon, skłoniłem się zamaszystym ruchem i ponownie powitałem wszystkich w moim królestwie rozrywki.

Wicehrabina obdarzyła mnie uśmiechem zdolnym roztopić kamienne serce Cader

Idris i z cudownym francuskim akcentem przeprosiła za to, że za jej przyczyną zostałem nagle wyrwany z błogiej zimowej drzemki.,,Oddany sługa, maam" odparłem, żeby udowodnić, iż mimo błazeńskiego stroju znam się na konwenansach.

Następny wysiadł chłopaczek, dwunaste-, trzynas140 toletni.

Ładny, także Francuz, jak jego matka, ale wyśmienicie mówiący po angielsku.

W rękę ścisnął blaszaną małą pożywkę, taką samą, jakich tu ziny stoją na półce w naszym sklepie.

Poza nami nie sprzedawano ich nigdzie indziej.

Speszyło mnie to trochę: zabawka była zepsuta?

Przyjechali tu z reklamacją?

Tajemnica lingwistycznych zdolności chłopca znała wyjaśnienie w osobie czerstwego i barczystego irlandzkiego księdza w czarnej sutannie i wielkim kapeluszu.

„Dzień dobry, panie wodzireju po wiedział.

A zimny dla nas, za to, że kazaliśmy czekać ci na dworze".

"Nie dość zimny, aby zamrozić gorące irlandzkie serce" odrzekłem, nie chcąc okazać się gorszym, choć jako anglikanin niewiele mam do papistów.

Ksiądz aż odchylił głowę i zaniósł się szczerym śmiechem, więc uznałem, że mimo wszystko będzie dobrym kompanem.

W wesołym nastroju powiodłem całą czwórkę przez bramę i otwarty kołowrót tam, dokąd chcieli do sklepu.

Dzięki moim grzejnikom zrobiło się tam bardzo ciepło.

Pan Malta skłonił się na powitanie.

Chłopiec imieniem Pierre od razu podbiegł do półek pełnych nakręcanych tancerek, grajków, żołnierzy, błaznów i zwierzątek.

One też stanowiły dumę lunaparku, gdyż, jak wspomniałem, nie sprzedawano ich nigdzie indziej w mieście, a może i w całym kraju.

Pierre biegał jak szalony i wołał, że wszystko chce zobaczyć.

Jego mama spytała o regał z małpkami.

141 .

□ Stały z tyłu, tuż przed zapleczem. Zażądała, aby je uruchomić.

"Wszystkie?"

" spytał pan Malta.

"Jedną po drugiej" odpowiedziała stanowczym tonem.

Tak też się stało.

Pan Malta kolejno nakręcał małpki.

Każda biła w czynele i wygrywała skoczną melodyjkę.

Zawsze tę samą: Yankee Doodle Dandy.

Nie posiadałem się ze zdumienia.

A może pani de Chagny chce wymienić zabawkę?

Po co, skoro wszystkie grały tak samo?

Skinęła głową na syna.

Pierre wyjął z kieszeni scyzoryk ze śrubokrętem i ku naszemu zdziwieniu mojemu i pana Malty podwinął kubraczek na plecach pierwszej małpki i połuzował kilka śrubek.

Podniósł kłapkę, wyciągnął niewielki krążek, zręcznie obrócił go w dłoni i wsunął z powrotem.

Zrobiłem zaskoczoną minę.

Malta to samo.

Małpka zagrała znowu, tym razem dixie.

No, oczywiście pomyślałem jedna melodia dla Północy, a druga dla Południa.

Pierre ponownie przełożył krążek, przykręcił śrubki i wziął się do następnej zabawki.

Z tym samym skutkiem.

Przy dziesiątej mama dała mu znak, by przestał.

Malta odstawił małpki na dawne miejsce.

Nawet on nie wiedział, co naprawdę kryją.

Wicehrabina była bardzo blada.

"Był tutaj" powie działa, nie patrząc na nikogo.

Potem zwróciła się do mnie: "Kto jest projektantem i twórcą tych zabawek?"

" .

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

„Wszystkie wykonano w niewielkim warsztacie w New Jersey

142

odezwał się Malta.

Produkowane na licencji, z odpowiednim patentem.

Nie znam nazwiska projektanta".

"Nikt z was nie widywał tutaj jakiejś dziwnej postaci?"

zapytała dama.

Człowieka w kapelu szu, z twarzą do trzech czwartych szczelnie zakrytą maską?

" .

Po tym pytaniu wyczułem, że stojący obok mnie Malta zeszywniał, jakby kij połknął.

Zerknąłem na niego, lecz nic nie mogłem wyczytać z jego kamiennej twarzy.

Pokręciłem głową i odpowiedziałem, że w lu naparku bywa wiele masek.

Są maski błaznów, potworów i duchów na Halloween.

Ale żeby ktoś nosił maskę tak na co dzień?

Nie, nigdy.

Wicehrabina westchnęła ciężko, wzruszyła ramionami i podeszła do innej półki, popatrzeć na resztę zabawek.

Malta skinął na chłopca i pociągnął go w drugą stronę, tam gdzie stał zastęp mechanicznych, kroczących żołnierzy.

Miałem już wobec niego pewne podejrzenia, więc ukradkiem podążyłem za nim.

Ze zdziwieniem i wzgardą usłyszałem po chwili, że mój tajemniczy i nagły pomocnik po cichu wypytuje to niewinne dziecko.

"Dlaczego twoja mama przyjechała do Nowego Jorku?"
" zaczął.

"Jak to dlaczego, proszę pana?
żeby zaśpiewać w operze".

"Prawda.
I nie miała żadnych innych powodów?
Nie chciała się z kimś spotkać?"

"Nie, proszę pana".
143 .

□
"A dlaczego tak ją ciekawią nasze grające małp ki?"

"Tylko jedna z nich, z zupełnie inną melodią, monsieur.
Ta, którą trzyma w ręku.
Tutejsze grają co innego".

"Przykro mi.
Twój tato nie przyjechał?"

"Nie, proszę pana.
Coś go zatrzymało we Francji.
Przypłynię dopiero jutro, następnym statkiem".
„Wyśmienicie.
To naprawdę twój tato?"

"Oczywiście.
Przecież jest mężem mamy, a ja jes tem ich synem".
W tejsze chwili uznałem, że sprawy zaszły za dale ko, i postanowiłem
wkroczyć.
Nie zdążyłem jednak nic zrobić, gdyż przeszkodziło mi coś dziwnego.
Drzwi rozwarły się z trzaskiem.
Owionął mnie zimny powiew morskiego wiatru, a w progu stanęła bar czysta postać
księdza, o którym już wiedziałem, że nazywa się Kilfoyle.
Pierre i pan Malta, także zwa bieni chłodem, wychynęli z za półek.
Ksiądz stał zaledwie dziesięć jardów przed bladolicym młodzień cem.
Bez słowa patrzyli na siebie.
Potem ksiądz przeżegnał się prawą dłonią.
Jako dobry anglikanin niewiele mam z tym wspólnego, ale gdzieś słyszałem, że
takim znakiem katolicy wzywają Boga na pomoc.
„Chodź, Pierre" odezwał się Kilfoyle i wyciąg nał rękę.
Nie spuszczał oka z Malty.
Ta konfrontacja, pierwsza z dwóch, których byłem świadkiem, zmroziła
atmosferę nie gorzej od zimy.
Aby przywrócić dobry nastrój, jaki panował między nami zaledwie przed godziną,
zawołałem:

144

"Jaśnie pani, naszą największą dumą jest Gabinet Luster, prawdziwy cud
świata.

Z radością pani go pokażę, aby poprawić pani humor.
Panicz Pierre może tu pozostać, w królestwie zabawek, gdyż widzę, że jak inne
dzieci wprost oniemiał z zachwytu!

"Wicehrabina zawahała się, a ja z kolei zadałem sobie pytanie, dlaczego
pan Tilyou tak usilnie nalegał w liście, by zaprowadzić ją do Gabinetu Luster.
Spojrzała na Irlandczyka, ten zaś skinął głową i rzekł:

"Proszę iść i zobaczyć ów słynny cud świata.

Przypił nuję Pierrea.

Mamy dużo czasu.

Próby rozpoczną się dopiero po południu".

Wówczas wicehrabina zgodziła się pójść ze mną.

Przygoda w sklepie w którym żadna z małpek nie zagrała melodii szukanej
przez matkę z synem była dziwna, trudno jednak ją porównać z tym, co nastąpiło
dalej.

Stałem się bowiem świadkiem tak niezwykłych wypadków, że muszę je opisać z naj
większą dokładnością.

Oto, co tamtego dnia widzia łem i słyszałem.

Weszliśmy do Gabinetu Luster.

Dama zobaczyła korytarz wiodący w lewo i w prawo.

Dałem jej znak, że ma wolny wybór.
Wzruszyła ramionami, posłała mi prześliczny uśmiech i skrzyła w prawo.
Wdra pałem się za pulpit i zerknąłem na zwierciadlany sufit.
Zobaczyłem, że już doszła do połowy ściany.
Pociągnąłem drążek, by obrócić lustro i skierować ją w głąb budynku.
Nic.
Spróbowałem ponownie.
Znów nic.
Dźwignie nie działały.
Ciągle ją widzia łem, jak szła zewnętrznym korytarzem.
Potem któ145 .

□
reś lustro drgnęło i zablokowało jej dalszą drogę.
Utworzyło się nowe przejście.
Sę w tym, że zupełnie bez mojego udziału.
Mechanizm źle funkcjonował, zatem dla bezpieczeństwa damy postanowiłem jak najszybciej zakończyć zabawę.
Tak przestawiłem dźwignie, aby otworzyć korytarz biegnący z powro tem do wyjścia.
Nic z tego.
Lustra wewnątrz dalej się poruszały jak żywe albo sterowane przez kogoś innego.
Kręciło ich się tak wiele, że w pewnej chwili ujrzałem dwadzieścia kobiecych postaci i sam już nie wiedziałem, która z nich jest prawdziwa.
Nagle wszystko zamarło.
Wicehrabina stanęła uwięziona w maleńkiej komnacie.
Znów jakiś ruch, powtórzony aż dwadzieścia razy i przez chwilę mi mignął fragment peleryny.
Dodam od razu: czarnej peleryny, podczas gdy wicehrabina miała na sobie aksamitny płaszcz w śliwkowym kolorze.
Zobaczy łem, że dłonią zakryła usta i szeroko otworzyła oczy.
Patrzyła na coś lub na kogoś stojącego plecami do lustra, w martwym punkcie, niewidocznym z kabiny.
"To jednak ty..." jęknęła.
Zrozumiałem wówczas, że tajemniczy intruz wdarł się do środka i pokonał labirynt bez mojej wiedzy.
Początkowo sądziłem, że dokonał cudu, potem jednak odkryłem, że lustro na suficie zostało w nocy pochylone i dawało zaledwie połowiczny widok.
Druga połowa hali została przede mną ukryta.
Widziałem wicehrabinę, nie widziałem zjawy, z którą rozmawiała.
Wszystko jednak słysza łem, więc nastawiłem ucha, by jak najwięcej zapa miętać i później opisać.

146

Coś jeszcze przyciągnęło moją uwagę.
Francuz ka bogata, sławna, utalentowana i dzielna wprost trzęsa się ze zgrozy.
Tak, zgrozy...
ale zmie szanej z fascynacją.
Z dalszej rozmowy pojałem, że spotkała dawnego znajomego; kogoś, od kogo za wsze starała się uwolnić, kto schwytał ją w sidła...
czego?
Bez wątpienia strachu.
Miłości?
Być może, ale przed wiekami.
Nabożnego podziwu?
Kimkol wiek był, teraz czy przed laty, nadal sprawował nad nią niepodzielną władzę.
Dygotała jak listek, a prze cież nie próbował jej grozić.
Tak przebiegała ich rozmowa:
ON: Tak, ja.
Spodziewałaś się kogoś innego?
ONA: Nie...
Zwłaszcza po tym, jak zobaczyłam małpkę i usłyszałam "Maskaradę".
Po tylu latach...
ON: Po trzynastu długich latach.
Myślałaś czasem o mnie?
ONA: Oczywiście, maestro.
Sądziłam jednak...
ON: Że nie żyję?
Nie, Chnstine.

Nie ja, ukochana.

ONA: Ukochana?

Więc ciągle...

ON: Ciągle i zawsze, aż do samej śmierci.

W duszy wciąż jesteś moja, Christine.

Stworzyłem śpiewającą gwiazdę, ale nie potrafiłem jej zatrzymać.

ONA: Kiedy zniknąłeś, sądziłam, że odszedłeś na dobre.

Poślubiłam Raoula...

ON: Wiem.

Śledziłem twój każdy ruch, każdy krok, każdy triumf.

ONA: Ciężko ci było, Eriku?

ON: Ciężko.

Zawsze stąpałem o wiele gorszą drogą, niż możesz sobie wyobrazić.

147 .

□

ONA: Ty sprowadziłeś mnie tutaj?

To twoja Opera?

ON: Moja.

Wszystko moje.

Mógłbym kupić po łowę Francji.

ONA: Ale po co?

Och, Eriku, dlaczego mnie nie zostawisz?

Czego żądasz ode mnie?

ON: Żebyś była ze mną.

ONA: Nie mogę.

ON: Zostań ze mną, Christine.

Czasy się zmieniły.

Mogę dać ci każdą operę na świecie.

Wszystko, czego kiedykolwiek zapragniesz.

ONA: Nie mogę.

Kocham Raoula.

Spróbuj to zrozumieć.

Pamiętam każdą rzecz, którą dla mnie zrobiłeś, i jestem ci za to wdzięczna.

Ale moje serce należy do innego.

Zawsze tak będzie.

Nie rozumiesz?

Nie chcesz tego pojąć?

W tej chwili nastąpiła długa przerwa, tak jakby człowiek, którego odepchnęła, próbował zapanować nad rozpaczą.

Odezwał się po pewnym czasie, wyrażając nie drżącym głosem:

ON: Dobrze.

Przyjmuję wyrok.

Czemu nie...

Prze cież moje serce krwawiło nader często.

Lecz jest coś jeszcze.

Oddaj mojego chłopca.

ONA: Twojego...

chłopca?

...

ON: Mojego syna.

Naszego syna.

Pierrea.

Wicehrabina, którą wciąż widziałem w dwudziestu wcieleniach, zbladła jak płótno i zakryła twarz dłońmi.

Zachwiała się.

Przez moment sądziłem, że ze mdleje.

Chciałem krzyknąć, lecz głos uwiązł mi w krtani.

Byłem niemym i bezradnym świadkiem

148

czegoś, czego nawet nie rozumiałem.

Wreszcie opuściła ręce i przemówiła szeptem:

ONA: Kto ci powiedział?

ON: Madame Girya.

ONA: Dlaczego?

Och...

dłaczego?

ON: Była na łożu śmierci.

Nie mogła umrzeć z tajemnicą skrywaną przez tak długie lata.

ONA: Skłamała.

ON: Nie.

To ona uratowała Raoula postrzelonego na ulicy.

ONA: To wspaniały, dzielny i kochający człowiek.

Miłuje mnie i wychowuje Pierrea jak własnego syna.

Pierre o niczym nie wie.

ON: Ale Raoul wie.

Ty wiesz.

Ja wiem.

Oddaj mi dziecko.

ONA: Nie mogę, Eriku.

Pierre wkrótce skończy trzynaście lat.

Za pięć lat będzie już dorosły.

Wtedy mu powiem.

Masz na to moje słowo.

W dniu jego osiemnastych urodzin.

Teraz jest jeszcze niegotowy.

Nadal mnie potrzebuje.

Jak się wszystkiego dowie, zostawię mu wolny wybór.

ON: Obiecujesz, Christine?

Jeśli poczekam pięć lat...

ONA: Odzyskasz syna.

Za pięć lat.

Jeśli tylko cię zechce.

ON: W takim razie poczekam.

I tak długo czekałem na ów maleńki okruczeństwo szczęścia, jakiego zwykli ludzie zaznają zazwyczaj na kolanach ojców.

Pięć lat...

Zaczekam.

ONA: Dziękuję ci, Eriku.

A za trzy dni znowu dla ciebie zaśpiewam.

Będziesz tam?

149 .

□

ON: Oczywiście.

Bliżej, niż sądzisz.

ONA: Więć zaśpiewam dla ciebie tak jak nigdy przedtem.

Wówczas zobaczyłem coś, co sprawiło, że omal nie wypadłem z kabiny.

W hali pojawił się ktoś jeszcze.

Jak to zrobił, nigdy- się nie dowiem, bo jedyne mi znane drzwi były tuż przede mną, a tedy na pewno nie wszedł.

Bez wątpliwości zakradł się tajnym wejściem, znanym jedynie projektantom.

W pierwszej chwili sądziłem, że widzę odbicie czło wieka, który rozmawiał z panią de Chagny.

Potem jednak przypomniałem sobie, że tamten nosił pełe rynecę, a ten, chociaż także w/ czerni, odziany był w obcisły surdut.

Kulił się w jednym z zewnętrznych korytarzy i dociskał ucho do cienkiej jak włos szpa ry dzielącej dwie tafle lustrd.

Podsłuchiwał roz mowę toczoną przez byłych kochanków w ciasnej wewnętrznej komnacie.

Chyba poczuł na sobie moje baczne spojrzenie, bo nagle poderwał głowę, rozejrzał się, a potem popatrzył wprost w górę.

Dokładnie go widziałem w pochylonym zwierciadle.

On mnie zresztą także.

Włosy miał czarne jak surdut, a twarz białą jak koszula.

Był to ów nędznik, co kazał nazywać się Małtą.

Przez chwilę patrzył na mnie gorejącym wzro kiem, a potem uciekł, bez trudu odnajdując drogę w zawiłym labiryncie.

wyskoczyłem z kabiny z na dzieją, że go złapię, i wybiegł-em za róg budynku.

Zbieg był już daleko, gdyż przedarł się przez ukryte wejście i teraz gnał jak zając w stronę głównej bramy.

150

Nigdy nie zdołałbym go dogonić w ogromnych i nie zgrabnych butach Wodzireja.

Mogłem więc tylko patrzeć.

Tuż za bramą czekała jeszcze jedna kryta kolasa.

Małta wskoczył do niej i zatrzasnął drzwiczki.

Bryczka ruszyła z kopyta.

Zapewne należała do niego, bo nie wynajmowano takich na całej Coney Island.

Zanim jednak odjechał, musiał minąć dwóch lu dzi.

Bliżej Gabinetu Luster stał młody dziennikarz.

Zbieg krzyknął coś do niego, ale nie rozpoznałem co, gdyż słowa uleciały na skrzydłach morskiego wiatru.

Dziennikarz zdziwił się, lecz nie ruszył w po goń.

Przed bramą zobaczyłem ciemną sylwetkę księdza, który odprowadził

Pierrea do powozu i teraz wracał, żeby odszukać panią.

Malta zamarł w pół kroku.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Malta odbiegł do swojej kolasy.

Byłem kompletnie roztrzęsiony.

Najpierw dzi wacne śledztwo w sprawie grającej małpki, potem jeszcze dziwniejsze zachowanie Malty, osobliwa rozmowa z Bogu ducha winnym chłopcem, nace chowane nienawiścią spotkanie z katolickim księ dzem, katastrofa w Gabinetcie Luster, bunt dźwigni i przełączników, wyznania, jakie usłyszałem z ust primadonny oraz jej kochanka, ojca jej dziecka, wreszcie widok podsłuchującego Malty...

Stanow czo za wiele.

Cały w nerwach, zupełnie zapomnia łem, że madame de Chagny ciągle jest uwięziona w labiryncie luster.

151 .

□

Gdy o tym sobie przypomniałem, pobiegłem ją uwolnić.

Lewary cudem zaczęły działać, więc wkrót ce wyszła, milcząca i śmiertelnie błada.

Podziękowała mi w uprzejmych słowach za wszystkie wysiłki, ob darzyła sowitym napiwkim i wsiadła do powozu, wraz z księdzem, dziennikarzem i synem.

Odprowa dziłem ją aż do bramy.

Po raz ostatni zawróciłem do Gabinetu Luster i przeżyłem wówczas najgorszy szok w życiu.

W pod cieniu budynku stał samotny człowiek.

Spoglądał na powóz uwożący mu syna.

Ukryty za rogiem, widziałem go dokładnie.

Nie miałem wątpliwości;

czarna, rozwiana peleryna zdradzała jego tożsamość.

Ostatni z uczestników dramatu w labiryncie.

Widok jego twarzy ściał mi krew w żyłach.

Upiorna twarz, w trzech czwartych zasłonięta maską, spod której wyzierały złe, palące oczy.

Był to człowiek uparty, nienawykły do bliźnich, a przez to niebezpieczny.

Nie dostrzegł mnie, więc usłyszałem, jak niskim głosem groźnie mruknął do siebie: "Pięć lat...

pięć lat powtórzył.

Nigdy.

On jest mój i musi pozostać ze mną".

Odwrócił się i odszedł, wymijając dwa słupy.

Znik nał za domem.

Nieco później znalazłem dziurę w ogrodzeniu oddzielającym park od Surf Avenue.

Wyjęto tam trzy słupki.

Nie zobaczyłem go już nigdy.

Ani jego, ani wścibskiego Malty.

Zastanawiałem się, co robić.

Ostrzec wicehrabinę, iż jej znajomy nie zamierzał czekać aż pięciu lat na syna?

A może zmienił zdanie, kiedy ochłonał z gnie152

wu? Przecież mówili o intymnych rzeczach, nie prze znaczonych dla moich

uszu.

Postanowiłem milczeć.

Nie na próżno mam jednak celtycką krew w żyłach, bo nawet teraz, kiedy piszę o sprawach zasłyszanych i widzianych wczoraj, ciąży mi okrutne i dziwne przecucie.

□

Rozdział XIII

MODLITWA JOSEPHA KILFOYLE

KATEDRA W.

PATRYKA, NOWY JORK, 2 GRUDNIA 1906 ROKU

Panie, wysłuchaj mnie, Chryste, wysłuchaj mnie.

Już po wielekroć zwracałem się do Ciebie.

Więcej razy, niż potrafię zliczyć.

W słonecznym skwarze i w ciemnościach nocy.
Podczas mszy w Twoim domu i w zaciszu mojego pokoju.
Czasem nawet sądziłem, że zechcesz dać mi odpowiedź.
Że usłyszę Twój głos.
Że mną pokierujesz.
Czyż byłem wówczas głupcem, ogarniętym pychą?
Czyż napraw dę przez pacierz rozmawiam właśnie z Tobą?
Czy słyszę jedynie siebie?
Wybacz mi zwątpienie.

Panie.

Cieężko jest zachować niezachwianą wiarę.
Wysłuchaj mnie choć teraz, błagam, gdyż boję się i osłupiałem.
Nie przemawia przede mną ksiądz, ale irlandzki wieśniak, jakim się urodziłem.
Wysłuchaj mnie i wspomóż, proszę.

154

T

Jestem tutaj, Józefie.

Cóż cię niepokoi?

Panie, pierwszy raz w życiu jestem napraw dę przerażony.

Boję się, choć sam nie wiem dla czego.

Strach?

To coś, czego sam doświadczyłem.

Ty, Panie?

Nigdy.

Wręcz przeciwnie.

Jak sądzisz, co czułem, kiedy mnie przywiązano do obręczy wbitej w mur świątyni?

Nie wyobrażam sobie, byś się bał.

Byłem wówczas człowiekiem, Józefie.

Pełnym wad i słabości.

I oto właśnie chodzi.

Jako człowieko wi dane mi było odczuwać największe przerażenie.

Pokazali mi bicz o twardo zawężlonych rzemieniach, obciążonych kulami żelaza i ołowiu.

Powiedzieli, co zrobią.

Naonczas krzyczałem ze strachu.

Nigdy nie rozmyślałem nad tym w ten sposób, Panie.

Nikt o tym nie napisał.

Małeńka łaska.

Czego się obawiasz?

Wyczuwam, że coś się dzieje w tym straszliwym mieście.

Coś, czego nie pojmuję.

Współczuję ci w takim razie.

Strach, który można pojąć, dręczy nas, ale ma też swoją granicę.

Drugi jest znacznie gorszy.

Czegóż domagasz się ode mnie?

Potrzebna mi Twoja mądrość i siła.

Nosisz w sobie obydwie cechy, Józefie.

Otrzy małeś je w dniu ślubów, kiedy włożyłeś moją szatę.

Zatem nie byłem ich godzien.

Panie, gdyż teraz mnie opuściły.

Obawiam się, że wybrałeś marne

155 .

□

naczynie, kiedy spojrzełaś na wiejskiego chłopca z Mullingar.

Prawdę mówiąc, to ty mnie wybrałaś.

Ale mniejsza o to.

Czyżby naczynie pękło i wyciekła zeń wiara?

Zgrzeszyłem, to prawda.

Prawda.

A któż nie grzeszy?

Pożądałaś Christine de Chagny.

Jest piękna.

Panie, a ja przecież urodziłem się mężczyzną.

Wiem.

Raz jeden poznałem to uczucie.

Przy sparza wielu cierpień.

wyspowiadałaś się i dostałaś rozgrzeszenia?

Tak.
Myśl pozostaje myślą.
Było coś więcej?
Nie, Panie.
Jedynie myśli.
A zatem mogę jeszcze przez czas jakowys za chować zaufanie do mego wieśniaka.
Cóż to za niewyjaśniony lęk?
Jest tutaj pewien człowiek.
Dziwny człowiek.
W dniu naszego przybycia, z nadbrzeża przypad kowo popatrzyłem w górę i zobaczyłem go na dachu.
Nosił maskę.
Przedwczoraj byliśmy na Coney Island:
Christine, mały Pierre, pewien dziennikarz i ja.
Christine obejrzała miejscową atrakcję, tak zwany Gabinet Luster.
Ostatniej nocy prosiła mnie o spowiedź i wy znała...
Możesz mi to powiedzieć, bowiem, jak się domyślasz, jestem w twojej głowie.
Mów dalej.
Spotkała go tara.
Opisała.
To ten sam szpetny
156
nieszczęśnik, którego niegdyś znała w Paryżu.
W No wym Jorku osiągnął bogactwo i władzę.
Też go znam.
Na imię mu Erik.
Miał niełatwe życie.
Teraz wierzy w innego boga.
Nie ma innych bogów.
Panie.
To dobra myśl, ale nieprawdziwa.
Są. Stwo rzeni przez ludzi.
Och...
A ten jego?
To bożek Mammon, władca chciwości i złota.
Pragnę nawrócić Erika na prawdziwą wiarę.
Bardzo chwalebne.
A dlaczego?
Jest niezwykle majątny...
Bogaty ponad wszel ką miarę.
Józefie, winienes zajmować się sprawami du cha, nie złotem.
Pożadasz fortuny?
Nie dla siebie.
Panie.
Dla innych.
Niby dla kogo?
Ostatnio szedłem nocą przez Lower East Side.
To zaledwie o milę od tejsze katedry.
Okropne miej sce, istne piekło na ziemi.
Przejmująca nędza, brud, ohyda, smród i rozpacz.
Tam rodzi się wszelka zbro dnia i wszelkie nieszczęście.
Dzieci są zmuszane do cielesnego grzechu, chłopcy i dziewczęta...
Czyżbym w twoim głosie usłyszał cień nagany, że dopuszczam do takich rzeczy?
Nie ośmieliłbym się Ciebie ganić.
Panie.
Nie bądź znów taki skromny.
Robisz to niemal co dzień.
Nie potrafię zrozumieć...
Azali pozwól, że ci coś wyjaśnię.
Od samego
157 .
□
zarania nie ukształtowałem człowieka doskonałym.
Wskazywałem mu za to najwłaściwszą drogę.
I w tym tkwi tajemnica.

Każdy z was może na swój sposób skorzystać z tejże szansy.
Przymusu nie ma.

Nie jest moim zamiarem ograniczać wam wolność wyboru.
Niektórzy kroczą ścieżką, którą wyznaczyłem, inni zaś korzystają z doczesnych rozkoszy.

Zdarza się po wielokroć, że szczęście lub bogactwo jednych oku piona jest nieszczęściem drugich.

Widzę to, ale nie próbuję niczego zmieniać.

Ale dlaczego, Panie, człowiek nie może być lepszy?

Posłuchaj, Józefie.

Czym się stanie życie, jeżeli sięgnę w dół, dotknę milionów głów i stworzę doskonałość?

Zginie radość i smutek.

Zginą łzy i uśmiechy.

Żadnego bólu, żadnej ulgi.

Niewoli i wolności.

Porażek i triumfów.

Chamstwa i łagodności.

Bigoterii i tolerancji.

Nie będzie też rozpacz ani wielkiego szczęścia, grzechu, ni odkupienia.

Powstanie raj, czyli bezbarwna, sielankowa kraina, umniejszająca wartość królestwa niebieskiego.

Nie na tym mi zależało.

Każdy człowiek musi wybierać, póki nie wezwę go do siebie.

To prawda.

Panie.

Ale z drugiej strony, chciałbym, aby majątek Erika posłużył lepszym celom.

Być może ci się uda.

Nie znam odpowiedniego klucza.

Zawsze się taki znajdzie.

Nie potrafię go dostrzec, Panie.

Czytałeś moje słowa.

Nic z nich nie zrozumiałeś?

158

IT

Zrozumiałem zbyt mało, Panie.

Oświeć mnie, błagam.

Kluczem jest miłość, Józefie.

Odwieczna miłość.

Ale on kocha Christine de Chagny.

A zatem?

Mam ją skłonić do tego, by złamała sakrament małżeństwa?

Tego nie powiedziałem.

Więc nadal nic nie rozumiem.

Zrozumiesz, Józefie.

Zrozumiesz.

Trzeba ci tylko cierpliwości.

Boisz się Erika?

Nie, Panie.

Nie chodzi mi o niego.

Widziałem go, kiedy stał na dachu i potem, gdy umykał z Gabi netu Luster.

Czułem, że jest ogarnięty gniewem, rozpaczą i bólem.

Nie ma w nim jednak zła.

Chodzi o kogoś innego.

Opowiedz mi o tym.

Po przyjeździe na Coney Island poszliśmy do lunaparku.

Christine i Pierre wraz z wodzirejem wstąpili do sklepu z zabawkami.

Zostałem przed sklepem i przez chwilę spacerowałem po bulwarze.

Kiedy wszedłem, zobaczyłem Pierrea w towarzystwie pewnego młodzieńca, szepczącego mu coś do ucha.

Nieznajomy był niezmiernie blady, miał czarne oczy, czarne włosy i nosił czarny surdut.

Wziąłem go za subiekta, lecz wodzirej wyjaśnił mi później, że pierwszy raz go spotkał właśnie tamtego ranka.

Nie spodobał ci się, Józefie?

Nie chodzi o moje uczucia, Panie.

Było w nim

159 .

□

coś...

niesamowitego.

Jakiś chłód, gorszy niż nad morzem.

Czyżby to moja wyobraźnia?

Otaczała go aura zła, tak silna, że instynktownie uczyniłem znak krzyża.

Popatrzył na mnie nienawistnym wzrokiem, kiedy odebrałem mu Pierrea.

widziałeś go jeszcze kiedyś?

Tak, pół godziny później.

Szedłem wówczas od powozu, po odprowadzeniu chłopca.

Wiedzia łem, że Christine poszła z wodzirejem do tak zwa nego Gabinetu Luster.

Wtem zobaczyłem, że przez niewielkie drzwi wybiega ów nieznajomy.

wyminął dziennikarza i pognął do kolaski, lecz na mój wi dok zatrzymał się jak wryty.

Znowu popatrzył na mnie jak za pierwszym razem.

Dzień i tak był zim ny, ale wydawało mi się, że temperatura spadła o dalsze dziesięć stopni.

Zadrżałem.

Kto to?

Czego szukał?

Zdaje mi się, że masz na myśli Dariusa.

Chciał byś go też nawrócić?

Nie zdołałbym.

Masz rację.

Zaprzedał duszę Mammonowi i pozostanie jego wiernym sługą, póki nie trafi do mnie.

On to właśnie pociągnął za sobą Erika.

Nie ma w nim krzty miłości.

Oto cała różnica.

Kocha złoto.

Panie.

Nie.

Wierzy w nie, a to coś innego.

Erik także wierzy, ale w głębi umęczonej duszy raz zaznał miło ści i umie do niej wrócić.

Zatem możemy go odzyskać?

Józefie...

Ten, kto poznał czystą i prawdziwą

160

miłość, z wyjątkiem samolubstwa, zawsze może po wrócić na właściwą

drogę.

Lecz przecież Erik kocha wyłącznie złoto, siebie samego i żonę bliźniego.

Panie, znów nie rozumiem.

Mylisz się, mój Józefie.

Złoto go tylko bawi, siebie wprost nienawidzi, a pokochał tę, której nie dostanie.

I wie o tym.

Odchodzę.

Zostań przy mnie.

Panie, choć małą chwilę dłużej.

Nie mogę.

Trwa krwawa wojna na Bałkanach.

Dziś w nocy przyjmę niejedną duszę.

Gdzie znajdę klucz?

Czym mam pokonać zło to, ból i kobietę?

Już ci mówiłem.

Szukaj wznioślejszej i głębszej miłości.

□

Rozdział XIV

RECENZJA GAYLORDA SPRIGGSA

"NEW YORK TIMES", 4 GRUDNIA 1906 ROKU

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że wczorajsze, długo wyczekiwane otwarcie Manhattan Opera pana Oscara Hammersteina było prawdziwym triumfem.

Niewiele brakowało, a bitwa o bilety przerodziłaby się w następną wojnę domową.

Cały Nowy Jork padł na kolana, zdumiony siłą spektaklu.

W sferze domysłów pozostaje, ile pieniędzy wy płynęło z kas najbogatszych i szacownych rodów, wiem jednak, że płacono niebotyczne ceny i to

nie tylko za miejsce w łoży, ale za zwykły fotel na par terze.

Gmach Manhattan Opera nazwanej tak dla odróżnienia od Metropolitan po drugiej stronie mia sta jest olbrzymi i bogato zdobiony. Główny hali swoim ogromem wprost zawstydza ciasne i zatło czone foyer konkurentki.

Tu właśnie, przez pół go162

dziny, zanim kurtyna poszła w górę, oglądałem paradę ludzi, którzy tworzyli legendę Ameryki.

Najszcześliwsi z nich, grzecznie jak na szkolnej wycieczce, podążali za przewodnikiem do wyzna czonej łoży.

Nie zabrakło więc Mellonów, Yanderbiltów, Rockefellerów, Gouldów, Whitneyów i samych Pierpont Morganów.

Wśród nich był też ten, kto wy łożył prawdziwą fortunę oraz nie szczędził czasu i energii, aby wbrew przeciwnościom losu wybudo wać własną operę.

Chodzi mi oczywiście o „króla cygar”, pana Oscara Hammersteina.

Uporczywa plotka wciąż głosi, że za panem H.

stał bogatszy, tajemniczy magnat, finansista, którego nikt nigdy nie widział.

Nawet jeśli tak było, to nie pokazał się i teraz.

Trudno powstrzymać jęk podziwu na widok zdo bionego, sklepionego łukiem portyku i przepychu wnętrza.

Widownia, choć zaskakująco przytulna i mała, tonie w złotych, szkarłatnych i granatowych odcieniach.

Ale co z inscenizacją?

Co z gwiazdami, których przyszliśmy posłuchać?

Przyznam szczerze, że od trzydziestu lat nie zaznałem takich emocji

artystycznych i wzruszeń.

Czytelnicy moich artykułów na pewno pamiętają, że półtora miesiąca temu pan Hammerstein podjął niezwykłą decyzję, skreślając z dnia otwarcia tak znane arcydzieło, jakim są "Purytanie" Belliniego.

Co gorsza, postawił w ciemno na zupełnie nową, współczesną operę, napisaną przez nieznanego (i na163 .

□

dał nieodgadnionego) amerykańskiego kompozyto ra.

Zagrywka iście hazardowa.

Opłaciło się?

Na tysiąc procent.

Po pierwsze, "Anioł z Shiloh" zagwarantował nam obecność wicehrabiny Christine de Chagny z Paryża, piękności obdarzonej wprost nieziemskim głosem, który moim zdaniem przewyższa wszystkie pozostające, a przecież w zawodowym życiu słyszałem ich niemało.

Po drugie, utwór także zasłużył na miano arcydzieła, dzięki swojej prostocie i ładunkowi uczuć, które jak śmiem twierdzić sprawiły, że na widowni nie było ani jednej suchej pary oczu.

Libretto sięga do naszej najnowszej historii, a ściś le mówiąc, do wojny secesyjnej zakończonej zaled wie przed czterdziestoma laty.

Choćby z tejże przy czyny opera zapada w serce i umysł wszystkich Amerykanów, z Północy i z Południa.

W pierwszym akcie poznajemy porywczego młodego prawnika z Connecticut, Milesa Regana, nieszczęśliwie za kochanego w pięknej córce plantatora z Wirginii, Eugenie Delarue.

Partię Milesa zaśpiewał obiecujący amerykański tenor David Melrose.

Zaśpiewał lecz nie całą, doszło bowiem do przedziwnych zdarzeń, do których jeszcze powrócę.

Młoda para przysięgła sobie miłość i wymieniła złote obrączki.

Madame de Chagny wypadła nadzwyczajnie w roli południowej piękności.

Dziewczęcy urok i ra dość, jaką wyraziła tuż po oświadczeniach w przecudownej arii "Tą obrączką na zawsze...", zjednały jej najwyższą sympatię widzów.

164

T

Sąsiad plantatora, bogaty Joshua Howard, które go postaci odtwarzał sam Alessandro Bonci, także miał nadzieję na rękę pięknej Eugenie i ze złamanym sercem, lecz godnie, jak przystało na dżentelmena, przyjął jej odmowę.

Nad krajem zawisły jednak ciemne chmury; pod koniec aktu zagrzmiały armaty Fort Sumter, a Unia wypowiedziała wojnę Kon federacji.

Młodzi kochankowie musieli się rozstać.

Regan uważał, że nie ma wyboru wrócić do Connecticut i wstąpił do wojsk Północy.

Miss Delarue pozostała z rodziną, deklarującą pomoc dla Połu dnia.

Akt kończy się przepięknym, wzruszającym duetem rozdzielonych kochanków, którzy nie wie dżę, czy się jeszcze zobaczą.

Akt drugi rozpoczyna się dwa lata później, po krwawej bitwie pod Shiloh. Eugenie Delarue jako ochotniczka zgłosiła się do pracy w polowym szpi talu. Widzimy, jak z oddaniem pielęgnuje rannych, nie bacząc, czy walczyci po tej, czy po tamtej stro nie.

Dawna dziedziczka styka się codziennie z bru dem, krwią i bólem.

W solowej, wzruszającej arii pyta: "Dlaczego młodzi ludzie muszą wciąż umie rać?"

Jej były sąsiad i amant, obecny pułkownik Ho ward, dowodzi oddziałem broniącym szpitala.

Po pewnym czasie na nowo uderzył w konkury, przeko nany, że panna już zapomniała o eks-narzeczonym.

I rzeczywiście miss Delarue pomału zaczęła się wahać, ale w tym samym czasie do jej szpitala przy wieziono jeszcze jednego nieszczęśnika.

Był to oficer

165 .

□

Unii, straszliwie ranny w twarz po wybuchu ładun ku prochu.

Głowę miał zabandażowaną, a chirurg dzy bezradnie rozkładali ręce.

Gdy leżał nieprzy tomny, Eugenie zobaczyła złotą obrączkę na jego palcu, tę samą, którą ofiarowała Milesowi przed dwoma laty.

Rannym okazał się kapitan Regan, wciąż grany przez Davida Melrosea.

Po przebu dzeniu poznał ukochaną, nie podejrzewał jednak, że i ona go rozpoznała.

Tu następuje pełna ironii scena, w której bezradny Miles staje się biernym świadkiem spotkania Eugenie i Howarda.

Pułkow nik przekonuje pannę o śmierci rywala, nieświa dom, że ów leży na łóżku tuż obok.

Pod koniec aktu kapitan Regan, wiedząc już, że Eugenie zna jego tożsamość, po raz pierwszy spogląda w lustro.

Domyśla się, jaką tajemnicę skrywają grube ban daże.

Kradnie rewolwer strażnikowi i usiłuje po pełni ć samobójstwo, zostaje jednak powstrzymany przez żołnierza konfederatów i dwóch pacjentów unionistów.

W trzecim, niezwykle dramatycznym akcie do chodzi do kulminacji zdarzeń. Szpiedzy pułkownika Howarda donoszą, że dawny narzeczony panny Delarue jest dowódcą straszliwych Jeźdźców Regana, odpowiedzialnych za dywersję na tyłach konfede ratów.

Schwytanego czekałby sąd polowy i kara śmierci przez rozstrzelanie.

Eugenie Delarue wpada w skrajną rozpacz.

Nie wie, co robić.

Zdradzić Konfederację i zachować swą wiedzę dla siebie, czy też wydać ukochanego

166

m

w ręce nieprzejednanych wrogów?

W sukurs przy chodzi jej niespodziewane zawieszenie broni.

Strony proponują wymianę rannych jeńców.

Spowity ban dażami Miles jako jeden z pierwszych ma wrócić do swoich.

Z Północy nadjeżdżają wozy z rannymi konfederatami; w powrotną drogę zabiorą transport unionistów.

W tym miejscu muszę opisać zdumiewającą rzecz, jaka w czasie antraktu zaszła za kulisami.

Podobno (a korzystam z wiarygodnych źródeł) pan Melrose dla rozluźnienia krtani spryskał gardło kojącą miks turą.

Płyn musiał być skażony, bo parę sekund póź niej głos tenora przypominał chrapliwy skrzek żaby.

Katastrofa!

Kurtyna już szła w górę.

Nagle jakimś cudem pojawił się dubler z twarzą całą w bandażach, gotów do występu.

Zwykle publiczność traci na takich zamianach.

Lecz tym razem wszyscy bogowie Opery musieli twardo stać po stronie pana Hammersteina.

Dubler, którego nazwiska nie znam do tej pory, gdyż nawet nie zostało wpisane do programu, śpiewał wprost cudownie, niemal jak sam wielki signor Bonci.

Miss Delarue doszła do wniosku, że kapitan Re gan już nigdy nie stanie na czele oddziałów.

Nie zdradziła więc, kto kryje się pod maską.

Przygotowano wozy do podróży na Północ, ale pułkownik Howard otrzymał wiadomość, że poszukiwany przez zeń dowódca Jeźdźców został ranny gdzieś na obszarze zajęтым przez konfederatów. Rozwieszono listy gończe z wysoką nagrodą i sprawdzano rysopis

167 .

□
każdego jeńca odsyłanego do Unii.
Bezszykownie.

Kapitan Regan stał się człowiekiem bez twarzy.

Jeńcy mieli spędzić ostatnią noc w szpitalu i skoro świt wyruszyć z transportem na Północ.

Wówczas nastąpiło przepiękne interludium.

Pułkownik Howard, czyli wielki Bonci, paradował zazwyczaj w asyście adiutanta, mniej więcej trzynastoletniego.

Do tej pory chłopiec nie wyrzekł ani słowa.

W nocy jeden z żołnierzy nieporadnie próbował coś zagrać na skrzypcach.

Chłopiec odebrał mu instrument i wyczarował cudowną melodię, jakby wodził smyczkiem po strunach stradivariusa.

Po chwili inny z rannych poprosił go, by zaśpiewał.

Adiutant odłożył instrument i wykonał tak piękną arię, że wszystkim na widowni zaparło dech w piersiach.

Przewertowałem program, żeby sprawdzić kto to, i hola!

Nikt inny jak syn primadonny, master Pierre de Chagny.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

W patetycznej scenie rozstania miss Delarue pożegnała swojego unionistę.

Przez całą operę madame de Chagny śpiewała najczystszy, wręcz anielskim głosem. Teraz jednak wzniosła się na wyżyny sztuki, dając niewiarygodny popis wokalnych zdolności.

Czegoś takiego nigdy nie słyszałem.

Zdawałoby się, że serce wyśpiewała w arii "Naprawdę już się nie spotkamy?"

". Kiedy nieznaną dubler oddał jej ob rączkę ze słowami „Zwracam ci obietnicę”, wokół mnie zatrzepotał las chusteczek nowojorskie damy płakały.

Ten wieczór bez wątpienia głęboko zapadł w serce

ca i umysły słuchaczy.

Widziałem, że zazwyczaj opanowany maestro Campanini niemal szlochał, gdy na zakończenie dzieła pani de Chagny, sama jedna na scenie oświetlonej słabym szpitalnym kagankiem, zaśpiewała ostatni fragment arii "Ach, okrutna wojna".

Publiczność biła brawa na stojąco, a kurtyna trzydzieści siedem razy szła w górę.

Potem wyszedłem, żeby spytać o zdrowie pana Melrosea.

Okazało się, że ze łzami w oczach wcześniej opuścił gmach Opery.

Cały zespół, wraz z orkiestrą pod batutą Campaniniego, stanął na wysokości zadania, noc jednak należała do młodej paryżanki, której wdzięk i urok już wcześniej podbiły serca obsługi hotelu Waldorf-Astoria.

Wczoraj magia jej głosu rzuciła na kolana wszystkich melomanów, którzy szczęśliwym trafem przybyli na Manhattan.

Przykre, że tak szybko musimy się rozstać.

Pani de Chagny będzie śpiewać dla nas tylko przez pięć wieczorów, potem natychmiast wraca do Europy, aby przed wigilią wystąpić w Covent Garden.

Na początku przyszłego miesiąca jej miejsce zajmie dama Nellie Melba, drugie zwycięstwo Hammersteina w wojnie z rywalami po tamtej stronie miasta.

Melba cieszy się zasłużoną legendą i sławą i także po raz pierwszy zaśpiewa w Nowym Jorku, musi jednak uważać, bo nikt z wczorajszych widzów tak łatwo nie zapomni wspaniałej La Dmny.

A co z Metropolitan?

wielkich tego świata, po pierających Met, bez wątpienia cieszy triumf nowej

169 .

□
oper, lecz w ich spojrzeniach dostrzegłem ukryte pytanie: co teraz?
Rzeczywiście mimo mniejszej sali Manhattan Opera ma okazalszy wystrój, ogromną scenę, najnowsze zdobycze techniki oraz wspaniałe dekoracje.
Jeżeli pan Hammerstein utrzyma równy poziom wszystkich kolejnych przedstawień, dyrektor tora Met czeka dużo pracy, żeby choć trochę mu dorównać.

Rozdział XV

ARTYKUŁ AMY FONTAINE

DZIAŁ TOWARZYSKI, "NEW YORK WORLD", 4 GRUDNIA 1906 ROKU

Są mniejsze i większe przyjęcia, lecz wczorajsze w Manhattan Opera po

triumfalnej prapremierze "Anioła z Shiloh" w pełni zasługuje na miano wyda-
rzenia obecnej dekady.

W ciągu całego roku czytelnicy "Worlda" za moim pośrednictwem biorą
udział w prawie tysiącu imprez towarzyskich.

Niemniej muszę stwierdzić, że nigdy w swoim życiu nie widziałam tylu
znakomitości pod jednym dachem.

Kiedy wreszcie przebrzmiały nie milknące owacje i kurtyna ostatni raz
opadła na scenę, roziskrzony tłum widzów ruszył w stronę ogromnych wrót, wy-
chodzących na Trzydziestą Czwartą, gdzie czekał długi sznur karet i powozów.
To byli ci, dla których zabrakło miejsca na balu.

Pozostali, z zaproszeniami

171 .

□

w dłoniach, czekali, aż ponownie podniesiono kur tynę, a później po naprędcę
wzniesionej rampie prze wędrowali nad kanałem orkiestry na scenę.

Jeszcze inni wyszli po prostu zza kulis.

Gospodarzem wieczoru był magnat tytoniowy, pan Oscar Hammerstein, który
osobiście zaprojektował, wybudował i objął we władanie gmach naj nowszej opery.

Ze środka sceny witał każdego wcho dzącego gościa.

Byli tam wszyscy, choćby z daleka związani z Nowym Jorkiem, z właścicielem
"Worlda", panem Josephem Pulitzerem na czele.

Scena okazała się znakomitym miejscem na przy jęcie, gdyż pan
Hammerstein kazał przywrócić de korację przedstawiającą dwór plantatora.

Wokół nas stały ażurowe ściany, a technicy sprawnie roz stawili zabytkowe
stoły, uginające się pod zestawem dań i napojów.

Za barem spoczęło sześć olbrzymich beczek, żeby nikt nie zaznał pragnienia.

Pośród gości brylował burmistrz George McClellan, wmieszany w rzeszę
Rockefellerów i Yanderbiltów.

Tłum gęstniał.

Bal wydano na cześć młodej primadonny, wicehrabiny Christine de Chagny, któ ra
chwilę wcześniej zatriumfowała na tej samej scenie.

Najsłynniejsi obywatele Nowego Jorku nie mogli się doczekać, żeby uścisnąć jej
rękę.

Madame de Chagny chwilę wypoczywała w garderobie, zasypywana set kami liścików
gratulacyjnych i zaproszeń.

Samych kwiatów było tak wiele, że na jej prośbę zostały przekazane do szpitala
Bellevue.

W tłumie zauważyłam niejedną osobę, której do172

konania mogłyby zainteresować czytelników "New York Worlda".

Między innymi spotkałam pogrązo nych w rozmowie dwóch młodych aktorów, D.
W. Griffitha i pana Douglasa Fairbanksa.

Pan Griffith, ostatnio grywający w Bostonie, wspomniał mi, że zamierza porzucić
Nową Anglię i przenieść się do słonecznej wsi pod Los Angeles, gdzie ponoć

(choć to brzmi naiwnie) kwitnie nam nowa sztuka, zwana kinematografem.

Z grubsza rzecz biorąc, chodzi o ruchomy obraz na celuloidowej taśmie.

Słyszałam, jak pan Fairbanks ze śmiechem zapewniał kolegę, że po sukcesach na
Broadwayu odwiedzi również Hoł lywood, lecz pod warunkiem, że w ogóle coś

wyjdzie z owych "kinematografów".

W tej samej chwili w drzwiach rezydencji stanął wysoki żołnierz piecho ty
morskiej i donośnym głosem zaanonsował: „Panie i panowie, prezydent Stanów

Zjednoczonych".

Nie wierzyłam własnym uszom, ale to była praw da.

Po chwili zjawił się prezydent Teddy Roosevelt, szeroko uśmiechnięty, z
binoklami na nosie.

Dla każdego w pobliżu miał ciepły uścisk dłoni.

Nie przyszedł sam i przekonałam się na własne oczy, że zgodnie z pogłoskami
lubi, kiedy go otaczają najbarwniejsze postacie naszego społeczeństwa.

Po minucie moja biedna dłoń zniknęła w olbrzymiej łapie byłego mistrza świata
wagi ciężkiej Boba Fitzsimmonsa.

Parę jardów dalej stał inny eks-champion, "Sailor" Tom Sharkey, a przy nim
obecny król ringu, Kanadyjczyk Tommy Burns.

Czułam się jak liliput w krainie olbrzymów.

173 .

□

w tejsze chwili przez drzwi posiadłości wkroczyła wyczekiwana gwiazda.

Powitał ją huczny aplauz, zainicjowany przez samego prezydenta.

Pan Hammerstein przedstawił wicehrabinę dostojnikom.

Pan Roosevelt ze staromodną galanterią ucałował dłoń śpiewaczki, wzbudzając tym

kolejny entuzjastyczny okrzyk wśród zgromadzonych. Potem przywitał się z tenorem, panem Boncim, oraz pozostałymi artystami, przedstawianymi mu przez pana Hammersteina.

Po dopełnieniu formalności niestrudzony prezydent wziął Francuzkę pod rękę i oprowadził ją po scenie, zapoznając z własnymi znajomymi. Największe emocje wywołał u niej widok pułkownika Billa Codyego, czyli Buffalo Billa, którego "wild west show" gromadzi tłumy po drugiej stronie rzeki, na Brooklynie.

Przysunęłam się bliżej prezydenckiej świty. Teddy Roosevelt przedstawił panią de Chagny mężowi swojej bratanicy, a zarazem swojemu kuzynowi w piątej linii.

Chwilę później i ja miałam okazję zamienić kilka słów z tym czarującym i przystojnym młodzieńcem.

Właśnie ukończył Harvard i podjął studia na Wydziale Prawa Nowojorskiego Uniwersytetu Columbia.

Przed wszystkim spytałam go, czy zamierza zająć się polityką, jak jego słynny wuj.

Odpowiedział, że nie wyklucza takiej możliwości.

Są więc nadzieje, że w przyszłości jeszcze usłyszymy imię Franklina Delano Roosevelta.

Przyjęcie nabrało tempa, służba donosiła wciąż nowe potrawy i napitki. W pewnej chwili zauważyłam stojące w kącie pianino, na którym jakiś młody człowiek wygrywał skoczne melodie, kontrastujące z do stojącą muzyką

operową.

Okazało się, że to młody rosyjski emigrant Irving Berlin, wciąż mówiący z wyraznym cudzoziemskim akcentem.

Wyjaśnił mi, że sam stworzył większość granych melodii i że zamierzają zostać sławnym kompozytorem.

Powodzenia, panie Berlin.

Od początku balu brakowało jednej osoby, której większość z nas chciała pogratulować.

Mówię o dublerze, który w krytycznej chwili zastąpił hospitali zwanego Davida Melrose i przejął po nim partię kapitana Regana.

W pierwszej chwili jego nieobecność tłumaczono koniecznością usunięcia charakterystycznej, zajmującej mu większą część twarzy.

Reszta aktorów nawet nie zdjęła kostiumów.

Granatowo-złote mundury wojsk Unii mieszały się z szarymi płaszczami konfederatów.

Nawet ci, którzy grali rannych w scenach ze szpitala, pośpiesznie zrzucili bandaż i zmyli "krew" z ciała.

Tajemniczy tenor nie przybył.

Pojawił się na krótko, w głównych drzwiach dworu, na szczycie podwójnych schodów, zbiegających na scenę, gdzie trwało przyjęcie.

Widziałam go zaledwie przez ułamek chwili.

Człowiek z takim talentem miałby być nieśmiały?

Wielu gości na dole nie wie, że przyszedł.

Ktoś jednakże śledził jego wszystkie ruchy.

Dubler nadal nosił grubą bandaż na twarzy, tak samo jak w czasie opery.

Widać mu było tylko usta i oczy.

Wszedł wsparty na ramieniu młodzieńczego

175 .

□

śpiewaka, Pierrea de Chagny, który nieco wcześniej oczarował widownię chłopięcym sopranem.

Szepnął mu coś do ucha, a chłopiec skinął głową z wyraźnym zrozumieniem.

Madame de Chagny dostrzegła ich od razu i cień strachu przemknął po jej twarzy.

Spojrzała na zabandażowaną postać, zbladła i za chwilę przeniosła wzrok na syna.

Widząc, że ten ciągle stoi u boku tenora w niebieskim mundurze Unii, zakryła dłońmi usta.

Potem wbiegła na schody, zostawiając za sobą muzykę, gwar rozmów i głośne śmiechy gości.

Gorączkowo zamieniła kilka słów z nieznajomym.

Odrzuciła dłoń leżącą na ramieniu Pierrea i gestem nakazała chłopcu zaraz zejść na dół.

Zrobił to ochoczo, w nadziei na zasłużoną szklaneczkę oranżady.

Diwa niespodziewanie parsknęła radosnym śmiechem.

Zrobiła to jakby z ulgą.

Nie wiem, czy w ten sposób skwitowała komplement tenora, czy przestały ją dręczyć obawy o syna.

Śpiewak wręczył jej jakiś liścik na skrawku papie ru.

złożyła kartkę w dłoniach i wsunęła za stanik.

Potem jej partner zniknął z powrotem za drzwiami, a ona zeszła po schodach do gości.

Chyba nikt poza mną nie widział tej dziwnej sceny.

Było już dobrze po północy, kiedy zmęczeni, lecz szczęśliwi uczestnicy balu rozeszli się do powozów, hoteli i domów.

Ja zaś czym prędzej wróciłam do redakcji "Worlda", by jako pierwsza zdać relację wiernym Czytelnikom z wydarzeń, jakie zeszłej nocy miały miejsce w Operze.

176

Rozdział XVI

WYKŁAD PROFESORA CHARLESA BLOOMA

WYDZIAŁ DZIENNIKARSTWA, UNIWERSYTET COLUMBIA, NOWY JORK, MARZEC 1947

ROKU

Panie i Panowie, młodzieży Ameryki...

Pozwólcie, że się przedstawię, gdyż wiem, że wśród was, przy słońcu

dziennikarstwa, niemal nikt do tej pory nie miał okazji mnie poznać.

Nazywam się Charles Bloom.

Przez prawie pięćdziesiąt lat pisałem repor taże, głównie z naszego miasta.

Zacząłem na przełomie wieków jako goniec w re dacji starego "New York American", a w tysiąc dziewięćset trzecim przekonałem szefa, by awan sował mnie na znaczące, jak mi się wówczas zda wało, stanowisko głównego reportera działu miej skięgo.

Dzień w dzień opisywałem najważniejsze wydarzenia.

Przez lata byłem świadkiem i kronikarzem wielu, wielu rzeczy:

heroicznych i ulotnych czynów, czasem

177 .

□

zmieniających bieg historii świata, a czasem tragicz nych w całej swej wymowie. Byłem tu, kiedy Charles Lindbergh wystartował z zasnutą mgłą łąki do sa motnego lotu ponad Atlantykiem, i byłem, gdy po wrócił w glorii jako ulubieniec świata. Pisałem o wy borze prezydenta Roosevelta i o jego śmierci za led wie przed dwoma laty.

Wprawdzie nie pojechałem do Europy podczas pierwszej wojny światowej, ale stałem w porcie, kiedy nasi chłopcy wyruszali na pola Flandrii.

Z redakcji "Americana" przeniosłem się do „Herald Tribune”, gdzie pracował mój dobry kompan, niejaki Damon Runyon, a potem wreszcie do "Timesa".

Pisałem o morderstwach i o samobójstwach, o wojnie mafii i wyborach burmistrza, o konfliktach zbrojnych i paktach pokojowych.

Rozmawiałem z dygnitarzami i z mieszkańcami slumsów.

Żyłem wśród możnych, potężnych, biednych i poniżonych.

Opisywałem zdarzenia wielkie i godne, a z drugiej strony ohydne i nikczemne.

Wszystko to działo się w naszym mieście.

Mieście, które żyje wiecznie i ni gdy nie zasypia.

W czasie ostatniej wojny, choć już nie byłem mło dy, zachciało mi się jechać do Europy.

Na pokładach naszych B 17 latałem nad Niemcami.

Myślałem wów czas, że zdechnę ze strachu...

Dwa lata temu widzia łem kapitulację Niemiec i na sam koniec dziennikar skiej kariery, latem czterdziestego piątego roku, obserwowałem konferencję w Poczdamie.

Tam też

178

poznałem brytyjskiego przywódcę winstona Churchilla, którego w połowie obrad zastąpił nowy pre mier, Clement Attlee.

Oczywiście poznałem też na szęgo prezydenta Trumana i nawet marszałka Stali na, który obawiam się niedługo zapomni o przyjaźni i zostanie naszym najbardziej zaciętym wrogiem.

Po powrocie na własną prośbę przeszedłem na emeryturę, bo nie chciałem czekać, aż sami mnie wyrzucą.

Potem dostałem propozycję od dziekana tutejszego wydziału, żebym co jakiś czas zrobił mały wykład i przekazał wam chociaż część tego, co sam osiągnąłem znacznie gorszą drogą.

Gdyby ktoś mnie spytał o cechy dobrego dzien nikarza, wyliczyłbym aż cztery.

Po pierwsze, nie należy jedynie widzieć, słyszeć i pisać.

Trzeba jeszcze rozumieć.

Spróbujcie zrozumieć ludzi, z którymi się stykacie, wydarzenia, których będziecie świadkami.

Jest takie stare powiedzenie: zrozumieć, znaczy prze baczać.

Człowiek nie potrafi wszystkiego zrozumieć, jest na to zbyt głupi.

Może jednak próbować.

Nasze słowa docierają do ludzi odległych od sedna sprawy, lecz takich, którzy chcą wiedzieć.

To nas historia uzna za prawdziwych świadków, bo widzimy o wiele więcej niż politycy, urzędnicy, bankierzy, finansisci, magnaci i generałowie.

Oni tkwią zamknięci we własnych światach, a my jesteśmy wszędzie.

Jeżeli zawiedziemy, jeśli nie zrozumiemy tego, co wokół widać i słyhać, jeżeli nasza rola ograniczy się tylko do spisywania liczb i faktów to jednakowo przy179

.

□

jmujemy i kłamstwa, i prawdę.

Stworzymy fałszywy obraz.

Po drugie: nigdy nie przestańcie się uczyć.

To proces bez końca.

Bądźcie jak wiewiórki.

Chowajcie na zapas wszelkie napływające informacje.

Nigdy nie wiadomo, jaki okrucuch wiedzy przyda się do rozwiązania pozornie zawiłej zagadki.

Po trzecie: warto sobie wyrobić dziennikarskiego "nosa".

Coś w rodzaju szóstego zmysłu, czujność, przeświadczenie, że pewne rzeczy nie idą tak, jak iść powinny, że nikt nie dostrzega tego, co wy właśnie widzicie.

Jeżeli sobie takiego "nosa" nie wyrobicie, będziecie może rzetelnie wykonywać swój zawód, ale umkną wam najlepsze kąski.

Uwierzycie w każde słowo wypowiedziane podczas oficjalnej konferencji prasowej.

Przekażecie wszystko: błagę i fakty.

Potem weźmiecie wierszówkę i pójdziecie do domu, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Bez "nosa" nigdy nie wpadniecie do podrzędnego baru, prze świadczeni, że właśnie trafiliście na największy skan dal sezonu.

A skąd to przeświadczenie?

Z nieostroż nie rzuconej uwagi, z podrasowanej kolumny liczb, z lewego zwolnienia, ze zbyt pospiesznie wycofanych oskarżeń...

Koledzy przegapili, ty jesteś w centrum akcji.

Nic nie da się porównać z nagłym wzrostem poziomu adrenaliny w żyłach.

Z chwilą gdy sprząta niesz temat sprzed nosa rywali, czujesz się, jakbyś wygrał główną nagrodę w derby.

Nas, dziennikarzy, nikt nie pokocha.

Jesteśmy jak gliniarze; jeśli chcecie osiągnąć sukces w pracy, mu180 sście to zaakceptować.

Wielcy tego świata żywią do nas niechęć, ale jesteśmy im niezbędni.

Gwiazdor filmowy może nas odepchnąć w drodze do limuzyny, ale jeśli prasa nie zamieści jego zdjęcia lub na parę miesięcy przestanie pisać o nim i o jego filmach, agenci wpadają w popłoch i domagają się uwagi.

Polityk może nas poniżyć, kiedy jest u władzy, ale spróbujcie go totalnie zignorować, gdy walczy o gło sy lub chce powiadomić bliźnich o swoim triumfie!

Będzie błagał o choćby krótki artykuł.

Wielcy lubią z góry spoglądać na Prasę, ale nas potrzebują.

Żyją głównie z rozgłosu, jaki im zapewniamy.

Sportowcy chcą, żeby pisać o nich w taki sposób, jakiego oczekują kibice.

Damy z amerykańskiej socjety odsyłają nas do drzwi dla służby, lecz dostają rozstroju nerwowego, gdy któryś z nas zapo mni o balu charytatywnym.

Dziennikarstwo jest formą władzy.

Źle używana władza staje się tyranią.

Stosowana rozważnie, prze radza się w wymóg, bez którego nie może funkcjo nować normalne społeczeństwo.

To nas prowadzi do czwartego wniosku: nie nam udawać, że nale żymy do wielkiego świata.

Nie nam odgrywać rolę bogatych i sławnych.

Demokracja wymaga od nas badań, odkryć, wywiadów, wyjaśnień, doświadczeń i zadawania pytań.

W nic nie wolno nam wierzyć, póki nie ustalimy prawdy.

Ponieważ mamy władzę, zawsze będziemy oblegani przez rozmaitych oszustów, hochsztaplerów, szarlatanów i oślizgłych kral81 .

□
marzy.

Zawsze i wszędzie w bankowości, handlu, przemyśle, show-biznesie, a przede wszystkim w polityce.

Rządzi nami dwóch panów: prawda i czytelnik.

Nikt więcej.

Nie wolno nam ustępować, kłamać i tchórzyc.

Nie wolno zapominać, że czytelnik, ścis kający w dłoni zaledwie dziesięć centów, ma takie samo prawo do szacunku i prawdy jak najwyższa komisja Senatu.

Bądźcie sceptyczni, nawet w obliczu siły i przywilejów.

To wystarczy.

A teraz, ponieważ zrobiło się już dosyć późno i bez wątpienia jesteście znużeni wykładem, pozwól cię, że wam opowiem pewną historię.

Historię pewnej historii.

Nie będzie to opowieść o moim triumfie.

Wręcz przeciwnie.

Wyznam wam, jak to swego czasu przegapiłem bardzo ważną sprawę, bo byłem młody, nieokrzesany i niewiele rozumiałem.

Jest to także historia jedyna w moim życiu jakiej nie spisałem.

Nie sporządziłem nawet szkicu, z wyjątkiem kilku zdań, które potem trafiły do prasy jako oficjalny komunikat policji.

Ale byłem tam.

Wszystko widziałem i zawczasu mogłem domyślić się prawdy, jednak przegapiłem najważniejszy moment.

Dlatego nigdy o tym nie napisałem.

Z drugiej strony, są fakty, których ujawnienie działa na szkodę wszystkich uczestników wydarzeń.

Niektórzy ludzie w pełni zasługują, by ich w ten sposób zniszczyć:

przywódcy nazistowscy, szefowie mafii, skorumpowani związkowcy i sprzedajni politycy.

Inni a tych jest większość mają pełne prawo do własnego

182

życia, tym bardziej że owo życie wcale ich nie pieści.

Nie musimy przysparzać im cierpień.

Za co?

Za kilka szpalt w gazecie, w którą ktoś jutro zawinie kupioną rybę?

Niestety, w tamtych latach, kiedy pisałem do bulwarowej prasy Randolpha Hearsta, za przemilczenie pewnych zdarzeń mogłem wylecieć z pracy.

Nie przyznałem się redaktorom do moich skrupułów.

Teraz, czterdzieści lat później, nie ma to większego znaczenia.

Była zima tysiąc dziewięćset szóstego roku.

Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata, mieszkalem w Nowym Jorku i wprost pękałem z dumy, że jestem reporterem dziennika "American".

Z dzisiejszej perspektywy nie mieści mi się w głowie, jaki byłem głupi.

Nieokrzesany, jak wspominałem, pewny siebie i zdu miewajaco naiwny.

W grudniu nasze miasto gościło jedną z najwspanialszych śpiewaczek operowych, panią Christine de Chagny, która swą obecnością uświetniła otwarcie nowego przybytku sztuki, tak zwanej Manhattan Opera, zamkniętej zresztą trzy lata później.

Pani de Chagny liczyła sobie wówczas trzydzieści dwa lata, była piękna i niesłychanie czarująca.

Przyjechała w towarzystwie dwunastoletniego syna, Pierrea, pokojówki oraz irlandzkiego księdza.

Ksiądz Kilfoyle był gubernierem Pierrea.

Świętę uzupełniało dwóch sekretarzy.

Cała grupa, wyjąwszy męża pani de Chagny, dotarła do Ameryki na sześć dni przed pierwszym występem, zaplanowanym na trzeciego grudnia.

Pan de Chagny, którego pilne sprawy za183 .

□
trzymały we włościach w Normandii, przypłynął następnym statkiem, drugiego grudnia.

Nie znałem się na operze, lecz wizyta madame de Chagny odbiła się głośnym echem w całym Nowym Jorku, gdyż do tej pory nikt tak sławny nie przybył przez Atlantyk.

Jej występ stał się duchową uczta dla miasta.

Miałem szczęście, może trochę poparte niemodną galanterią, gdyż pani de Chagny

zgodziła się, bym na czas krótkiego tournée został jej przewodnikiem. Wymarzone zajęcia, tym bardziej że Oscar Hammerstein, chcąc uchronić śpiewaczkę przed prasą, zakazał wszelkich wywiadów do dnia głównej gali. Tylko ja miałem wolny wstęp do apartamentów Waldorf-Astoria i pisałem codzienne relacje z życia niecodziennych gości. Nawiasem mówiąc, właśnie dzięki temu zrobiłem błyskawiczną karierę w redakcji "American".

Było jednakże coś dziwnego, coś, co jak mroczny cień zawisło nad nami, i czego ja, w całej swej bez trosce, nie chciałem zauważyć. To "coś" miało postać tajemniczej zjawy, pojawiającej się i znikającej jak za dotknięciem różdżki, a mimo to pełniące kluczową rolę w przebiegu dalszych zdarzeń.

Wszystko zaczęło się od listu przywiezionego osobiście przez pewnego prawnika z Paryża. Zwykłym zbiegiem okoliczności pomogłem mu dostarczyć pismo do siedziby jednej z najbogatszych i najpotężniejszych firm w Nowym Jorku. Tam, w sali konferencyjnej, przelotnie ujrzałem człowieka, który rządził tą korporacją.

Adresata.

Twarz chował pod

maską i spoglądał na mnie przez otwór w ścianie.

Wkrótce o tym zapomniałem; i tak mi nikt nie wierzył.

Miesiąc później odwołano występ sławnej primadonny, która miała zaśpiewać na otwarciu Manhattan Opera.

Zamiast niej, za astronomiczną gażę, zaproszono inną wielką diwę z Paryża, we Francji.

Rozeszła się wieść, że Oscar Hammerstein ma tajnego, bogatszego partnera i że to właśnie on zażądał nagłej zmiany.

Już wówczas mogłem pojąć, co się święci.

Niestety, byłem ciemny jak tabaka w rogu.

W dniu przyjazdu śpiewaczki upiór zjawił się na przystani nad rzeką Hudson.

Nie widziałem go, ale słyszałem o tym od kolegi.

Opis był identyczny:

samotna postać w masce, patrząca z dachu na primadonnę schodzącą na amerykańską ziemię.

Znowu nie dostrzegłem w tym żadnej zbieżności.

Później stało się jasne, że to on posłał po nią, nie bacząc na Hammersteina. Dlaczego?

Domyśliłem się prawdy, gdy było już za późno.

Jak już wspominałem, udało mi się pozyskać względy primadonny i odwiedziłem ją w hotelu z nadzieją na długi wywiad.

Kiedy przyszedłem, jej syn rozpakował prezent.

Była to mała blaszana pozytywka w kształcie małpki.

Na dźwięk melodii madame de Chagny oniemiała, jakby w nią grom strzelił.

„Maskarada szepnęła.

Trzydzieści lat temu.

Musi być gdzieś tutaj".

Nawet to mnie nie oświeciło.

185 .

□

Za wszelką cenę dociekała pochodzenia małpki.

Wydało mi się, że podobne rzeczy sprzedawano w sklepie na Coney Island.

Pojechaliśmy tam dwa dni później.

Służyłem za przewodnika.

Stało się coś dziwnego, a ja znowu przespałem całą sprawę.

W skład naszej grupy, oprócz mnie i Francuzki, wchodził jeszcze jej syn, Pierre, i opiekun, ojciec Joe.

Nie ciekawiły mnie zabawki, więc przekazałem madame de Chagny w ręce wodzireja, zarządzające go lunaparkiem.

Nawet nie wszedłem do sklepu.

Gdybym to zrobił, zobaczyłbym złowieszczą postać młodzieńca o imieniu Darius, którego poznałem kilka tygodni wcześniej, gdy przekazywałem list.

Teraz przedzierzgnął się w sprzedawcę.

Dowiedziałem się potem od wodzireja, że po cichu nagabywał Pierrea o rodziców.

wybrałem się wraz z księdzem na spacer brzegiem morza.

Pani de Chagny w towarzystwie syna oglądała mechaniczne małpki.

Było ich mnóstwo, lecz żadna nie grała smętnej melodyjki, którą usłyszeliśmy my w

hotelu Waldorf-Astoria.

Później Wodzirej zaprosił primadonnę do Gabi netu Luster.

Nie poszedłem z nimi.

Nikt zresztą mnie nie zapraszał.

Po przechadzce wróciłem do lunapar ku, żeby to całe towarzystwo bezpiecznie odwieźć do domu, na Manhattan.

Zobaczyłem, że irlandzki ksiądz zdążył już wsadzić panicza do powozu, wynajętego przez nas na stacji kolejowej.

Mimochodem spostrzegłem, że tuż obok zaparkowała jeszcze jedna dorożka.

Zdziwiło mnie

186

to trochę, bo miejsce wyglądało raczej na opusz czone.

Doszedłem mniej więcej do połowy drogi między bramą a Gabinetem Luster, kiedy pojawiła się szyb ko biegnąca postać.

Był to Darius.

Dyrektor przed siębiorstwa, którego prawdziwy szef skrywał twarz pod maską.

Myślałem, że pędzi do mnie, ale pognał dalej, jakby w ogóle mnie nie było.

Biegł od gabinetu.

Krzyknął coś w przelocie, bardziej na wiatr niż w moją stronę.

Nie zrozumiałem go.

Nie mówił po angielsku.

Mam jednak dobry słuch, więc na wszelki wypadek wyciągnąłem ołówek i zanotowałem słowa.

Później, dużo później...

za późno wróciłem na Coney Island, by porozmawiać z Wodzirejem.

Po kazał mi swój dziennik, a w nim opis tego, co zaszło w Gabinetecie Luster w czasie, kiedy spacerowałem po plaży.

Gdybym widział to wcześniej, pewnie do myśliłbym się prawdy i postarałbym się zapobiec dalszym wypadkom.

Niestety, wówczas nie czytałem dziennika wodzireja i nie zrozumiałem trzech słów po łacinie.

Warn, młodym, może to się wydaje dziwne, ale w tamtych latach na co dzień obowiązywały wy jściowe stroje.

Młodzi ludzie chodzili w ciemnych garniturach, w kamizelkach, w nakrochmalonych białych kołnierzykach i takich samych mankietach.

Kłopot w tym, że rachunek z pralni często prze kraczał ich przeciętną pensję.

Wielu z nas nosiło zatem celuloidowe kołnierzyki i mankiety, które wieczorami, po zdjęciu, czyściliśmy wilgotną szmat187 .

□

ka. Oszczędzało to częstego prania koszul.

Notes miałem schowany w kieszeni marynarki, ale okrzyk Dariusa zapisałem na lewym mankiecie.

Minął mnie jak oszałały.

W niczym nie przypomi nał zimnego i opanowanego człowieka, którego po znałem wcześniej.

Z przerażeniem wybałuszał błysz czące czarne oczy.

Twarz miał białą jak czaszka, a pęd powietrza rozwiewał mu długie czarne włosy.

Patrzyłem, jak dobiegał do bramy lunaparku.

Tam spotkał irlandzkiego księdza, który właśnie zatrzas nał drzwi dorożki za paniczem i wracał, by odszukać swoją chlebobawczynię.

Darius zatrzymał się na jego widok.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem.

Chociaż dzieliło nas trzydzieści jardów i wiał silny wiatr, wyczuwałem wyraźne napięcie.

Stali jak dwa pitbulle gotowe do walki.

Potem Darius odskoczył, wślizgnął się do swojego powozu i odjechał.

Ksiądz Kilfoyle z posępną i zamyśloną miną wró cił do lunaparku.

Błada i roztrzęsiona madame de Chagny opuściła Gabinet Luster.

Byłem świadkiem tragedii i nic nie rozumiałem.

W milczeniu wróciliś my na stację, a potem kolejką elektryczną na Man hattan.

Tylko uszczęśliwiony Pierre bez przerwy opowiadał mi o sklepie z zabawkami.

Na ostatni trop wpadłem dokładnie trzy dni póź niej.

Premierowa gala zakończyła się prawdziwym triumfem.

Tytuł opery wyleciał mi z głowy nigdy nie interesowałem się tą dziedziną sztuki.

W każdym razie pani de Chagny zaśpiewała jak anioł, przy188

prawiając o łyż ponad połowę widowni.

Po premierze na scenie odbyło się przyjęcie, I to jakie!

Przybył prezydent Teddy Roosevelt i tłum nowojorskich milionerów.

Byli sławni bokserzy, Buffalo Bili...

Tak, młoda damo, jego też poznałem.

Wszyscy chylili czoło przed wielką śpiewaczką.

Treść opery nawiązywała do wojny secesyjnej, więc bal urządzono w przepięknych dekoracjach przedstawiających wspianą posiadłość plantatora w Wirginii.

Podwójne schody wiodły od drzwi frontowych prawie do proscenium.

Mniej więcej w połowie zabawy dostrzegłem, że ktoś przyszedł.

Rozpoznałem go natychmiast.

Przynajmniej tak sądziłem.

Wciąż nosił kostium, to znaczy mundur rannego kapitana wojsk Unii.

Tak rannego, że prawie całą głowę spowijał mu zwój bandażu.

W ostatnim akcie opery, w scenie rozstania kochanków, zaśpiewał wzruszający duet u boku madame de Chagny.

Dziwne, że wciąż nosił maskę, skoro przedstawił wieniec już dawno dobiegł końca.

Nagle zrozumiałem dlaczego.

To był Upiór, tajemnicza postać, zda się rządząca całym Nowym Jorkiem.

To on stał za budową Manhattan Opera i on sprowadził do nas przez ocean

francuską primadonnę.

Po cóż?

Dowie działem się później.

O wiele za późno.

Rozmawiałem wówczas z wicehrabią de Chagny, czarującym człowiekiem, dumnym z sukcesów żony i szczerze zadowolonym ze spotkania z naszym prezydentem.

Nad jego ramieniem widziałem panią de Chagny, wchodzącą po schodach na spotkanie

189 .

□

z Upiorem.

Tak...

Coraz bardziej skłaniałem się do wniosku, że to właśnie Upiór.

Nikt inny.

Miał nad nią jakąś dziwną władzę.

Nie wiedziałem jeszcze, że przed dwunastoma laty znali się w Paryżu, i tak dalej...

Przed rozstaniem wręczył jej jakiś papier, który wsunęła za stanik.

Potem zniknął, jak zawsze.

Przed chwilą stał, potem go już nie było.

Na bal wkręciła się jak zwykle reporterka z konkurującej z nami gazety "New York Work", od Pulitzera.

Następnego dnia napisała, że prócz niej nikt nie widział spotkania wicehrabiny z Upiorem.

Błąd.

Nie tylko to widziałem, lecz przez resztę wie czoru dosłownie nie spuszczałem oka z pani de Chagny.

Zauważyłem, że w pewnej chwili odeszła nieco na bok, żeby przeczytać kartkę.

Rozejrzała się przed siebie, zgmiotła papier w kulkę i wyrzuciła do śmietniczki, pełnej pustych butelek i zużytych serwetek.

Chwilę później miałem list w swoich rękach.

Gdyby kogoś to zainteresowało, przyniosłem go dzisiaj.

Tamtej nocy po prostu wsunąłem list do kieszeni.

Przez tydzień leżał na stoliku w moim małym mieszkanku.

Zatrzymałem go na pamiątkę, żeby mieć jakiś dowód, że to, co zobaczyłem, zdarzyło się naprawdę.

List brzmiał: "Pozwól mi jeszcze raz zobaczyć chłopca.

Pozwól mi się pożegnać.

Proszę.

W dniu Twojego wyjazdu, o świcie, w Battery Park.

Erik".

Dopiero wtedy zaczęło coś mi świtać.

Tajemniczy kochanek sprzed małżeństwa, dwanaście lat temu, w Paryżu...

Nie chciana miłość, on odrzucony

190

wyemigrował do Ameryki, gdzie zdobył majątek i władzę.

Miał dość pieniędzy, by wybudować własną operę i wezwać dawną kochankę.

Wzruszająca historia, ale w oczach twardego dziennikarza, za jakiego się uważałem, pasowała na łzawy romans, a nie na solidny i krwisty artykuł.

Dlaczego jednak ów Erik paradował w masce?

Dlaczego po prostu nie przy szedł i nie przywitał się jak wszyscy inni?
Na to nie znałem odpowiedzi.

Nie szukałem wyjaśnień i tym zawiniłem najbardziej.

Pani de Chagny występowała przy pełnej sali przez wszystkie sześć
wieczorów.

Dziewiątego grudnia dała ostatni popis.

Dwunastego miała przybyć inna primadonna, dama Nellie Melba, jedyna rywalka Fran
cuzki.

Madame de Chagny z mężem, synem i towa rzyszącą jej świtą zarezerwowała miejsca
na RMS "City of Paris", odpływającym do Southampton, do Anglii.

Czekały ją występy w Covent Garden.

Datę wyjazdu wyznaczono na dziesiątego grudnia.

Postanowiłem przyjść do portu.

Przez te parę dni pobytu w Ameryce wicehrabina obdarzyła mnie przyjaźnią i
traktowała niemal jak członka rodziny.

Miałem nadzieję, że tuż przed pożegnaniem udzieli mi ostatniego wywiadu dla "New
York American".

Potem mogłem spokojnie wrócić do kroniki krymi nalnej i utarczek z dygnitarzami
z Tammany Hali.

Złe spałem w nocy dziewiątego grudnia.

Nie wiem dlaczego.

Bywają takie noce, kiedy po pewnym czasie nachodzi cię refleksja, że nie ma co
się męczyć.

Sen i tak nie przyjdzie, lepiej więc wstać i coś zrobić.

191 .

□

Podniosłem się o piątej rano.

Umyłem się, ogoliłem i ubrałem w najlepszy ciemny garnitur.

Zapiąłem nowy kołnierzyk i zawiązałem krawat.

Machinalnie zgarnąłem dwa mankiety sprzed lustra.

Leżało ich tam z pół tuzina.

Pomyślałem sobie, że skoro jest tak wcześnie, mogę zjeść śniadanie z rodziną de
Chagny.

Żeby oszczędzić na dorożce, poszedłem do waldorf-Astorii piechotą.

Zjawiłem się tam za dzie sięć siódma.

Było jeszcze ciemno, lecz w barze zoba czyłem księdza Kilfoyle, siedzącego
samotnie nad filiżanką kawy.

Uśmiechnął się na mój widok i sze rokim gestem zaprosił do stolika.

"Panie Bloom!

zawołał.

Szczerze nam żal opuszczać pańskie piękne miasto.

Przyszedł się pan pożegnać?

To bardzo miło z pana strony.

Lubi pan owsiankę i grzanki?

Kelner...".

Wkrótce potem zja wił się wicehrabia.

Zamienił z księdzem kilka słów po francusku.

Nie w pełni zrozumiałem, o czym rozmawiali, więc zapytałem o panią de Chagny i
Pierrea.

Ksiądz Kilfoyle wskazał na Francuza i powie dział, że madame właśnie poszła do
pokoju syna, by dopilnować pakowania.

Podejrzywałem, że mnie okłamuje, lecz powstrzymałem się od komentarzy.

Moim zdaniem wybrała się na potajemną schadzke ze swoim dobroczyńcą, ale nie
chciałem wtrącać się w te sprawy.

Byłem pewien, że do ósmej zajędzie przed hotel i wysiądzie z powozu jak zwykle
czarują ca i pięknie uśmiechnięta.

Czekaliśmy we trzech, pogrążeni w rozmowie.

Spytałem księdza o wrażenia z Nowego Jorku.

"Pięk192

ne miasto powtórzył tak pełne rodaków...".

"A Coney Island?

". Zmarszczył nos.

"Dziwne miej sce odpowiedział po dłuższej chwili.

Z nie mniej dziwnymi ludźmi".

"Chodzi o wodzireja?

". "Tak, o niego...

i o paru innych".

„0 Dariusza?

" wyrwało mi się z całą naiwnością.

Ksiądz gwałtownie odwrócił się w moją stronę i prze szył mnie spojrzeniem swoich niebieskich oczu.

"Skąd pan go zna?

" zapytał.

"Widziałem go już przedtem" odparłem.

"Gdzie i kiedy?

" zawołał.

Bardziej zabrzmiało to jak rozkaz niż jak pytanie.

Sprawa z listem wydała mi się błaża, więc nie tając niczego, opowiedziałem o spotkaniu z paryskim prawnikiem i o wizycie w pewnym biurze w najwyż szym drapaczu chmur w całym Nowym Jorku.

Nie przyszło mi do głowy, że ksiądz Kilfoyle był nie tylko opiekunem Pierrea, lecz także spowiednikiem wicehrabiego i wicehrabiny.

W tym samym czasie pan de Chagny, lekko znu dzony, bo nie znał angielskiego, przeprosił nas i po szedł do pokoju, na górę.

Opowiadałem dalej, aż do miejsca, w którym Darius wyminął mnie biegiem w lunaparku, krzycząc na wiatr niezrozumiałe słowa.

Ksiądz słuchał w napiętym milczeniu, lecz nagle spytał: "Pamięta pan, co to było?

". Odpowiedziałem, że nie, ale że zapisałem to na lewym mankiecie rękawa.

Nagle powrócił pan de Chagny.

Był zaniepokojony i szybko powiedział coś po francusku do Kilfoylea.

Ksiądz przetłumaczył to na angielski.

"Nie

193 .

□

ma ich.

Wyszli oboje".

Oczywiście, wiedziałem dla czego, ale próbowałem rozproszyć obawy.

"Bez pa niki mruknąłem.

Mają małe spotkanie".

Kilfoyle spojrział na mnie twardo i nie pytając o nic, powtórzył:

„Spotkanie...".

Skinąłem głową.

"Chcą pożegnać starego przyjaciela, pana Erika" doda łem.

Irlandczyk patrzył na mnie, jakby powtarzał w myślach całą naszą rozmowę, do chwili, aż wrócił wicehrabia.

Sięgnął przez stół, pochwycił mnie za lewą rękę, pociągnął do siebie i wlepił wzrok w nadgarstek.

Zobaczył wypisane ołówkiem trzy słowa.

Przez dziesięć dni mankiet leżał spokojnie obok lustra, a tego ranka przypadkiem wsunąłem go na rękę.

Kilfoyle raz tylko rzucił okiem na napis i zaklął.

Nigdy nie przypuszczałem, że katolicyści księża znają takie słowa.

On znał.

Zerwał się z krzesła, złapał mnie za gardło i krzyknął: „W imię Boga, dokąd poszła?

". "Battery Park" wycharczałem.

Rzucił się do drzwi, ja za nim, a z tyłu nieszczęs ny wicehrabia.

Traf chciał, że na podjeździe stała jakaś dorożka, do której właśnie wsiadał dżentelmen w cylindrze.

Wsiadał, ale nie wsiadł, gdyż został odepchnięty na bok przez księdza.

Ten zaś wskoczył do środka.

"Battery Park!

Pędź jak diabli!

" wrzasnął na woźnicę.

Ledwie zdążyłem zająć miejsce i po ciągnąć za sobą Francuza, dorożka ruszyła z kopyta.

Ksiądz Kilfoyle przez całą drogę siedział przygar biony, ściskając w dłoniach krucyfiks., „Święta Ma rio, Matko Boska, spraw, żebyśmy zdążyli" mam rotał w kółko.

W pewnej chwili przerwał, więc po194

chyliłem się w jego stronę i wskazałem na mankiet.

"Co to znaczy?

" spytałem.

Chwilę trwało, zanim uniósł głowę.

"DELEND EST FILIUS powtórzył na głos zapisane słowa.

To znaczy: ZNISZCZYĆ SY NA".

Przerażony, opadłem na fotele.

Zatem ów obłąkaniec widziany na Coney Island groził chłopcu, nie matce. To jednak nie wyjaśniało całej tajemnicy.

Dlaczego Darius opętany myślą przejęcia fortuny swego pryncypała miałby morderstwo dziecko niewinnych Francuzów?

Dorożka mknęła pustawym Broadwayem.

Na wschodzie, za Brooklynem, niebo zaróżowiły pierwsze promienie świtu.

Woznica ściągnął lejce przed główną bramą na State Street.

Ksiądz wyskoczył z dorożki i pobiegł w głąb parku.

W tamtych latach Battery Park wyglądał inaczej niż dzisiaj.

Żebracy i włóczędzy nie siadywali na trawnikach.

Było to ciche i spokojne miejsce, pocięte labiryntem ścieżek i wąskich drózek, rozchodzących się promieniście od Castle Clinton.

Wśród krzewów stały altanki i kamienne ławki.

Poszukiwana przez nas grupa mogła być dosłownie wszędzie.

Przed bramą parku zobaczyłem trzy czekające powozy.

Pierwszy z nich, kryty, miał barwy hotelu.

Najpewniej to nim przyjechała wicehrabina z synem.

Woznica tkwił na koźle, kuląc się z zimna.

Drugi powóz, podobny, ale bez żadnych znaków, czystość cią i wykończeniami zdradzał, że należy do firmy lub kogoś majątnego.

195 .

□

Nieco dalej stała jeszcze jedna, mniejsza, jedno osobowa kolaska, taka sama, jaką dziesięć dni wczesniej widziałem przed lunaparkiem.

Zatem Darius też przybył.

Nie było chwili do stracenia.

Bez dalszego ociągania, we trzech wpadliśmy do parku.

Tam się rozdzieliliśmy, by w jak najkrótszym czasie przeszukać jak największy teren.

Pod drzewa mi ciągle panował półmrok, więc trudno było z daleka rozpoznać ludzką sylwetkę.

Zwłaszcza na tle krzewów.

Po kilku minutach biegania to w tę, to w tamtą stronę usłyszałem szmer głosów.

Jeden był męski, głęboki i modulowany, a drugi...

bez wątpliwości należał do pięknej pani de Chagny.

Zastana wiałem się, czy iść dalej, czy zawołać Francuza i księdzę.

W końcu podkradłem się bliżej i przykucnąłem za dużą kępą zarośli, obok maleńkiej polanki.

Pewnie powinienem był wybiec, pokazać się, krzyknąć...

Lecz nigdzie nie widziałem chłopca.

Przez chwilę łudziłem się nadzieją, że jednak został w hotelu.

Nadstawiłem ucha.

Wicehrabina i Erik stali po przeciwnej stronie polanki, ale ich głosy wyraźnie docierały do mojej skromnej kryjówki.

Erik nosił maskę jak zawsze lecz od razu wiedziałem, że to on w mundurze oficera Unii śpiewał w duecie z primadonną podczas gali w Operze.

"Gdzie Pierre?"

" zapytał.

"W powozie odpowiedziała pani de Chagny.

Kazałam mu chwilę poczekać.

Zaraz przyjdzie".

Serce załomotało mi jak młotem.

Skoro chłopiec był jeszcze w powozie, przy odrobinie szczęścia mógł

196

uniknąć spotkania z buszującym po parku Dariusem.

"Czego żądasz ode mnie?"

" zapytała Upiora.

"Przez całe życie ciągle mną pomiatało.

Zaznałem wielu krzywd i okrucieństw.

Dlaczego?

... Sama wiesz o tym najlepiej.

Hen, przed laty, przez jedną krótką godzinę myślałem, że odnalazłem miłość.

Że po chwyciłem coś większego i cieplejszego niż gorycz marnej egzystencji...".

„Przestań, Eriku.

To nierealne...

i niemożliwe.

Kiedyś naprawdę uważałam cię za ducha.

Za mojego niewidzialnego Anioła Muzyki.

Potem okazało się, że jesteś prawdziwym człowiekiem...

w każdym zna czeniu tego słowa.

Bałam się.

Drżałam przed tobą, przed twoją władzą, spontanicznymi wybuchami złości i przed geniuszem.

Był to strach zmieszany z fascynacją, jaką odczuwa królik na widok groźnej kobry.

Ostatniego wieczoru, w ciemnościach, na brzegu jeziora pod Operą, bałam się tak bardzo, że myśl łąłam, iż umrę.

Byłam w półżywa, gdy stało się...

co się stało.

Potem, kiedy nas oszczędziłeś, mnie i Raoula...

i kiedy zniknąłeś w cieniu...

sądziłam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę.

O wiele lepiej zrozu miałam, przez co w życiu przeszedłeś.

Współczułam ci i nawet...

wstyd mi było, że tak łatwo uległam przerażeniu.

Ale w moim sercu nigdy nie zagościła miłość.

Nie taka, aby mogła sprostać twojej namiętności.

Chyba wołałabym, żebyś mnie nienawidził".

197 .

□

"Nie, Christine.

Nie zaznasz ode mnie nienawiści.

Kochałem, kocham nadal i zawsze będę cię kochać.

Ale rozumiem i wybaczam.

Rany się zabiły.

Jest jednak jeszcze jedna miłość.

Mój syn.

Nasz syn.

Co mu opowiesz o mnie?

" .

"Że tu, w Ameryce, ma oddanego i wiernego przyjaciela.

Za pięć lat wyznam mu całą prawdę.

Że jesteś jego prawdziwym ojcem.

Niech wybiera.

Jeśli uzna, że Raoul, który od początku był mu opiekunem i dobrze spełniał wszelkie ojcowskie obowiązki, nie zasługuje na miano rodzica, wówczas z moim błogosławieństwem przyjedzie do ciebie".

Skamieniałem ze zgrozy, oszołomiony tym, co usłyszałem.

Wszystkie mniej i bardziej świadome obserwacje, które poczyniłem wcześniej, ułożyły się w klarowną całość.

List z Paryża, adresowany do tajemniczego pustelnika, bez wątpienia zawierał wiadomość o synu...

Sekretny plan, jak sprowadzić i matkę, i chłopca do Nowego Jorku...

Potajemne spotkania i Darius, dyszący chęcią zemsty na dziecku, które go pozbawiło spadku po multimilionerze.

Darius...

nagle przypomniałem sobie, że on także kryje się gdzieś w cieniu, i już się miałem zerwać z długo powstrzymanym okrzykiem ostrzeżenia, kiedy z prawej strony dobiegły mnie czyjeś kroki.

Wschodzące słońce skąpało park różową poświatą.

Poczerwieniała puchowa warstwa świeżego śniegu.

w polu widzenia pojawiły się trzy postacie.

Po prawej stronie, dwiema różnymi ścieżkami,

198

zdzążali ksiądz i wicehrabia.

Obaj stanęli jak wryci na widok człowieka w kapeluszu, czarnej pelerynie i w masce.

"Le Phantome" szepnął wicehrabia.

Z lewej nadbiegał Pierre.

W tej samej chwili, tuż przy mnie rozległ się cichy szcęk.

Odwrociłem głowę.

Dziesięć jardów dalej, między dwoma krzewami, prawie niewidoczny w resztkach nocnego cienia, krył się intruz.

Ubrany był na czarno, ale dostrzegłem jego pobladłą twarz.

w prawym ręku trzymał broń z długą lufą.
Zerwałem się na równe nogi i otworzyłem usta do krzyku, lecz było już za późno.
Wypadki potoczyły się tak szybko, że muszę zwolnić tempo, aby je wam opisać.

Pierre zawołał do matki: "Mamon, już możemy wracać do domu?"
". Popatrzyła na niego z promiennym uśmiechem, rozłożyła szeroko ręce i powiedziała:

"Oui, cherf\ Pobiegnij w jej stronę.

Człowiek w krzakach wstał z wyciągniętym ramieniem i z wielkiego marynarskiego kolta wycelował w chłopca.

w tym momencie krzyknąłem, ale mój głos utonął w huk.

Chłopiec dobiegł do matki i padł jej w ramiona.

Mógł zbić ją z nóg, lecz ona, jak to czynią rodzice, chwyciła go na ręce i porwana impetem, obróciła się wokół osi.

Mój okrzyk zlał się z hukiem strzału.

Piękna Francuzka drgnęła, jakby dźgnięta w plecy.

Istotnie tak było, gdyż przypadkowo, w półobrocie, zasłoniła syna przed kulą.

Upiór w masce odwrócił się w stronę strzału, zobaczył mordercę wśród krzewów, wyciągnął coś spod peleryny, uniósł rękę i także strzelił.

Usłyszałem

199 .

□

suchy trzask małego derringera.

Tylko jeden, ale to wystarczyło.

Człowiek w krzakach chwycił się za twarz i upadł.

Leżał na wznak w zimnym świetle ranka, z dziurą ziejącą w samym środku czoła.

wciąż stałem wśród zarośli.

Nie mogłem się ruszyć z miejsca i dziękowałem Opatrzności, że nie kazała mi nic robić.

Był czas, kiedy mogłem za pójść tragedii...

Nic jednak nie działałem, bo choć wciąż dużo widziałem i słyszałem, nie umiałem ni czego zrozumieć.

Po drugim strzale Pierre uwolnił się z objęć matki.

Pani de Chagny opadła na kolana.

Na jej plecach widniała duża czerwona plama.

Miękki, ołowiany pocisk nie dosięgnął!

chłopca, lecz pozostał w jej ciele.

wicehrabia krzyknął "Christine!

" i chwycił ją w ramiona.

Z uśmiechem popatrzyła mu w oczy.

Ksiądz Kilfoyle klęczał obok nich na śniegu.

Ze rwał pas opasujący mu sutannę, ucałował oba końce i zawiesił na szyi.

Modlił się szybko i natarczywie.

Łzy płynęły mu po szorstkich irlandzkich policzkach.

Człowiek w masce rzucił na ziemię pistolet i stał jak posąg z nisko opuszczoną głową.

Ramiona mu lekko drżały.

Płakał.

Tylko Pierre zdawał się nie rozumieć, co naprawdę zaszło.

Przed chwilą był w objęciach matki, a teraz ona umierała.

Kiedy pierwszy raz zawołał "Maman, zabrzmiało to jak pytanie.

Krzyknął jeszcze dwukrotnie, coraz płaczliwszym głosem.

Później, jakby szukając wyjaśnienia, spojrzął na wicehrabię.

"Papa?

" spytał.

200

Christine de Chagny otworzyła oczy i popatrzyła na chłopca.

Przemówiła po raz ostatni, czystym i pięknym głosem, który za kilka minut miał zamilknąć na zawsze.

"Pierre powiedziała to nie jest Papa.

wychował cię jak syna, lecz tam stoi twój prawdziwy ojciec".

Skinęła w stronę schylonej po staci w masce.

"wybacz mi, kochanie".

Potem umarła.

Nie będę się nad tym rozwodził.

Po prostu umarła.

Zamknęła oczy, wydała chrapliwy oddech i pochyliła głowę na pierś męża.

Przez kilka sekund panowała przeraźliwa cisza.

wydawało mi się, że minęły wieki.

Pierre wodził wzrokiem po twarzach mężczyzn.
W końcu raz jeszcze zapytał: "Papa?"

"Przyznam się, polubiłem francuskiego arystokratę i doceniałem jego nieodparty urok, lecz przez wszystkie dni, które spędziliśmy razem, uważałem go za miętę, zwłaszcza w porównaniu z energicznym księdzem. Teraz jednak objawił mi się w całkiem innym świetle.

Lewą ręką wciąż podtrzymywał ciało zmarłej żony.

Prawą powoli zsunął złoty pierścień z jej palca.

Przypomniało mi to operową scenę, w której ranny żołnierz zwracał swej ukochanej dawne przyrzeczenie.

Wicehrabia wcisnął pierścień w dłoń zrozpaczonego pasierba.

Jard dalej klęczał ksiądz Kilfoyle.

Zdążył dać rozgrzeszenie umierającej primadonnie i teraz, po spełnieniu najważniejszego obowiązku, modlił się za jej nieśmiertelną duszę.

Wicehrabia de Chagny dzwignął zwłoki z ziemi i wstał.

Potem odezwał się łamaną angielszczyzną:

201 .

□

"To prawda, Pierre.

Mamon miała rację.

Uczyniłem dla ciebie wszystko, co było w mojej mocy, ale nie jestem twoim ojcem.

Oddaj pierścień temu, kto w obliczu Boga może cię nazwać synem.

On też kochał twą mamę, miłością gorętszą od mojej.

Zabieram ciało ukochanej do Paryża, aby spoczęło we francuskiej ziemi.

Dziś, tutaj, w tej godzinie, przestałeś już być chłopcem i przerodziłeś się w mężczyznę.

Musisz podjąć samodzielną decyzję".

Stał z żoną w ramionach, czekając na odpowiedź.

Pierre odwrócił się i długo patrzył na człowieka, który mienił się jego prawdziwym rodzicem.

Ten, którego w myślach nazwałem Upiorem Manhattanu, również stał, samotny, z pochyloną głową, odległy od nas, a zarazem od wszystkich innych ludzi.

Eremita, wieczny wygnaniec, który raz w przeszłości ludził się, że zagnał do czasu szczęścia.

Cała jego postawa zdradzała, że wówczas stracił wszystko.

Teraz, na naszych oczach, spotkało go to samo.

Przez kilka długich sekund panowało milczenie.

Chłopiec spoglądał przez polankę, a ja oglądałem coś, co Francuzi określają mianem tableau vivant.

Sześć zastygłych postaci: cztery wciąż żywe i dwie martwe.

Wicehrabia przyklęknął na jedno kolano, tuląc do siebie ciało zabitej żony.

Przytknął jej głowę do policzka i delikatnie, uspokajającym ruchem, gładził ją po ciemnych włosach.

Upiór nie wykonał najmniejszego ruchu.

Pokonał, wpatrywał się w ziemię.

Dariusz leżał zaledwie parę stóp ode mnie i martwym wzrokiem patrzył

202

r

w zimowe niebo.

Pierre stał obok ojczyzny, jakby nie pojmował, że wszystko, w co dotąd wierzył, obróciło się w gruzy.

Ksiądz nadal klęczał z twarzą zwróconą w górę.

Miał zamknięte powieki, ale w sękatych dłoniach wciąż ścisnął żelazny krucyfiks i poruszał ustami w bezgłośniejszej modlitwie.

Po wielu latach, gnany chęcią ostatecznego wyjaśnienia niezrozumiałych dla mnie zdarzeń, odwiedziłem go w slumsach Lower East Side.

Niewiele pojmowałem z jego skąpych zwierzeń, ale pozwólcie, że je przytoczę.

Powiedział, że w grudniowej ciszy słyszał przeraźliwe krzyki.

Słyszał rozdzierający płacz milczącego Francuza.

Słyszał bolesny szloch zdumionego Pier re, któremu przez siedem lat był wiernym opiekunem.

Ale ponad wszystko usłyszał coś jeszcze.

Gdzieś pośród nich jęczała zabłąkana dusza, samotna niczym wędrowny albatros Coleridgea, szybująca po niebie cierpieniem nad oceanem strachu.

Modlił się, aby i ona odnalazła bezpieczną przystań w nieskończonej miłości Boga.

Modlił się o cud.

Byłem tylko żydow skim dzieciakiem z Bronxu, więc cóż mogłem wie dzieć o zbłąkanych duszach, zbawieniu i cudach?

Opowiem wam, co widziałem.

Pierre powolnym krokiem przeszedł przez polan kę.

Uniósł rękę i ściągnął kapelusz z głowy Upiora.

Urywany szloch wyrwał się spod maski.

Upiór miał łysą czaszkę, z kilkoma kosmykami włosów, skórę pokrytą bliznami, obwisłą i pomarszczoną, jak z to pionego wosku.

Chłopiec bez słowa zdjął mu maskę.

203 .

Widywałem trupy na stołach kostnicy w Bellevue, niektóre z nich po tygodniach moczenia w wodzie Hudsonu.

Widywałem ludzi zabitych na europejskim froncie.

Nigdy jednak nie oglądałem tak potwornej twarzy jak ta, która wyłoniła się spod maski.

Tylko oczy i część dolnej szczęki wyglądały normalnie.

Grube łzy płynęły po kostropatych policzkach.

wreszcie zrozumiałem, dlaczego ów nieszczęśnik krył się przed naszym wzrokiem i dlaczego uciekał przed ludźmi.

Teraz stanął nagi w całym swoim kalectwie, poniżony i pozostawiony w rękach chłop ca, który był jego synem.

Pierre przez długi czas bez mrugnięcia okiem wpat rywał się w straszliwe oblicze Upiora.

Upuścił maskę na ziemię.

Ujął ojca za lewą dłoń i wsunął mu pierś cień na serdeczny palec.

Potem oburącz objął szlochającą postać i powie dział wyraźnie: "Chcę z tobą zostać, ojczu".

To wszystko, moi drodzy.

Kilka godzin później w Nowym Jorku gruchnęła wieść o zamordowaniu operowej diwy. Zabójcą był ponoć jeden z jej wiel bicieli, którego ciało, przeszyte samobójczą kulą, także odnaleziono na miejscu zbrodni.

Taka wersja odpowiadała burmistrzowi i władzom.

Ja zaś nie napisałem o tym ani słowa, chociaż ryzykowałem całą moją pracę, gdyby ktoś kiedyś dokopał się prawdy.

Teraz już za późno na pisanie.

EPILOG

Ciało Christine de Chagny spoczęło obok jej ojca, na przykościelnym cmentarzu w małej bretońskiej wiosce, skąd pochodziła jej rodzina.

Wicehrabia, dobry i łagodny człowiek, powrócił do rodowych włości w Normandii.

Nigdy więcej się nie ożenił i przez całe życie nosił przy sobie wizerunek swojej ukochanej żony.

Zmarł śmiercią naturalną wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego roku i nie dożył inwazji na ojczyznę.

Ksiądz Joe Kilfoyle osiedlił się w Nowym Jorku i w Lower East Side założył schronisko i szkołę dla ułomnych, porzuconych oraz skrzywdzonych dzieci. Odrzucił wszelkie godności kościelne i dla wielu pokoleń sierot znany był tylko jako „ojciec Joe”.

Nie żałował pieniędzy na urządzenie schroniska, ale nigdy nie zdradził, skąd czerpie fundusze.

Zmarł ze starości w połowie lat pięćdziesiątych.

Ostatnie trzy lata życia spędził w kościelnym domu starców, w małej miejscinie na wybrzeżu Long Island.

Opiekujące

205 .

się nim zakonnice twierdziły, że całymi dniami owi nięty w koc siedział na tarasie, patrzył na wschód, na morze i śnił o małym gospodarstwie w pobliżu Mullingar.

Oscar Hammerstein ostatecznie przegrał rywalizację z Met, a i Manhattan Opera została zamknięta.

Jego wnuk, Oscar III, podjął współpracę z Richardem Rodgersem...

Pierre de Chagny ukończył szkołę w Nowym Jorku, obronił dyplom na uniwersytecie należącym do prestiżowej Ivy League i zajął miejsce u boku ojca w

forsyth Upiur Manhattanu.txt

zarządzie rodzinnego przedsiębiorstwa.

W czasie pierwszej wojny światowej obaj zmienili nazwisko z Muhlheim na inne, do dzisiaj szeroko znane i szanowane w całej Ameryce.

Firma stała się słynna z działalności charytatywnej.

Przy jej udziale powstało wiele instytutów badań i ośrodków opieki dla niepełnosprawnych, jak również kilka fundacji zajmujących się filantropią.

Ojciec w latach dwudziestych przeszedł na emeryturę i osiadł w odosobnionej rezydencji w Connecticut, gdzie dożył reszty dni wśród ksiąg, obrazów i ukochanej muzyki.

Zatrudniał dwóch weteranów, okaleczonych w okopach na polach Francji.

Od wypadków w Battery Park nigdy nie nosił maski.

Jego syn, Pierre, ożenił się i zmarł w podeszłym wieku, w tym samym roku, w którym pierwszy Amerykanin postawił stopę na Księżycu.

Czwórka dzieci Pierrea żyje do dzisiaj.